

Arthur C. Clarke

Wyspa delfinów



acc1arke.pl

CLARKE ARTHUR C.

Wyspa Delfinow

ARTHUR C. CLARKE

Dolphin Island

Przełożyła: Mira Michałowska

Wydanie oryginalne: 1963

Wydanie polskie: 1986

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poduszkowiec pędził przez dolinę unosząc się nad starą szosą na poduszce powietrza. Johnny Clinton spał. Potężny hałas motoru rozbrzmiewający w nocnej ciszy nie przeszkadzał mu wcale, był do niego przyzwyczajony niemal od urodzenia. Dla każdego chłopca z dwudziestego pierwszego wieku był to magiczny dźwięk, który opowiadał o dalekich krajach i dziwnych ładunkach, wożonych przez te pierwsze tego rodzaju wehikuly, podróżujące z łatwością po łąkach i morzach.

Dobrze znajome wycie odrzutowych silników nie budziło go, mogło tylko nawiedzać jego sny. Teraz jednak umilkło nagle, w samym środku Transkontynentalnej Drogi Numer 21. To wystarczyło, żeby Johnny zbudził się. Przecierając oczy usiadł na łóżku i wytężył słuch. Co się mogło stać?. Czyżby jeden z wielkich liniowców rzeczywiście zatrzymał się tutaj, sześćset kilometrów przed najbliższą stacją?

Cóż, był tylko jeden sposób, aby się upewnić. Johnny wahał się przez chwilę, gdyż bał się panującego na zewnątrz chłodu. Po chwili wziął na odwagę, owinął się w koc, otworzył ostrożnie drzwi i wyszedł na balkon.

Noc była chłodna i piękna, a znajdujący się niemal w pełni księżyc oświetlał wyraźnie całą okolicę. Od południowej strony domu nie widać było szosy, ale balkon obiegał dokoła staroświecką fasadę, toteż w kilka sekund później Johnny znalazł się po północnej stronie budynku. Mijając okna sypialni ciotki i kuzynek zachowywał się szczególnie ostrożnie; wiedział, co go czekało, gdyby je obudził.

Ale mieszkańcy domu spali głębokim snem w tę zimową, księżycową noc i kiedy przemykał się na palcach koło ich okien, nikt z nich nawet nie drgnął. Lecz szybko o nich zapomniał, przekonał się bowiem, że nie śnił na jawie.

Poduszkowiec opuścił szeroką wstęgę szosy i spoczął na płaskim terenie o kilkaset metrów od drogi. Światła miał zapalone. Johnny domyślił się, że jest to frachtowiec, a nie statek

pasażerski, gdyż miał tylko jeden pokład obserwacyjny, zajmujący niewielki odcinek stu pięćdziesięciometrowej długości pojazdu.

Johnny nie mógł oprzeć się skojarzeniu, że statek wygląda jak olbrzymie żelazko do prasowania, tyle, że zamiast uchwyty ma opływowy mostek umieszczony na jednej trzeciej długości od dziobu. Nad mostkiem błyskało czerwone światło sygnalizacyjne, ostrzegające inne statki, mogące się znaleźć na tej samej drodze.

„To chyba awaria – pomyślał Johnny – Ciekawe, jak długo będzie tak stał? Czy zdążę pobic i dobrze mu się przyjrzeć?” Nigdy dotąd nie widział z bliska stojącego poduszkowca. A gdy mknął z szybkością pięciuset kilometrów na godzinę, niewiele da się zaobserwować.

Nie namyślał się długo. W dziesięć minut później, ubrany w najcieplejszą odzież jaką miał, ostrożnie, by nie robić hałasu, odryglował kuchenne drzwi. Nie przyszło mu na myśl, kiedy wychodził w tę mroźną noc, że opuszcza ów dom po raz ostatni w życiu. Ale nawet gdyby o tym wiedział, nie odczuwałby żalu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Im bliżej Johnny podchodził do poduszkowca, tym większy mu się wydawał. A przecież nie był to jeden ze stutysięcznotonowych zbiornikowców na ropę czy zboże, które czasami przelatywały ze świstem ponad dolina; miał prawdopodobnie tylko piętnaście czy dwadzieścia tysięcy ton. Na jego dziobie widniał nieco spłowiały napis: SANTA ANNA, BRAZYLIA. Nawet w słabym świetle księżyca można było zauważyć, że statkowi przydałaby się świeża warstwa farby. Jeżeli jego maszyny znajdowały się w tym samym stanie co połatany i wytarty kadłub, to powód nie planowanego postoju łatwo było odgadnąć.

Kiedy Johnny obchodził nieruchomego potwora dokoła, nie zauważył w nim śladu życia. Nie zdziwiło go to jednak; wielkie frachtowce były przeważnie pilotowane automatycznie, a do obsługi statku tej wielkości wystarczył mniej więcej tuzin osób załogi. Jeżeli rozumował słusznie, to wszyscy oni znajdowali się w maszynowni, starając się znaleźć przyczynę awarii.

Teraz, kiedy silniki odrzutowe już nie unosiły „Santa Anny”, spoczywała ona na wielkich, płaskodennych komorach pływakowych, które służyły do utrzymywania jej na powierzchni, gdyby opuściła się na morze. Biegły dokoła całego kadłuba i kiedy Johnny obchodził statek, sterczały nad jego głową niczym ściany nawisu. W kilku miejscach można by się na nie wdrapać, gdyż z kadłuba wystawały uchwyty, widać też było stopnie, prowadzące do znajdujących się o sześć metrów ponad ziemią luków wejściowych.

Johnny patrzył na te włazy i zastanawiał się. Były prawdopodobnie zamknięte, ale co by się stało, gdyby jednak dostał się na pokład? Przy odrobinie szczęścia udałoby mu się może dobrze rozejrzeć dokoła, zanim załoga zdążyłaby go złapać i wyrzucić. Johnny uznał, że jest to jego życiowa szansa; wiedział, że jeżeli nie wykorzysta jej, nigdy sobie tego nie wybaczy...

Nie wahając się więc dłużej zaczął wdrapywać się po najbliższych schodkach. Po jakichś ośmiu krokach zatrzymał się, żeby się raz jeszcze zastanowić. Ale było za późno, decyzja została podjęta za niego. Zupełnie niespodziewanie wielka, obła ściana, której czepiał się jak mucha, zaczęła drgać. Potworny hałas, jakby tysiąc grzmotów huknęło na raz, przerwał nocną ciszę. Johnny spojrzał na dół i zobaczył wyrzucane spod statku przez prąd powietrza kamienie, kurz i kępy trawy. „Santa Anna” zaczęła się ciężko unosić w powietrze. Nie było już dla niego powrotu. Silniki odrzutowe wyrzuciłyby go w górę jak piórko. Uciec mógł tylko w jeden sposób – powinien się dostać do wnętrza statku, zanim ten ruszy na dobre. Nie chciał nawet myśleć o tym, co by się stało, gdyby luk był zamknięty.

Miał jednak szczęście. Natrafił na klamkę wpuszczoną we wgłębienie w metalowych drzwiach. Nacisnął ją i drzwi otworzyły się do środka, ukazując słabo oświetlony korytarz. Po chwili Johnny znalazł się wewnątrz „Santa Anny”. Westchnął z ulgą – był już bezpieczny. Kiedy zamykał za sobą klapę luku, ryk silników odrzutowych przeszedł w miarowy grzmot. W tej samej chwili Johnny poczuł, że statek się porusza. Pędził w nieznanym kierunku.

Przez kilka minut chłopiec stał jak wryty, potem doszedł do wniosku, że nie ma się czego bać.

Wystarczy znaleźć drogę na mostek kapitański, wytłumaczyć co się stało, a zostanie wysadzony na następnym przystanku. W ciągu kilku godzin policja odstawi go do domu.

Dom! Ale przecież on nie miał domu! Nie było takiego miejsca na świecie, w którym czułby się jak u siebie. Dwanaście lat temu, kiedy miał cztery lata, oboje rodzice zginęli w wypadku samolotowym. Od tego czasu mieszkał u siostry matki. Ciotka Marta miała własną rodzinę i nie cieszyła się szczególnie z jej powiększenia. Dopóki żył tłusty, wesoły wuj James, nie było jeszcze tak źle, ale odkąd umarł, Johnny czuł się coraz częściej niepożądanym gościem.

Po co miał więc wracać – i do czego? Zostanie tu choćby na pewien czas. Taka okazja może się już nigdy nie powtórzyć. Im dłużej o tym myślał, tym większej nabierał pewności, że to los zdecydował za niego, wskazał mu drogę, którą powinien iść.

Za swoje pierwsze, najważniejsze zadanie uznał znalezienie kryjówki. Nie powinno to być trudne na wielkim statku. Niestety, nie miał pojęcia o rozkładzie pomieszczeń „Santa Anny”, a wiedział, że jeżeli nie będzie ostrożny, to natknie się na kogoś z załogi. Zdecydował, że zrobi najlepiej, jeżeli dotrze do towarowej części statku, bo przecież tam nikt nie będzie zaglądał, dopóki poduszkowiec znajduje się w ruchu.

Czując się jak włamywacz, Johnny zaczął szukać drogi, ale już po chwili zgubił się całkowicie. Zdawało mu się, że przemierzył wiele kilometrów słabo oświetlonych korytarzy, dziesiątki przejść, mijał niezliczone ilości drzwi oznaczonych tajemniczymi nazwiskami. Już chciał otworzyć któreś z nich, kiedy wzrok jego padł na napis „Główna maszynownia”. Nie mógł się oprzeć chęci, aby tam zajrzeć. Bardzo wolnym ruchem pchnął stalowe drzwi. Kiedy się otworzyły, zobaczył pod sobą duże pomieszczenie wypełnione turbinami i kompresorami. Olbrzymie przewody powietrzne, tak grube, że człowiek mógłby się łatwo przez nie precisnąć, biegly od sufitu do podłogi, a hałas, równy grzmotowi stu huraganów, rozdzierał mu uszy.

Przeciwnie ściana maszynowni pokryta była tarczami instrumentów kontrolnych. Trzej ludzie przypatrywali im się z tak napiętą uwagą, że Johnny czuł, iż może ich bezpiecznie podglądać. Zresztą znajdowali się w odległości piętnastu metrów od niego i nie powinni byli zauważyć kilkucentymetrowej szpary w drzwiach.

Widać było wyraźnie, że naradzają się – głównie na migi, ponieważ mówienie w tym hałasie nie miało sensu. Johnny zorientował się wkrótce, że była to raczej kłótnia niż narada, ponieważ gestykulowali gwałtownie, wskazywali na zegary i wzruszali ramionami. Wreszcie jeden z nich uniósł ręce do góry gestem wskazującym, że nie chce mieć z tym wszystkim już nic do czynienia, i wybiegł z maszynowni. Johnny pomyślał, że „Santa Anna” nie jest chyba szczęśliwym statkiem.

Po kilku minutach Johnny znalazł kryjówkę. Był to niewielki składzik wypełniony skrzyniami i walizami. Kiedy stwierdził, że wszystkie bagaże zaadresowane są do australijskich miejscowości, zrozumiał, że nie grozi mu odesłanie do domu. Nie było powodu, dla którego ktokolwiek miałby tu wejść, zanim statek przemierzy Pacyfik i znajdzie się po drugiej stronie

globu.

Opróżnił niewielką przestrzeń wśród skrzyń i paczek, z westchnieniem ulgi usiadł i oparł plecy o sporą przesyłkę z napisem: „Wł. Zakłady Chemiczne Bundabery”. Zastanawiał się co może znaczyć „Wł.”, ale zanim doszedł do wniosku, że to „własność”, zmorzył go sen. Osunął się na twardą, metalową podłogę.

Kiedy się obudził, stwierdził, że poduszkowiec nie rusza się, świadczyły o tym brak wszelkiej wibracji i cisza. Spojrzał na zegarek i przekonał się, że znajduje się na statku od pięciu godzin. Przez ten czas „Santa Anna” – zakładając, że nie zatrzymywała się po drodze – mogła łatwo przemierzyć tysiąc mil. Prawdopodobnie dotarła do jednego z wielkich portów położonych wzdłuż wybrzeża Pacyfiku i gdy skończy ładowanie towarów, wyruszy na ocean.

Johnny wiedział, że jeżeli teraz zostanie przyłapany, to jego przygoda szybko się skończy. Postanowił więc nie ruszać się z miejsca, dopóki statek nie znajdzie się daleko nad oceanem. Na pewno nie zawróci po to, żeby pozbyć się szesnastoletniego pasażera na gapę.

Był jednak głodny i spragniony. Wcześniej czy później będzie musiał zdobyć coś do jedzenia i picia. „Santa Anna” może tak stać przez kilka dni, a w takim wypadku głód wykurzy go z kryjówki...

Postanowił nie myśleć o jedzeniu, chociaż było to trudne, ponieważ właśnie nadeszła pora śniadania. Johnny przypomniał sobie jednak, że wielcy podróżnicy i badacze przechodzili znacznie cięższe próby.

Na szczęście „Santa Anna” pozostała w nie znanym porcie tylko przez godzinę. Ku swojej wielkiej uldze Johnny poczuł, że podłoga kryjówki znów zaczyna wibrować, a z oddali doszło go wycie silników odrzutowych. Doznał charakterystycznego uczucia, gdy poduszkowiec uniósł się nad ziemią, a potem poczuł szarpnięcie – to statek ruszył do przodu. Za dwie godziny znajdzie się już daleko na morzu – jeżeli kalkulacje Johnny’ego okażą się słuszne i innego przystanku na lądzie już nie będzie.

Przetrwał te dwie godziny tak cierpliwie, jak tylko potrafił, po czym uznał, że może się już bezpiecznie ujawnić. Nieco zdenerwowany wyruszył na poszukiwanie załogi i – jak miał nadzieję – czegoś do zjedzenia.

Ujawnienie się nie było jednak tak łatwe, jak się spodziewał. „Santa Anna”, która od zewnątrz zdawała się wielka, od środka była po prostu olbrzymia. Johnny czuł coraz silniejszy głód, ale nadal nie mógł natrafić na żaden ślad życia.

Znalazł jednak coś, co poprawiło mu humor, mały iluminator, który pozwolił mu wreszcie wyjrzeć na zewnątrz. Jego rama obejmowała niewielką przestrzeń, ale to, co można było zobaczyć, wystarczyło Johnny’emu. Tak daleko jak mógł sięgnąć okiem, widział szare, wzburzone morskie fale. Ani śladu lądu – nic, tylko niezmierna wodna pustynia, przesuwająca się z olbrzymią szybkością.

Johnny po raz pierwszy widział ocean – całe życie spędził w głębi lądu, wśród hydroponicznych farm na pustyni Arizony lub w nowych lasach Oklahomy. Widok niezmiernych obszarów wody był wspaniały, ale też nieco przerażający. Długo stał przed iluminatorem starając się uzmysłwić sobie fakt, że oddala się od ojczystej ziemi w stronę kraju, o którym nic nie wie. Było już za późno, żeby zmienić decyzję, wiedział to na pewno.

Niespodziewanie znalazło się rozwiązanie problemu żywności. Natknął się bowiem na łódź ratunkową. Była to ośmiometrowa, całkowicie obudowana motorówka, umieszczona pod segmentem kadłuba, który otwierał się niczym wielkie okno. Łódź zawieszona była na dwóch niewielkich dźwigach, służących do opuszczenia jej na morze.

Johnny nie mógł oprzeć się chęci wdrapania się do łodzi i natychmiast zauważył szafkę z napisem „Zapasy żywnościowe”. Walka z sumieniem trwała bardzo krótko, po trzydziestu sekundach chrupał herbatniki i zjadał jakieś sprasowane mięso. Porcja zalatującej rdzą wody zaspokoila szybko jego pragnienie. Poczłł się znacznie lepiej. Uznał, że choć nie będzie to luksusowa wyprawa, jej trudy dadzą się jakoś znieść.

Odkrycie to wpłynęło na zmianę jego planów. Nie musiał się już ujawniać. Mógł się nadal ukrywać i przy odrobinie szczęścia po prostu zejść niepostrzeżenie na ląd u kresu podróży. Nie miał pojęcia, co zrobi potem. Ale Australia to duży kontynent i na pewno da sobie tam jakoś radę.

Powróciwszy do swojej kryjówki z zapasem żywności na dwadzieścia cztery godziny – dłużej ta podróż trwać chyba nie miała – Johnny spróbował się odprężyć. Chwilami drzemał, od czasu do czasu spoglądał na zegarek i próbował obliczyć, gdzie „Santa Anna” znajduje się w danej chwili. Zastanawiał się, czy zatrzyma się na Hawajach lub na jednej z innych wysp Pacyfiku, mając jednak nadzieję, że tych postojów nie będzie. Niecierpliwił się, chciał rozpocząć nowe życie jak najszybciej.

Kilka razy wspomniał ciotkę Martę. Czy będzie jej przykro, że od niej uciekł? Nie wierzył w to, był też pewien: kuzyni ucieszą się, że się go pozbyli. Kiedyś, gdy już będzie sławny i bogaty, odwiedzi ich dla samej satysfakcji, jaką mu sprawią ich miny. To samo dotyczyło większości jego kolegów szkolnych, zwłaszcza tych, którzy wyszydzaali jego niski wzrost i przezywali go „maluchem”. Pokaże im, że mózg i przedsiębiorczość znaczą więcej niż mięsy... Wśród tych przyjemnych marzeń Johnny niepostrzeżenie zapadł w głęboki sen.

Spał jeszcze, kiedy podróż się skończyła. Obudził go głośny huk, a po kilku chwilach poczuł wstrząs. To „Santa Anna” uderzyła o powierzchnię morza. A potem zgasły światła i zrobiło się zupełnie ciemno.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po raz pierwszy w życiu Johnny poczuł straszny, wprost zwierzęcy strach. Zesztywniał, oddychał z trudem, czuł się, jak gdyby ciężar spadł mu na piersi. Wydawało mu się, że już tonie, co rzeczywiście groziło mu w wypadku, gdyby nie udało mu się w porę wymknąć z tej pułapki.

Musiał koniecznie znaleźć wyjście, ale był otoczony przez skrzynie i pakunki i przepychając się między nimi stracił całkowicie poczucie kierunku. Przeżywał na jawie ów senny koszmar, kiedy to człowiek próbuje uciec od niebezpieczeństwa, ale nie może. Dopiero szok i ból, których doznał po zderzeniu się z jakimś niewidzialnym przedmiotem, uwolniły go od uczucia paniki. Zrozumiał, że nie wolno tracić głowy i błądzić na oślep w ciemności. Powinien iść w jednym kierunku, aż dotrze do ściany, a następnie posuwać się wzdłuż niej, by natrafić na drzwi.

Plan był wspaniały, ale Johnny napotkał tyle przeszkód na drodze, że zdawało mu się, iż wieki minęły, zanim wyczuł pod rękami gładkość metalu i zrozumiał, że dotarł do ściany. Potem wszystko poszło łatwo, znalazł drzwi, otworzył je i wydał z siebie okrzyk ulgi. Korytarz, w którym się znalazł, nie był na szczęście ciemny. Główne światła wprawdzie zgasły, ale paliły się zastępcze, niebieskie lampy, oświetlające dostatecznie drogę.

Nagle poczuł zapach dymu i zrozumiał, że „Santa Anna” pali się. Zauważył, że korytarz jest obecnie nachylony w kierunku rufy, gdzie znajdowały się wszystkie maszyny. Johnny domyślił się, że wybuch wyrwał dziurę w kadłubie i woda wlewa się do wnętrza statku.

Nie był pewien, czy statek znajduje się w niebezpieczeństwie. Nie podobało mu się to przechylenie, a jeszcze mniej złowieszcze trzeszczenie kadłuba. Poduszkowiec kołysał się bezradnie, wznosił się i opadał, co nieprzyjemnie drażniło żołądek Johnny'ego. Domyślał się, że są to pierwsze objawy choroby morskiej. Próbował ignorować te doznania i skoncentrować się na sprawie ważniejszej – uratowania życia.

Jeżeli statek tonie, to on, Johnny, musi jak najszybciej znaleźć drogę do łodzi ratunkowych, ku którym zmierzają teraz prawdopodobnie wszyscy członkowie załogi. Zdziwią się zapewne zobaczywszy dodatkowego pasażera, ale może znajdą i dla niego miejsce. Gdzie jednak znajdowała się stacja łodzi ratunkowych? Był tam już i gdyby miał trochę czasu, trafiłby na pewno. Ale właśnie czasu miał bardzo niewiele. W pośpiechu kilkakrotnie pomylił zakręty i musiał zawrócić. W pewnej chwili natknął się na stalową grodz, której przedtem na pewno tu nie było. Spod jej brzegów wydobywał się dym, a zza niej dobiegał trzask pękającego kadłuba. Johnny zawrócił i pobiegnął jak mógł najszybciej z powrotem słabo oświetlonym korytarzem.

Był już zmęczony i zrozpaczony, kiedy wreszcie natrafił na właściwą drogę. Tak, to był ten korytarz, pamiętał go, na jego końcu będą schody prowadzące do stacji łodzi ratunkowych. Teraz, skoro był już bliski celu, nie musiał oszczędzać sił, ruszył więc naprzód całym pędem.

Pamięć nie zmyliła go. Znalazł schody, tak jak się tego spodziewał. Ale łódź zniknęła.

Zrąb kadłuba był szeroko otwarty, a ramiona podnośnika wysunięte na zewnątrz. Puste uchwyty kołysały się, jak gdyby naigrawając się z chłopca. Silny, porywisty wiatr wpadał w otwór kadłuba, przez który opuszczono łódź ratunkową, i rozpryskiwał dokoła krople wody. Johnny poczuł w ustach gorzki smak soli. Wkrótce miał się z nim lepiej zapoznać.

Z ciężkim sercem zbliżył się do otworu i spojrział na tafłę morza. Była noc, ale księżyc, który towarzyszył początkowi jego przygody, oświetlał również scenę jej zakończenia. O kilka metrów niżej rozszalałe fale gwałtownie biły w bok statku, a co jakiś czas podnosiły się, tworząc u stóp Johnny'ego małe wiry. Jeżeli nawet „Santa Anna” nie nabierała wody w innych miejscach, to ta jej część wkrótce będzie zalana.

Gdzieś w pobliżu rozległ się stłumiony wybuch, światła awaryjne zamigotały i zgasły. Służyły Johnny'emu dostatecznie długo, bez nich nigdy nie znalazłby wyjścia. Ale czy to teraz miało jakiegokolwiek znaczenie? Znalazł się samotny, na tonącym statku, o setki mil od lądu.

Chłopiec wpatrywał się w ciemność usiłując znaleźć jakiś ślad łodzi ratunkowej, ale morze było puste. Może łódź znajdowała się pod drugą burtą statku i była dlań niewidoczna. Załoga przecież nie opuściłaby miejsca wypadku, dopóty, dopóki „Santa Anna” trzymała się na powierzchni. Ale z drugiej strony sytuacja była poważna i załoga nie miała czasu do stracenia. Johnny zastanawiał się, czy aby „Santa Anna” nie wiezie materiałów wybuchowych lub łatwo palnych, a jeżeli tak, to kiedy nastąpi eksplozja.

Fala zalała mu twarz, oślepiła go pianą; przez ostatnie minuty statek wyraźnie zanurzył się głębiej. Trudno było uwierzyć, że taki duży obiekt może tak szybko tonąć, ale poduszki odznaczały się lekką konstrukcją i niewielką wytrzymałością. Johnny zrozumiał, że najwyżej za dziesięć minut woda dojdzie do jego stóp.

Mylił się jednak. Powolne kołysanie statku ustało nagle, „Santa Anna” bez ostrzeżenia przechyliła się na bok i zadrżała jak konające zwierzę, próbujące po raz ostatni stanąć na nogi. Johnny nie wahał się. Instykt podpowiedział mu, że statek zaraz pójdzie na dno i że powinien znaleźć się możliwie jak najdalej od niego.

Przygotował się na nagłe zetknięcie z zimną wodą i zgrabnie skoczył w dół. Nurkując zdziwił się, że doznaje uczucia ciepła, a nie chłodu. Zapomniał, że w ciągu ostatnich kilku godzin przeleciał ze strefy zimy w strefę lata.

Kiedy wychynał na powierzchnię, zaczął płynąć tak szybko, jak mógł swoim niezgrabnym, kraulem. Słyszał za sobą potworne bulgotanie, łomot i trzaski, syk jak gdyby pary buchającej z gejzera. Wszystkie te hałasy nagle ustały; słychać było tylko jęk wiatru i szum fal przewalających się obok niego w ciemnościach nocy. Zmaltretowany statek poszedł na dno nie stawiając oporu, nie tworząc wirów, których Johnny bał się najbardziej.

Kiedy już wiedział na pewno, że jest po wszystkim, zaczął płynąć wolniej i rozglądać się wokoło. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była łódź ratunkowa znajdująca się o jakie pół mili od

niego. Machał rękami i krzyczał z całej siły, ale bez skutku. Łódź odpływała i jeżeli nawet ktoś z załogi patrzył wstecz, to trudno było się spodziewać, że spostrzeże chłopca. Przecież nikt nie wiedział, że był jeszcze jeden rozbitek do uratowania.

Johnny znalazł się więc sam na wodzie, oświetlonej żółtym światłem zachodzącego księżyca i nieznanymi mu gwiazd południowej półkuli. Postanowił leżeć spokojnie na powierzchni morza, mimo że było znacznie bardziej rozkołysane niż słodkowodna zatoka, w której uczył się pływania. Ale nawet gdyby wytrzymał w tej pozycji przez wiele, wiele godzin, to w końcu musiał zginąć. Nie miał nawet jednej szansy na milion na uratowanie się. Jego ostatnia nadzieja rozwiała się wraz z odpłynięciem łodzi ratunkowej.

Nagle coś go uderzyło i to tak mocno, że wydał z siebie okrzyk zdziwienia i lęku. Był to jednak tylko jakiś szczątek kadłuba poduszkowca. Chłopiec zauważył teraz, że w wodzie dookoła niego pływa mnóstwo najrozmaitszych przedmiotów. Odkrycie to poprawiło mu nieco humor. Pomyślał, że gdyby udało mu się zbudować tratwę, to szansę jego wzrosłyby ogromnie. Może nawet dotrze do brzegu, tak samo jak ludzie, którzy niemal przed stu laty przemierzyli Pacyfik na słynnej Kon-Tiki.

Popłynął w stronę podnoszących się i opadających na wodzie szczątków. Morze stało się nagle znacznie spokojniejsze, to ropa wypływająca z poduszkowca uspokoiła fale. Nie syczały już tak złowroźnie jak przedtem, ale po prostu kołysały się leniwie. Z początku bał się ich, tak były strome i wysokie, ale teraz, unosząc się i opadając wraz z nimi, przekonał się, że nie są wcale groźne. Nawet w obecnej sytuacji cieszył się, że może tak lekko i bezpiecznie płynąć wraz z największą choćby falą.

Przemykał się pomiędzy skrzyniami, pustymi butelkami i kawałkami drewna. Żaden z tych przedmiotów nie miał dlań wartości; szukał czegoś wystarczająco dużego, czegoś, co mogłoby go unieść. Stracił już niemal wszelką nadzieję, kiedy w odległości około piętnastu metrów od siebie zauważył ciemny prostokąt wznoszący się i opadający na falach.

Kiedy podpłynął bliżej, zobaczył z radością, że jest to duża drewniana skrzynia. Z trudem wdrapał się na nią i z zadowoleniem stwierdził, że wytrzymuje jego wagę. Tratwa nie była zbyt stabilna i miała skłonność do przechylania się, ale tylko do chwili kiedy Johnny położył się na niej w poprzek, odtąd płynęła pewniej, kołysząc się na falach i wystając na wysokość około siedmiu centymetrów ponad powierzchnię wody. W jasnym świetle księżyca Johnny odczytał wypisane na niej słowa: „Przechowywać w suchym i chłodnym miejscu”.

Cóż, nie było to szczególnie suche miejsce, choć na pewno chłodne. Zimny wiatr przenikał przez mokrą odzież chłopca. Ale trzeba się było z tym pogodzić, przynajmniej do wschodu słońca. Johnny spojrzął na zegarek i bez specjalnego zdziwienia przekonał się, że ten stoi. Ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Przypomniało mu się, że przekroczył kilka stref czasu od chwili, gdy znalazł się na pokładzie nieszczęsnej „Santa Anny”. Jego zegarek, nawet gdyby chodził, spieszyłby się o co najmniej sześć godzin.

Drżąc na całym ciele leżał na swojej małej tratwie, obserwował zachód księżyca i wsłuchiwał się w szum – morskich fal. Był nadal pełen niepokoju, ale paniczny strach opuścił go już. Tyle razy udało mu się w ostatnich godzinach ujść z życiem, że nabrał uczucia, iż nic nie może mu się stać. Nie miał wprawdzie ani żywności, ani wody, ale przecież nie umrze z głodu w ciągu kilku dni. Nie chciało mu się sięgać dalej myślą w przyszłość.

Księżyc stał już nisko, a noc dokoła niego stawała się coraz ciemniejsza. Ale właśnie teraz Johnny zauważył ze zdziwieniem, że morze rozbłyskiwało tysiącami światełek. Zapalały się i gasły niczym elektryczne reklamy, tworząc za jego dryfującą tratwą pasmo migotliwego blasku. Kiedy zanurzył dłoń w wodzie iskry zaczęły bić z koniuszków jego palców.

Widok ten był tak wspaniały, że chłopiec zapomniał na chwilę o grożącym mu niebezpieczeństwie. Słyszał o tym, że w morzu żyją świecące stworzenia, ale nigdy nie przypuszczał, że jest ich aż tyle. Po raz pierwszy zobaczył jeden z cudów, jedną z tajemnic oceanu, żywiołu, który pokrywał trzy czwarte powierzchni globu ziemskiego i który teraz decydował o jego życiu.

Księżyc dotknął horyzontu, zawisł nad nim przez chwilę i zniknął. Niebo nad chłopcem płonęło od gwiazd. Jedne z nich należały do prastarych konstelacji, inne, jaśniejsze, zostały umieszczone przez człowieka na różnych orbitach w ciągu pięćdziesięciu lat, które minęły od czasu jego dotarcia do kosmosu. Ale żadna z nich nie była tak żywa jak te, które skrzyły się pod wodą miliardami, tak że tratwa zdawała się płynąć po jeziorze ognia.

Chłopcu zdawało się, że od chwili, gdy księżyc zaszedł, upłynęły wieki, zanim pojawiły się pierwsze oznaki wschodu słońca. Wreszcie dostrzegł na wschodzie słabą poświatę, która powoli rozszerzała się na cały horyzont, i poczuł radosne bicie serca. W ciągu kilku sekund gwiazdy na niebie i morzu zgasły, jakby ich nigdy nie było. Zaczął się dzień.

Nie było jednak dane Johnny’emu cieszyć się zbyt długo pięknym porankiem, bo nagle zobaczył coś, co pozbawiło go wszelkiej nadziei. Od zachodu, sunąc wprost na niego z szybkością i zdecydowaniem, które zmroziły mu krew w żyłach, nadciągały dziesiątki szarych płetw o trójkątnych kształtach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Patrząc na pletwy, sunące w stronę tratwy i przecinające powierzchnię wody z nieprawdopodobną wprost szybkością, Johnny przypomniał sobie różne okropne opowieści o rekinach i zaatakowanych przez nich rozbitkach. Skulił się, jak tylko mógł najbardziej na swojej skrzyni. Zakołysała się groźnie, co uświadomiło chłopcu, że nawet małe pchnięcie wystarczyłoby, żeby się przewróciła. Ku swemu zdziwieniu nie czuł zbyt wielkiego strachu, raczej żal i nadzieję, że kiedy nadejdzie to najgorsze, wszystko szybko się skończy. Przykro mu też było, że nikt się nie dowie o jego losie.

Po chwili woda dokoła niego zaroїła się od lśniących, szarych ciał wynurzających się raz po raz spod powierzchni wody, poruszających się wdzięcznymi, płynnymi ruchami. Johnny niewiele wiedział o morskich stworach, ale był pewny, że rekiny pływają jakoś inaczej. Poza tym zwierzęta te wdychały powietrze w taki sam sposób jak on; gdy zbliżały się do niego słyszał ich sapanie i widział jak nozdrza ich otwierają się i zamykają. Ależ oczywiście! To były delfiny!

Johnny uspokoił się i przestał się kulić na środku swojej tratwy. Widywał delfiny w kinie lub w telewizji i wiedział, że są to przyjazne, inteligentne zwierzęta. Teraz bawiły się jak dzieci wśród szczątków „Santa Anny”, podrzucając je w górę długimi, połyskliwymi pyskami i wydając przy tym najdziwniejsze gwizdy i syki.

W odległości kilku metrów od tratwy jeden z nich wysadził głowę z wody i balansował deską na nosie jak wytresowane zwierzę cyrkowe. Zdawało się, że mówi do swoich towarzyszy: – Popatrzcie na mnie, zobaczcie, jaki jestem zręczny!

Dziwna, wprawdzie nie ludzka, ale jakże inteligentna głowa zwróciła się w stronę Johnny’ego i delfin odrzucił swoją zabawkę gestem wyrażającym zdumienie. Zanurzył się w wodzie piszcząc z podniecenia. Po chwili Johnny został otoczony przez połyskliwe, zaciekawione pyski. Delfiny uśmiechały się tak zaraźliwie, że po chwili Johnny zdał sobie sprawę, iż odwzajemnia im się uśmiechem.

Nie czuł się już samotny, miał towarzystwo. Cieszyło go to, chociaż nie były to istoty ludzkie i nie mogły mu pomóc. Fascynował go widok jasnoszarych, jak gdyby wypolerowanych ciał, poruszających się z taką zwinnością i łatwością wśród szczątków „Santa Anny”. Wiedział, że zwierzęta bawią się, baraszkując w morzu niczym młode baranki na wiosennej łące.

Delfiny wyskakiwały od czasu do czasu z wody i przyglądały się chłopcu tak, jakby chciały się upewnić, że im jeszcze nie uciekł. Przypatrywały się z ciekawością, gdy zdejmował z siebie przemoczoną odzież i rozkładał ją, żeby wyschła na słońcu. Zdawało się, że zastanawiają się poważnie, gdy Johnny rzucił im całkiem na serio pytanie: „No i co mam teraz robić?”

Jedno było dlań oczywiste. Musi za wszelką cenę znaleźć schronienie przed tropikalnym słońcem, bo inaczej usmaży się żywcem. Na szczęście problem ten dał się szybko rozwiązać. Zbudował z desek wyłowionych z morza coś w rodzaju daszku. Powiązał deski za pomocą

chustki do nosa, a następnie nakrył koszulą. Był dumny ze swojego pomysłu i miał nadzieję, że przyglądające mu się delfiny doceniają jego spryt.

Nie pozostawało mu nic innego, jak leżeć w cieniu, oszczędzać siły i pozwolić by wiatr i prąd niosły go ku nieznanemu przeznaczeniu. Nie był głodny, a choć miał bardzo wysuszone usta, wiedział, że dopiero za kilka godzin pragnienie stanie się dla niego poważnym problemem.

Morze było teraz znacznie spokojniejsze, fale unosiły się i opadały łagodnymi, miarowymi ruchami. Johnny słyszał kiedyś zdanie: „Huśtać się na grzbietach fal”. Teraz wiedział już dokładnie, co to znaczy. Był spokojny, odprężony, niemal zapomniał o swojej rozpaczliwej sytuacji, wpatrywał się w błękit morza, w błękit nieba, obserwował dziwne, piękne zwierzęta, które baraszkowały i płały dokoła niego, a od czasu do czasu wyskakiwały wysoko w powietrze powodowane samą tylko radością życia...

Coś nagle wstrząsnęło tratwą i Johnny ocknął się. Musiał spać przez kilka godzin, bo słońce było już niemal w zenicie. Po chwili tratwa znowu się zatrzęsała i Johnny zrozumiał, co było tego przyczyną.

Cztery delfiny, płynąc obok siebie, popychały tratwę nosami. Już płynęła szybciej niż potrafiłby człowiek, a wciąż nabierała rozpędu. Johnny ze zdumieniem patrzył na te dziwne, płynące w odległości zaledwie kilku centymetrów od niego zwierzęta. Czyżby to była jakaś ich następna zabawa?

Już w momencie kiedy zadawał sobie to pytanie, wiedział, że odpowiedź brzmi: Nie! Zachowanie się delfinów uległo całkowitej zmianie. Wydawało się celowe i przemyślane. Zabawa skończyła się. Johnny znajdował się teraz w środku dużej grupy zwierząt płynących w tym samym kierunku. Były ich dziesiątki, jeżeli nie setki, przed nim, za nim, na prawo i na lewo od niego, tak daleko, jak sięgał wzrokiem. Miał wrażenie, że płynie przez ocean w centrum oddziału wojskowego – brygady kawalerii.

Zastanawiał się, jak długo zwierzęta wytrzymają to tempo, ale na razie nie zdradzały żadnych objawów zmęczenia. Od czasu do czasu jedno z nich odpływało od tratwy i wtedy inne natychmiast zajmowało jego miejsce, toteż szybkość jazdy nie zmniejszała się. Johnny nie potrafił dokładnie ocenić prędkości, z jaką się posuwali, ale przypuszczał, że wynosi powyżej pięciu mil na godzinę. Nie orientował się natomiast zupełnie, czy płynie na północ, południe, wschód czy zachód, gdyż słońce stało niemal w zenicie.

Dopiero znacznie później zrozumiał, że płyną na zachód, bowiem słońce zaczęło kryć się za horyzont na wprost niego. Cieszył się, że zbliża się noc i chłód. Dręczyło go pragnienie, miał spieczone i popękane wargi i chociaż nęciła go pieniaca się dokoła niego woda, wiedział, że nie wolno jej pić. Pragnienie było tak silne, że zagłuszało głód. Nawet gdyby miał żywność, nie potrafiłby nic przełknąć.

Kiedy słońce wreszcie zaszło, całe w aureoli złota i purpury, Johnny poczuł ogromną ulgę.

Delfiny wciąż zdążyły na zachód. W górze zapalały się gwiazdy, wschodził księżyc. „Jeżeli wytrzymają to tempo przez całą noc – pomyślał Johnny – to przepłyniemy prawie sto mil. Muszą zdążyć do określonego celu, ale do jakiego?” Zaczął mieć nadzieję, że dotrze do jakiegoś lądu, że te przyjazne i inteligentne stworzenia prowadzą go tam, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego podjęły ten trud.

Była to najdłuższa noc, jaką kiedykolwiek przeżył. Rosnące wciąż pragnienie nie pozwalało mu zasnąć. Na dodatek skórę miał spaloną i obolałą, więc wiercił się i kręcił, przez cały czas daremnie szukając wygodniejszej pozycji. Przeważnie leżał płasko na plecach i podkładał części odzieży pod bardziej bolesne miejsca. Księżyc i gwiazdy przesuwaly się po niebie szalenie powoli. Co pewien czas ostre światło jakiegoś satelity pędziło z zachodu na wschód szybciej niż wszystkie gwiazdy i w przeciwnym od nich kierunku. Johnny złościł się na myśl o tym, że w stacjach kosmicznych siedzą ludzie mający do dyspozycji różne przyrządy, za pomocą których mogliby go znaleźć – gdyby tylko zechcieli go szukać. Ale niestety, nie mieli po temu żadnego powodu.

Tym razem Johnny nie ucieszył się z nastania dnia. Wiedział, jak trudno będzie mu się obronić przed tropikalnym słońcem. Odbudował namiocik, wczuł się do środka i próbował nie myśleć o piciu.

Było to jednakże niemożliwe. Wciąż od nowa marzył o zimnym koktajlu mlecznym, o szklance chłodnego soku owocowego albo o szumiących strumieniach fontanny. A przecież był na morzu dopiero od trzydziestu godzin; mm rozbitkowie potrafili przeżyć bez wody znacznie dłużej.

Na duchu podtrzymywała go jedynie determinacja i energia jego eskorty. Delfiny sunęły nadal na zachód pchając tratwę z nie zmniejszającą się szybkością. Johnny nie zastanawiał się już nad ich tajemniczym zachowaniem się. Uznał, że zagadka ta albo rozwiąże się sama – we właściwym czasie – albo wcale.

Wreszcie, już dobrze po wschodzie słońca, zobaczył zarysy lądu. Przez dłuższy czas obawiał się, że jest to tylko obłok na horyzoncie – lecz w takim razie byłby to jedyny obłok na niebie, który w dodatku znalazł się na wprost jego oczu. Wkrótce miał już pewność, że to wyspa. Zdawała się unosić nad powierzchnią morza, a drganie powietrza sprawiało, że można było odebrać wrażenie, iż chyboce się i balansuje tuż nad horyzontem.

Po upływie godziny Johnny widział ją już wyraźnie. Była długa, płaska i całkowicie pokryta drzewami. Wąskie pasmo oślepiającego białego piasku okalało jej brzegi, a dalej musiał się ciągnąć bardzo szeroki pas skał, bo fale rozбивały się w odległości jakiejś mili od lądu.

Johnny zrazu nie dostrzegał żadnego śladu życia, ale wkrótce ujrzał z radością cienką smugę dymu unoszącego się nad środkową częścią wyspy. Tam gdzie jest dym, muszą być i ludzie, a także woda, której domagał się cały jego organizm.

Znajdowali się jeszcze w odległości kilku mil od wyspy, kiedy delfiny sprawiły mu okrutną

niespodziankę. Skreśliły ostro, jak gdyby zamierzały ominąć ląd, do którego było tak blisko. Ale już po chwili Johnny zrozumiał, o co im chodzi. Pasma skał stanowiło dla nich zbyt trudną przeszkodę, chciały ją więc ominąć i podплыnąć do wyspy od innej strony.

Droga okrężna zabrała im co najmniej godzinę, ale Johnny już się nie niepokoił, wiedział, że niebezpieczeństwo minęło. Kiedy wreszcie tratwa wraz ze swoją niestrudzoną eskortą zbliżyła się do brzegów wyspy od strony zachodniej, dostrzegł małą flotyllę zakotwiczonych łodzi, następnie kilka niskich, białych budynków, wreszcie grupę chat i jakichś ciemnoskórych ludzi krzątających się pomiędzy nimi. Na tej samotnej wysepce Oceanu Spokojnego mieszkała widać dość liczna społeczność ludzka.

Delfiny zdawały się być nieco niezdecydowane; Johnny odniósł wrażenie, że boją się wpłynięcia na płytką wodę. Pchnęły tratwę ku zakotwiczonym łodziom i wycofały się, jak gdyby chciały dać do zrozumienia, że reszta należy do niego.

Chciał im podziękować, ale miał zbyt wysuszone usta. Ześlizgnął się więc powoli z tratwy, znalazł się po pierś w wodzie i zaczął brodzić ku lądowi.

Ludzie na plaży zauważyli go i biegli już ku niemu. „Niech sobie poczekają” – pomyślał. Odwrócił się w stronę cudownych, wielkich stworzeń, które sprawiły mu tę niezwykłą, wręcz nieprawdopodobną podróż, i pomachał im ręką, pragnąc jakoś wyrazić swą wdzięczność. Ale one już odpływały ku swym domowym pieleszom, w głąb oceanu.

I nagle coś dziwnego stało się z nogami chłopca. Piasek też zachował się dziwnie, bo uniósł się i uderzył go w twarz. I zaraz wszystko dokoła zniknęło z jego świadomości wraz z delfinami i wyspą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy Johnny się obudził, stwierdził, że leży na niskim łóżku, w czystym pokoju o białych ścianach. Nad jego głową obracał się wentylator, a przez zasłonięte firanką okno sączyło się dzienne światło. Wyplatane krzesło, mały stolik, komoda i umywalka uzupełniały umeblowanie pokoju. Nawet, gdyby nie poczuł lekkiego zapachu środków dezynfekujących, wiedziałby, że znajduje się w szpitalu.

Usiadł na łóżku i natychmiast krzyknął z bólu. Zdawało mu się, że całe jego ciało stanęło w płomieniach. Spojrzał na siebie i stwierdził, że ma ogniście czerwoną skórę, łuszczącą się całymi płatami. Widać zajęto się nim już, gdyż najgorsze miejsca posmarowane były grubo białą maścią.

Johnny zrezygnował na razie z poruszania się i opadł na poduszkę wydając z siebie kolejny mimowolny okrzyk bólu. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła ogromna kobieta. Miała ramiona grubości palmowych pni, a resztę ciała w tej samej mniej więcej skali. Ważyła co najmniej sto dwadzieścia kilo, a jednak nie była otyła, lecz po prostu wielka.

–Jak się czujesz, chłopcze? – zapytała. – Dlaczego tak wrzeszczysz? Jak żyję nie słyszałam takich krzyków z powodu głupiej opalenizny.

Na jej szerokiej, czekoladowej twarzy ukazał się wesoły uśmiech, co powstrzymało Johnny'ego od ostrej odpowiedzi. Skrzywiwszy więc tylko usta w niewyraźnym uśmiechu, pozwolił zmierzyć sobie gorączkę i policzyć puls.

–A teraz – powiedziała odkładając termometr – dam ci coś na sen, a kiedy się obudzisz nie będzie cię już bolało. Ale przedtem podaj mi adres, żebyśmy mogli zawiadomić twoją rodzinę.

Johnny zeszywniał na całym ciele. Po tym, co przeszedł, nie miał zamiaru dać się odesłać do domu najbliższym statkiem.

–Nie mam w ogóle rodziny – powiedział. – Nie mam nikogo, komu chciałbym przekazać wiadomość.

Brwi pielęgniarki uniosły się.

–Hmmm – odezwała się sceptycznym tonem – w takim razie dam ci środek nasenny od razu.

–Chwileczkę – powstrzymał ją Johnny. – Proszę mi powiedzieć, gdzie jestem? Czy to Australia?

Pielęgniarka powoli naląła nieco przejrzystego płynu do szklanej miarki, po czym odpowiedziała mu.

–Tak i nie. Jest to terytorium australijskie, ale odległe o sto mil od kontynentu. Znajdujesz się

na jednej z wysp wchodzących w skład Wielkiej Rafy Koralowej. Masz wielkie szczęście, że udało ci się tu dotrzeć. A teraz przełknij to. Nie ma najgorszego smaku.

Johnny skrzywił się, ale okazało się, że pielęgniarka mówi prawdę. Połknął lekarstwo, po czym zadał jeszcze jedno pytanie.

–Jak nazywa się ta wyspa?

Olbrzymka wydała z siebie stłumiony chichot, co zabrzmiało jak odległy grzmot.

–Ty powinieneś to wiedzieć – powiedziała. Lekarstwo podziałało jednakże tak szybko, że Johnny ledwie usłyszał jej odpowiedź, zanim zapadł w sen.

–Nazywamy ją Wyspą Delfinów.

Kiedy Johnny znowu się obudził, był nieco zdrętwiały, ale skóra już go nie piekła. Duża jej część złuszczyła się i przez kilka następnych dni wyglądał, jakby zmienił skórę niczym wąż.

Pielęgniarka poinformowała go, że nazywa się Tessie i pochodzi z wyspy Tonga. Przyglądała się z aprobatą, jak pożerał omlet, kawał mięsa z puszki i mnóstwo tropikalnych owoców. Po tym posiłku Johnny poczuł, że powróciły mu siły. Chciał od razu przystąpić do zbadania terenu.

–Nie bądź taki niecierpliwy – uspokajała go Tessie. – Masz mnóstwo czasu.

Przeszukała stos odzieży i znalazła odpowiednią dla Johnny'ego koszulę i szorty.

–Masz, zmierz to. I weź kapelusz. Trzymaj się z dala od słońca, dopóki nie zahartujesz skóry. W przeciwnym razie znajdziesz się z powrotem u mnie, a tego sobie nie życzę.

–Będę ostrożny – przyrzekł Johnny. Doszedł do wniosku, że lepiej nie narażać się olbrzymce.

Tessie wsunęła dwa palce w usta i ostro zagwizdała. Do pokoju niemal natychmiast weszła szczupła dziewczynka.

–Masz tu swojego chłopca od delfinów, Annie – powiedziała do niej pielęgniarka. – Zaprowadź go do biura. Doktor już czeka.

Johnny znalazł się z małą na oślepiająco białej ścieżce usypanej z kawałków koralu. Słońce prażyło. Przechodzili pod rozłożystymi drzewami podobnymi do dębów, ale o znacznie większych liściach. Drzewa te nieco rozczarowały Johnny'ego, bo zawsze sobie wyobrażał, że tropikalne wyspy są porośnięte palmami.

Następnie weszli na wąską drogę prowadzącą do szerokiej polany i znaleźli się przed grupą parterowych budynków z betonu, połączonych krytymi przejściami. Niektóre z nich miały duże okna, za którymi widać było pracujących ludzi, inne były ich pozbawione. Prawdopodobnie mieściły się w nich maszyny, bo biegły do nich rury i kable.

Johnny wszedł za swoją przewodniczką po schodach do głównego budynku. Kiedy przechodził przed oknami, widział, że znajdujący się za nimi ludzie przyglądają mu się z zainteresowaniem. Nie można się temu było dziwić, biorąc pod uwagę sposób, w jaki znalazł się na wyspie. Johnny zaczął się zastanawiać, czy cała ta jego podróż nie była wytworem imaginacji – wydawała się zbyt fantastyczna, by mogła być prawdziwą. I czy to miejsce naprawdę nazywało się Wyspą Delfinów, jak twierdziła pielęgniarka Tessie? Wyglądało to na zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

Jego przewodniczka była bardzo nieśmiała albo bardzo przestraszona, bo nie wypowiedziała ani jednego słowa i po doprowadzeniu Johnny'ego do drzwi z napisem „Dr Keith – zastępca dyrektora” zniknęła natychmiast. Johnny zapukał, odczekał aż usłyszy: „Proszę wejść”, pchnął drzwi i znalazł się w dużym, klimatyzowanym gabinecie, odświeżająco chłodnym w porównaniu z panującym na zewnątrz upałem.

Dr Keith, mężczyzna po czterdziestce, wyglądał jak typowy profesor. Mimo iż siedział za biurkiem, widać było, że jest wysoki i szczupły. Był także pierwszym białym człowiekiem, jakiego Johnny widział na wyspie.

Wskazał na krzesło i powiedział nieco nosowym głosem: – Siadaj, synu.

Johnny nie lubił, kiedy go nazywano „synem”, nie podobał mu się też australijski akcent, który słyszał zresztą po raz pierwszy w życiu. Ale powiedział grzecznie: – Dziękuję panu – usiadł i czekał co stanie się dalej.

Następne słowa doktora były zupełną niespodzianką.

–Najpierw opowiedz mi, co się z tobą działo po zatonięciu „Santa Anny”.

Wszystkie plany Johnny'ego rozbiły się. Siedział i patrzył z otwartymi ustami na doktora. Owe plany były niezupełnie jasne, zamierzał jednak, przynajmniej przez pewien czas, udawać marynarza, rozbitka, cierpiącego na zanik pamięci. Ale skoro doktor wiedział o poduszkowcu, to zapewne wiedział także, skąd Johnny pochodzi, i niewątpliwie każe go odesłać do domu.

Zdecydował jednak, że nie podda się bez walki.

–Nie słyszałem o żadnej Santa – czy jak jej tam – powiedział z niewinna miną.

–Nie doceniasz naszej inteligencji, synu. Kiedy zjawiłeś się na tej wyspie w tak niezwykle sposób, zapytaliśmy oczywiście straż przybrzeżną drogą radiową, czy zatonął w pobliżu jakiś statek. Odpowiedziano nam, że załoga poduszkowca „Santa Anna” wylądowała w Brisbane i oświadczyła, że jej statek zatonął o sto mil na wschód od naszego wybrzeża. Jednakże stwierdziła też, że wszyscy, włącznie z kotem, uratowali się. Informacja ta wskazywałaby na to, że nie jechałeś „Santa Anną”, ale wpadło nam do głowy, że może byłeś pasażerem na gapę. Potem wystarczyło już tylko sprawdzić posterunki policyjne na trasie „Santa Anny”.

Doktor zamilkł na chwilę, wziął fajkę z biurka i obejrzał ją tak dokładnie, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. W tym momencie Johnny zrozumiał, że doktor prowadzi z nim jakąś grę, i jego początkowa niechęć do niego wzmożła się o kilka stopni.

–Zdziwiłbyś się, gdybyś się dowiedział, ilu chłopców wciąż ucieka z domu – ciągnął dalej ten irytujący głos. – Przez wiele godzin pracowaliśmy, ażeby dojść do tego, kim jesteś – i muszę powiedzieć, że kiedy połączyliśmy się z twoją ciotką Martą, nie wyraziła szczególnej wdzięczności. Nie dziwię ci się, że uciekłeś od niej.

Może doktor Keith wcale nie był taki zły.

–Skoro już tu jestem, to co macie zamiar ze mną zrobić? – zapytał Johnny. Stwierdził przy tym, że niestety, głos załamał mu się nieco, a łzy rozczarowania cisną się do oczu.

–Na razie nie możemy wiele zrobić – odpowiedział doktor, budząc natychmiast nadzieję w Johnny’ m. – Nasz statek popłynął na kontynent i wróci dopiero jutro. Nie odpłynie znowu wcześniej niż za tydzień, możesz więc liczyć na to, że pozostaniesz tu przez następnych osiem dni.

Osiem dni! A więc szczęście jeszcze go nie opuściło. Wiele rzeczy może się zdarzyć w takim okresie, a on już się o to postara!

W ciągu następnych trzydziestu minut opisywał dokładnie swą podróż z miejsca katastrofy na wyspę, a doktor Keith robił notatki i od czasu do czasu zadawał pytania. Nie czynił wrażenia zdziwionego. Kiedy Johnny skończył mówić, doktor wyciągnął z szuflady paczkę fotografii. Były to zdjęcia delfinów; Johnny nie miał pojęcia, że jest aż tak wiele ich odmian.

–Czy mógł być rozpoznać swoich przyjaciół? – zapytał.

–Spróbuję – odpowiedział chłopiec, przerzucając odbitki. Wyeliminował większość z nich, pozostawiając trzy jako prawdopodobne i dwie jako możliwe.

Doktor Keith zdawał się być zadowolony z tego wyboru.

–Tak – powiedział – to są zapewne one. – A potem zadał Johnny’emu bardzo dziwne pytanie.

–Czy któryś z nich mówił coś do ciebie?

Johnny wziął to za żart. Ale po chwili stwierdził, że doktor mówi z pełną powagą.

–Wydawały różne dźwięki – gwizdy, piski, szczekania – ale nie było w tym nic takiego, co dałoby się zrozumieć.

–A może coś w tym rodzaju? – zapytał doktor. Nacisnął jakiś guzik w blacie biurka i z głośnika stojącego w kącie gabinetu popłynęły dźwięki podobne do skrzypienia furtki o

zardzewiałych zawiasach, potem inne, przypominające rozrusznik staromodnego silnika benzynowego, a potem nagle rozległy się słowa:

–Dzień dobry panie doktorze.

Słowa te były powiedziane szybciej niż mógłby je wymówić jakikolwiek człowiek, ale zabrzmiały zupełnie wyraźnie. Już teraz, podczas tego pierwszego słuchania delfiniego głosu Johnny wiedział, że nie jest to tylko echo ludzkiej mowy, lub jej przedrzeźnianie. Zwierzę, które powiedziało „Dzień dobry panie doktorze”, rozumiało doskonale, co mówi.

–Wyglądasz na zdziwionego – uśmiechnął się doktor. – Czy nigdy nie słyszałeś o tym, że delfiny potrafią mówić?

Johnny potrząsnął głową.

–Już od pięćdziesięciu lat wiemy, że delfiny mają własny, rozwinięty język. Próbowaliśmy się z nim zapoznać, starając się jednocześnie nauczyć zwierzęta podstaw naszego języka. Dzięki metodzie wypracowanej przez profesora Kazana uzyskaliśmy niezłe rezultaty. Poznasz profesora, kiedy wróci na wyspę z kontynentu. Bardzo mu zależy na wysłuchaniu twojej opowieści. Ale poczekaj, muszę znaleźć kogoś, kto by się tobą zajął.

Doktor Keith znowu nacisnął guzik i głośniczek wewnętrznego telefonu natychmiast mu odpowiedział:

–Tu szkoła. Słucham, doktorze.

–Czy któryś ze starszych chłopców jest w tej chwili wolny?

–Przyślę panu Micka.

–Dobrze. Niech przyjdzie tu, do biura.

Johnny westchnął. Pomyślał, że nawet na tak małej i odległej wyspie nie można się uwolnić od szkoły...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jako przewodnik po wyspie Mick Nauru miał tylko jedną wadę – we wszystkim przesadzał. Większość jego opowieści była tak nieprawdopodobna, że nikt chyba nie wziąłby ich na serio, ale czasami Johnny nie wiedział, czy Mick go nabiera, czy nie. Czy, na przykład, możliwe, żeby pielęgniarka Tessie („Dwutonowa pielęgniarka”, jak nazywali ją mieszkańcy wyspy) uciekła z domu, bo olbrzymie dziewczyny na wyspie Tonga wyśmiewały ją za to, że jest taka drobna? Mick zapewniał go, że to szczerą prawdą. – Zapytaj ją sam, jeżeli mi nie wierzysz – powiedział patrząc na Johnny’ego poważnie spod wielkiej, czarnej, kędzierzawej czupryny.

Na szczęście, inne jego informacje dawały się łatwiej sprawdzić, a w sprawach poważnych można mu było całkowicie ufać. Kiedy doktor oddał mu Johnny’ego pod opiekę, Mick zabrał go na krótką wycieczkę, a przy okazji zrobił mu szybki wykład o historii i geografii wyspy.

Na jej niedużej przestrzeni działo się bardzo wiele. Dopiero po jakimś czasie Johnny zaczął się swobodnie po niej poruszać. Pierwszą rzeczą, którą od razu zrozumiał, był fakt, że ludność Wyspy Delfinów składa się z dwóch grup: jedną stanowili naukowcy i technicy stacji badawczej, a drugą rybacy, którzy obsługiwali łodzie i żyli z płodów morza. Z tej drugiej grupy pochodzili również pracownicy obsługujący elektrownie, wodociągi i zajmujący się różnymi innymi podstawowymi pracami, takimi jak gotowanie, pranie oraz prowadzenie niewielkiej fermy, z dziesięcioma przekarmionymi krowami.

–Sprowadziliśmy tu krowy – wyjaśniał Mick – po tym jak profesor próbował nakłonić ludzi do picia mleka delfinów. Był to jedyny wypadek, kiedy doszło do buntu na wyspie.

–Odkąd tutaj mieszkasz? – zapytał Johnny – Czy urodziłeś się na wyspie?

–O nie! Moja rodzina przybyła z Wyspy Darnley w cieśninie Torres. Przenieśliśmy się tutaj przed pięciu laty, kiedy miałem dwanaście lat. Rodziców znęciły dobre zarobki, a i praca zapowiadała się ciekawie.

–A czy jest rzeczywiście ciekawa?

–Jasne! Za nic nie wróciłbym na Darnley albo na kontynent! Zaczekaj, aż poznasz rafy, a zrozumiesz mnie.

Zeszli ze schludnie utrzymanej ścieżki i poszli skrótem przez las, zajmujący większą część wyspy. Drzewa rosły gęsto, ale przeciskali się pomiędzy nimi bez trudu, zwłaszcza, że nie napotykali ani lian, ani cierni, których Johnny spodziewał się w tropikalnym lesie. Roślinność była wprawdzie dzika, ale niegroźna dla człowieka.

U podstaw niektórych pni sterczały jakby grube wąsy i dopiero po pewnym czasie Johnny zrozumiał, że były częścią składową drzew. Może te drzewa nie ufały miękkiej glebie, z której wyrastały i wypuszczały korzenie ponad ziemię, by mieć w razie czego dodatkowe podpory.

–To są pandany – wyjaśnił Mick. – Niektórzy nazywają je drzewami chlebowymi, ponieważ ich owoce po upieczeniu mają smak chleba. Dla mnie są paskudne. Uważaj!

Ale spóźnił się. Prawa noga Johnny’ego zapadła się po kolano w ziemię, a kiedy próbował ją uwolnić, lewa zapadła się jeszcze głębiej.

–Przykro mi – powiedział Mick raczej bez troski. – Powiniennem cię ostrzec. Są tu liczne kolonie burzyków – budują swoje gniazda w ziemi, jak króliki, i w niektórych miejscach nie można zrobić kroku, żeby w nie nie wdepnąć.

–Dziękuję ci za ostrzeżenie – powiedział sarkastycznie Johnny, wyciągając nogi z piasku i otrzepując z nich kurz. Zrozumiał, że będzie się musiał nauczyć wielu rzeczy na Wyspie Delfinów.

Wdepnął jeszcze kilka razy w nory burzyków, nim wreszcie wyszli z lasu i poszli plażą wschodnim brzegiem wyspy. Johnny ze wzruszeniem wpatrywał się w bezkresne wody Pacyfiku. Trudno mu było uwierzyć, że przybył stamtąd, z za dalekiego horyzontu, i że ratunek zawdzięcza cudownemu wydarzeniu, którego jeszcze nie rozumiał.

Nie widać tu było śladu życia, mogli sobie wyobrazić, że są jedynymi mieszkańcami wyspy. To wybrzeże było okresowo atakowane przez silne burze, toteż wszystkie budynki i instalacje portowe znajdowały się po drugiej stronie wyspy. Olbrzymi, wypłowiały pień drzewa wystawał z piasku jak milczący pomnik minionych huraganów. Widać było wielkie zwały martwych koralowców ważące po kilka ton, które zostały zapewne wyrzucone na plażę przez potężne fale. Teraz panował tu wielki spokój.

Chłopcy szli wśród piaszczystych wydm, pomiędzy skrajem lasu i pokrytą koralowcami plażą. Mick rozglądał się dokoła i w końcu znalazł to, czego szukał.

Jakieś wielkie stworzenie wpełzło z morza pozostawiając po sobie ślad, podobny do śladu gąsienic czołgu. Na końcu tego śladu, na małym wzniesieniu widniała kupka gładkiego piasku. Mick zaczął ją rozkopywać rękami.

Johnny pomógł mu. Na głębokości około trzydziestu centymetrów znaleźli tuzin jajek kształtu i wielkości pingpongowej piłki. Nie miały twardej skorupy, ale pokryte były elastyczną, podobną do skóry materią. Mick zdjął koszulę, zrobił z niej torbę i włożył do niej tyle jaj, ile się zmieściło.

–Czy wiesz, co to jest? – zapytał Johnny’ego.

–Tak – odparł Johnny ku widocznemu rozczarowaniu Micka – to są żółwie jaja. Widziałem kiedyś w telewizji film o tym, jak wykluwają się młode żółwie i jak wylazą z piasku. Co masz zamiar z nimi zrobić?

–Zjeść je, oczywiście. Usmażone, świetnie smakują. Są dobre z ryżem.

–Fuj! – zachnął się Johnny. – Mnie do tego nie namówisz.

–Napewno będą ci smakowały! Mamy bardzo dobrego kucharza.

Poszli łukiem plaży na północną, a następnie zachodnią stronę wyspy, po czym dotarli znowu do osiedla. Na jego skraju natknęli się na duży zbiornik wody, połączony z morzem kanałem. Teraz, podczas odpływu, kanał był zamknięty śluzą, która zatrzymywała wodę w zbiorniku do chwili przypływu.

–To, co tu widzisz – powiedział Mick – to najważniejsza rzecz na wyspie.

Po sadzawce pływały dwa delfiny, zupełnie tak samo, jak te, które Johnny widział na oceanie. Chciał im się przyjrzeć dokładniej, ale druciana siatka nie pozwalała podejść bliżej do sadzawki. Na siatce widniał napis z dużych czerwonych liter: „UPRASZA SIĘ O CISZĘ. WŁĄCZONE HYDROFONY!”

Chłopcy posłusznie oddalili się na palcach, a Mick wyjaśnił Johnny’emu:

–Profesor nie chce, żeby w pobliżu delfinów rozlegały się ludzkie głosy. Mówi, że to je może dezorientować. Którejś nocy pijany rybak podszedł i wykrzykiwał jakieś przekleństwa. Zrobiła się z tego dzika awantura i rybak został wywieziony najbliższym statkiem.

–Co to za człowiek, ten profesor? – zapytał Johnny.

–O, jest bardzo sympatyczny. Tylko nie w niedzielę po południu.

–Co się wtedy dzieje?

–W każdą niedzielę rano żona telefonuje do niego i namawia go do powrotu do domu. On się broni, mówi, że nie lubi Moskwy, że jest tam za gorąco w lecie i za zimno w zimie. Kłócą się okropnie, ale co kilka miesięcy godzą się jakoś i spotykają się w takich miejscach, jak na przykład Jałta.

Johnny zamyślił się. Zależało mu bardzo na tym, żeby dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o profesorze Kazanie, bo miał nadzieję, że zwiększy to jego szansę pozostania na wyspie. To, co mówił Mick, nie brzmiało zachęcająco, ale ponieważ niedziela właśnie minęła, profesor będzie może przez kilka następnych dni w dobrym nastroju.

–Czy on rzeczywiście poznał mowę delfinów? – zapytał Micka. – Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek potrafił naśladować te ich dziwne dźwięki.

–Nauczył się kilku słów, to fakt. Ale głównie nagrywa głosy delfinów na taśmy, które analizuje za pomocą komputera. Następnie sam nagrywa taśmy i odtwarza je delfinom. To bardzo skomplikowana metoda, ale daje rezultaty.

Słowa Micka wywarły na Johnny’ m silne wrażenie i pobudziły jego naturalną ciekawość. Zawsze musiał się dowiedzieć, jak dana rzecz działa, a nie potrafił sobie wyobrazić, jak człowiek mógłby nauczyć się mowy delfinów. Powiedział to Mickowi.

–A czy zastanawiałeś się nad tym, jak sam nauczyłeś się sztuki mówienia? – zapytał go Mick.

–Przypuszczam, że przysłuchując się słowom matki – odpowiedział Johnny z odcieniem smutku w głosie. Prawie jej nie pamiętał.

–Słusznie. Toteż profesor odizolował delfinicę z nowo narodzonym delfiniątkiem w basenie i słuchał ich rozmów. Uczył się języka delfinów razem z małym delfinem.

–To brzmi aż nazbyt prosto.

–Ach, to przecież trwało wiele lat i profesor wciąż jeszcze się uczy. Stworzył słownik złożony z kilku tysięcy pojęć. Teraz zabrał się do pisania historii delfinów.

–Historii?

–Można to tak nazywać. Delfiny nie umieją pisać, rozwinęły więc w sobie niezwykłą pamięć. Mogłyby nam opowiedzieć o tym, co działo się w morzach począwszy od najdawniejszych czasów. Tak przynajmniej twierdzi profesor. Chyba ma rację. Człowiek, zanim wynalazł sztukę pisania, też musiał wszystko trzymać w głowie, no nie? Delfiny robią to samo.

Johnny przysłuchiwał się tym zadziwiającym informacjom ze zdumieniem. Wreszcie chłopcy dotarli z powrotem do budynków administracyjnych. Obeszli wyspę dokoła. Widok budynków, pracujących tam ludzi i skomplikowanych maszyn nasunął Johnny’emu bardzo przyziemną myśl.

–Kto za to wszystko płaci? To przecież chyba kosztuje majątek?

–Nie tak znowu wiele w porównaniu z funduszami wydawanymi na badanie kosmosu. Profesor zaczął tę pracę piętnaście lat temu z pomocą sześciu ludzi. Kiedy osiągnął pierwsze rezultaty, otrzymał pieniądze z wielkich fundacji naukowych. Co sześć miesięcy robimy tu porządki dla wapniaków, którzy przyjeżdżają do nas na inspekcję. Słyszałem, jak profesor mówił, że w dawnych czasach było tu weselej.

„To może i prawda – myślał Johnny. Ale teraz chyba też nie jest smutno”. Postanowił za wszelką cenę wziąć udział w tej zabawie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wodolot o nazwie „Latająca Ryba”, pędzący z szybkością pięćdziesięciu węzłów, przyplął z Australii w ciągu dwóch godzin. Kiedy zbliżył się do Wyspy Delfinów, wciągnął wielkie płozy, opuścił się na wodę i już tak samo jak konwencjonalny statek zakończył swoją podróż ze stateczną szybkością dziesięciu węzłów.

Johnny domyślił się, że statek się zbliża, widząc, iż cała ludność wyspy wyrusza ku przystani. Zaciekawiony poszedł tam także, przystanął na plaży i patrzył, jak biały wodolot zbliża się, sunąc ostrożnie przez wykuty w koralu kanał.

Pierwszy pojawił się na brzegu profesor Kazan. Miał na sobie nieskazitelnie białe ubranie z tropiku, a na głowie kapelusz o szerokim rondzie. Powitano go serdecznie. Wśród witających byli technicy, rybacy, urzędnicy i dzieci. Na wyspie panowała prawdziwa demokracja i wszyscy uważali się za równych. Ale, jak Johnny miał się wkrótce zorientować, profesor Kazan stanowił wyjątek, wyspiarze darzyli go jednocześnie respektem i uczuciem, a zarazem byli z niego dumni.

Odkrył też, że skoro się przybyło na powitanie „Latającej Ryby”, to należało pomóc przy jej rozładunku. W ciągu następnej godziny brał więc udział w przenoszeniu sporej liczby paczek i skrzyń ze statku do składu. Właśnie skończył prace i delektował się zimnym napojem, kiedy z głośników usłyszał wezwanie, by stawił się w Bloku Tech i to jak najszybciej.

Wprowadzono go do dużego pokoju wypełnionego przyrządami elektronicznymi. Profesor Kazan i doktor Keith siedzieli przed skomplikowaną tablicą rozdzielczą i nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Johnny nie wziął im tego za złe; zbyt był zafascynowany tym, co się tam działo.

Seria dziwnych, powtarzających się odgłosów, płynęła z głośnika. Brzmiały, jak dźwięki wydawane przez delfiny. Johnny słyszał je już przedtem, ale teraz wydawały mu się nieco inne. Po blisko dziesięciokrotnym powtórzeniu tej samej sekwencji zorientował się, na czym polega różnica. Dźwięki nadawane były w silnie zwolnionym tempie, po to żeby uszy ludzkie mogły odebrać najdrobniejsze niuansy.

Poza tym każdemu dźwiękowi towarzyszył odpowiedni obraz ukazujący się na dużym ekranie telewizyjnym, obraz składający się z rozedrganych światłocieni – wzór z jasnych i ciemnych pasów, który przypominał zarys jakiejś mapy. Choć niewprawne oko Johnny'ego nie mogło doszukać się w nim żadnych sensownych znaczeń, naukowcom miał niewątpliwie dużo do powiedzenia. Obserwowali te obrazy intensywnie i od czasu do czasu poruszali gałkami kontrolnymi, rozświetlając lub przyciemniając kontury.

Kiedy profesor zauważył Johnny'ego, wyłączył aparaturę dźwiękową i odwrócił się ku niemu w obrotowym fotelu. Nie wyłączył jednakże obrazu, który nadal migotał w iście hipnotyzującym rytmie. Johnny musiał, chcąc nie chcąc, co chwila zwracać oczy ku ekranowi. Jednocześnie

korzystał z okazji do dobrego przyjrzenia się profesorowi. Był to zażywny mężczyzna o siwych włosach w wieku około pięćdziesięciu lat. Patrzył na Johnny'ego przyjaznym, choć może nieco obojętnym spojrzeniem, tak jakby pragnął być miły dla wszystkich, ale zachowywał swoje myśli dla siebie. Jak Johnny miał się wkrótce przekonać, potrafił być wspaniałym kompanem, kiedy bywał odprężony, ale często też błędził myślami bardzo daleko, nawet biorąc udział w rozmowie.

Nie znaczy to, że stanowił przykład „roztargnionego profesora”; nikt nie mógł być bardziej od niego sprawny, gdy dochodziło do konkretnej pracy. Zdawał się posiadać umiejętność jednoczesnego funkcjonowania na dwóch płaszczyznach: część jego umysłu była zajęta sprawami codziennego życia, druga zmagala się ze skomplikowanymi problemami naukowymi. Często mogło się wydawać, że wsłuchuje się w jakiś wewnętrzny głos, którego nikt inny nie słyszy.

–Usiądź, Johnny – zaczął teraz. – Kiedy byłem na kontynencie, doktor Keith dał mi znać przez radio o twoim przybyciu. Myślę, że zdajesz sobie sprawę, ile miałeś szczęścia?

–Tak, proszę pana – odparł Johnny z pełnym przekonaniem.

–Wiedzieliśmy od dawna, że delfiny czasami ratowały ludzi, pomagały im dostać się na ląd. Takie legendy istnieją od ponad dwóch tysięcy lat, lecz do naszych czasów nikt nie brał ich na serio. Ale ty nie tylko zostałeś przez nie skierowany w stronę lądu. One pchały cię, przebywając z tobą ponad sto mil.

–Co najdziwniejsze, przywiozły cię prosto tutaj. Dlaczego? Ogromnie nas to ciekawi. Z pewnością nie masz na to odpowiedzi?

Johnny był mile polechtany zainteresowaniem profesora jego osobą, ale rzeczywiście nie miał mu wiele do powiedzenia.

–Cóż – powiedział wreszcie. – Pewnie wiedziały, że panowie zajmują się nimi, chociaż nie mam pojęcia, jak się o tym dowiedziały.

–Odpowiedź jest chyba prosta – wtrącił się doktor Keith – Poinformowały je o tym osobniki, które specjalnie wypuściliśmy na wolność. Proszę sobie przypomnieć – Johnny rozpoznał pięć z nich na fotografiach, które pokazałem mu pierwszego dnia.

Profesor skinął głową.

–Tak, i to są dla nas bardzo cenne informacje. Oznacza to, że przybrzeżne gatunki, z którymi pracujemy, i ich kuzyni z dalekich mórz porozumiewają się tą samą mową. Tego dotychczas nie wiedzieliśmy.

–Jednakże wciąż błędzimy w ciemnościach, jeśli chodzi o ich motywy – powiedział doktor Keith. – Jeżeli dzikie delfiny, które nie miały nigdy bezpośredniego kontaktu z człowiekiem,

podejmują taki trud, oznacza to, że czegoś od nas potrzebują i to czegoś bardzo ważnego. Być może uratowanie życia Johnny'ego znaczy po prostu: – My pomogliśmy wam – teraz wy nam pomóżcie.

–Jest to rzeczywiście prawdopodobne – zgodził się profesor Kazan. – Ale same rozważania niewiele nam dadzą. Istnieje tylko jeden sposób, by się dowiedzieć, czego chcą od nas przyjaciele Johnny'ego – trzeba ich zapytać.

–Jeżeli ich znajdziemy!

–Jeżeli naprawdę czegoś od nas chcą, to nie odpłynęły daleko. Może uda się nawiązać z nimi kontakt nie opuszczając tego pokoju.

Profesor nacisnął wyłącznik i pokój znowu wypełnił się dźwiękami. Tym razem Johnny zorientował się szybko, że słyszy nie głos jednego delfina, ale wszystkie odgłosy morza.

Była to szalenie skomplikowana mieszanka syczenia, skrzypienia, terkotania, jakby ptasich świergotów, dalekich, słabych jęków i szumu miliona fal.

Po kilku minutach słuchania tej fascynującej kakofonii profesor przekręcił inną gałkę skomplikowanego aparatu.

–To był hydrofon zachodni – wyjaśnił Johnny'emu – a teraz włączymy wschodni. Znajduje się na większej głębokości, na skraju Rify.

Struktura dźwięków zmieniła się, szum fal był słabszy, ale za to westchnienia i piski wydawane przez tajemnicze stworzenia stały się znacznie silniejsze. Profesor wsłuchiwał się w nie przez kilka minut, potem włączył północny hydrofon, a wreszcie południowy.

–Niech pan przepuści taśmy przez analizator, dobrze? – poprosił doktora. Gotów jestem jednak założyć się, że w promieniu dwudziestu mil nie ma żadnego większego stadka delfinów.

–W takim razie moja teoria sprawdza się.

–Nie wiadomo. Dwadzieścia mil to dla delfinów niewielka odległość. Poza tym trzeba pamiętać, że one stale polują i nie mogą pozostawać zbyt długo w jednym miejscu. Muszą wciąż szukać nowych terenów, gdziekolwiek by się znajdowały. Stadko, które uratowało Johnny'ego, szybko oczyściłoby z ryb okolicę raf.

Profesor wstał z fotela.

–Zostawię pana z taśmami. Muszę iść do zbiornika. Chodź ze mną Johnny, chciałbym, żebyś się zapoznał z niektórymi z moich najlepszych przyjaciół.

W drodze na plażę profesor zdawał się być pogrążony w myślach. Nagle, zaskoczony Johnny

usłyszał, jak wydaje z siebie gamę szybko zmieniających się gwizdów.

Profesor roześmiał się na widok zdziwionej miny Johnny'ego.

–Żadna ludzka istota nie nauczy się mówić płynnie językiem delfinów. Ja potrafię wypowiedzieć kilka prostych zdań. Muszę jednak dużo ćwiczyć, obławiam się też, że mam raczej kiepski akcent. Tylko delfiny, które mnie dobrze znają, mogą zrozumieć to, co próbuję powiedzieć. Zresztą czasami myślę, że tylko udają, z wrodzonej uprzejmości.

Otworzył furtkę w siatce otaczającej zbiornik wody i starannie ją za sobą zamknął.

–Każdy chce się bawić z Suzie i Sputnikem, ale niestety, nie mogę na to pozwolić – wyjaśnił Johnny'emu. – A na pewno nie teraz, kiedy próbuję uczyć ich angielskiego.

Suzie była matroną, ważącą około stu pięćdziesięciu kilogramów. Gdy zbliżali się, wychyliła swoje lśniące ciało z wody do połowy, wyraźnie podniecona. Sputnik, jej dziewięćmiesięczny syn, był spokojniejszy, a może po prostu nieśmiały. Usiłował trzymać się z dala od przybyszów i krył się za matką.

–Hallo, Suzie – powiedział profesor bardzo wyraźnie. – Hallo, Sputniku.

Potem ściągnął usta i wydobył z nich skomplikowany gwizd. Ale coś mu się widać nie udało, bo zaklął pod nosem i zaczął od początku.

Suzie uznała to za świetny żart. Wydała z siebie kilka zabawnych dźwięków, będących zapewne śmiechem, po czym puściła w stronę przybyszów strumień wody, starając się jednak ich nie oblać. Następnie podpłynęła do profesora, który sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej foliową torebkę pełną smakołyków.

Wziął do ręki jeden kawałek i podniósł go wysoko. Suzie cofnęła się o kilka metrów, wyskoczyła z wody jak rakieta, złapała smakołyk i dała nurka, prawie nie powodując plusku. Po sekundzie wynurzyła się znowu i powiedziała całkiem wyraźnie: – Dziękuję fesórze.

Widać było, że czeka na następny kawałek. Ale profesor pokiwał przecząco głową.

–Nie, Suzie – powiedział, klepiąc ją po grzbiecie. – Nie teraz. Wkrótce pora karmienia.

Suzie chrząknęła, wyrażając chyba niezadowolenie, po czym ruszyła wokół basenu niczym motorówka. Najwyraźniej w świecie popisywała się.

Sputnik ruszył za nią, a profesor powiedział Johnny'emu:

–Spróbuj dać mu jeść, obawiam się, że nie ma do mnie zaufania.

Johnny wyjął z torebki kawałek czegoś, co śmierdziało rybą, olejem i jakimiś chemikaliami. Jak się później dowiedział, był to przysmak, za którym delfiny przepadały, odpowiednik

cukierka czy tytoniu. Profesor wyprodukował go po latach eksperymentowania. Zwierzęta lubiły ów smakołyk do tego stopnia, że gotowe były robić niemal wszystko, by otrzymać go w nagrodę.

–Sputnik – zawołał Johnny. – Sputnik, do mnie!

Mały delfin wychynął z wody i spojrzał na Johnny'ego z niedowierzaniem. Potem zerknął na matkę, na profesora, w końcu znowu na Johnny'ego. Przysmak kusił go, ale bał się zbliżyć do obcego chłopca; parsknął, zanurzył się i ruszył pod wodą w głąb basenu. Nie płynął jednak w jakimś określonym kierunku; jak człowiek, który nie może powziąć decyzji, kręcił się to tu, to tam.

Johnny pomyślał, że Sputnik boi się nie jego, lecz jego dorosłego towarzysza. Odszedł więc na odległość jakichś piętnastu metrów od profesora, stanął na skraju basenu i przywołał do siebie małego delfinka.

Jego założenie okazało się słuszne. Delfinek zorientował się w nowej sytuacji, zaakceptował ją i powoli podpłynął do Johnny'ego. Oczka miał jeszcze podejrzliwe, ale podniósł łeb i otworzył pysk, odsłaniając alarmującą ilość małych, lecz ostrych jak igły zębów. Johnny odetchnął, kiedy Sputnik wziął przysmak z jego ręki, nie musnąwszy nawet jego palców. Delfin jest w końcu zwierzęciem mięsożernym, a Johnny nie miałby ochoty karmić, na przykład młodego lwa, gołymi rękami.

Sputnik trzymał się blisko brzegu basenu oczekując na następny kąsek. – Nie, Sputniku – powiedział Johnny, przypominając sobie, co profesor mówił do Suzie. – Nie, Sputniku, wkrótce pora żywienia!

Sputnik był tak blisko, że Johnny wyciągnął rękę, by go dotknąć. Delfin zadrzał lekko, ale nie cofnął się i pozwolił się pogłaskać po grzbiecie. Johnny ze zdziwieniem przekonał się, że skóra Sputnika jest miękka i gładka jak guma i w niczym nie przypominała łuskowatej powierzchni ciała ryb. Nikt, kto choć raz pogłaskał delfina, nie będzie miał wątpliwości, że jest to ciepłokrwisty ssak.

Johnny miał ochotę jeszcze trochę pobawić się ze Sputnikiem, ale profesor przywołał go ruchem ręki. Kiedy oddalili się od basenu, profesor zażartował:

–Jestem trochę urażony. Jeszcze nigdy nie udało mi się dotknąć Sputnika, a ty zrobiłeś to już za pierwszym razem. Umiesz postępować z delfinami. Czy w domu miałeś jakiegoś zwierzaka?

–Nie, proszę pana – odpowiedział Johnny. – Tylko kijanki i to bardzo dawno.

Profesor roześmiał się.

–Rzeczywiście, ich chyba nie będziemy liczyć!

Po chwili profesor zmienił ton i zwrócił się do Johnny'ego bardzo poważnie, zupełnie jak do kogoś równego sobie, a nie młodszego o czterdzieści lat chłopca.

–Jestem nie tylko naukowcem – powiedział – ale i przesądnym rosyjskim chłopem. Logika mówi mi, że to nonsens, ale zaczynam wierzyć, że los mi ciebie zesłał. Po pierwsze, wskazuje na to sposób, w jaki tu przybyłeś, historia jak z greckiego mitu. A teraz Sputnik je ci z ręki. Jest to z pewnością czysty zbieg okoliczności, ale rozsądni ludzie wykorzystują nawet takie rzeczy.

„Do czego on zmierza?” – zastanawiał się Johnny, ale profesor umilkł. I dopiero gdy zbliżyli się do Bloku Tech, zauważył z lekkim uśmiechem:

–Słyszałem, że nie spieszy ci się za bardzo do domu?

–To prawda, proszę pana – powiedział Johnny skwapliwie – Chciałbym tu pozostać tak długo, jak to możliwe. Chciałbym się dowiedzieć więcej o pańskich delfinach.

–Nie moich – poprawił go profesor. – Każdy delfin jest samodzielnym osobnikiem i ma więcej swobody niż my kiedykolwiek zaznaliśmy na lądzie. One nie są niczyją własnością i mam nadzieję, że tak już na zawsze pozostanie. Ja chciałbym im tylko pomóc i to nie w imię nauki, ale dlatego, że uważani to za przywilej. Nie myśl o nich nigdy jako o zwykłych zwierzętach. W swoim własnym języku nazywają się „Ludem Morza” i to jest najlepsza dla nich nazwa.

Po raz pierwszy Johnny widział profesora tak wzruszonego, ale potrafił zrozumieć jego uczucia. Zawdzięczał wszak życie Ludowi Morza i miał nadzieję, że uda mu się spłacić ten dług.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wyspa Delfinów otoczona była wspaniałym światem raf. Życia nie starczyłoby na poznanie wszystkich jego cudów. Johnny nie przypuszczał, że mogą istnieć na świecie podobne miejsca, tak pełne tajemniczych i pięknych stworzeń, że w porównaniu z nimi pola i lasy mogły się wydawać martwe.

W czasie przyływu rafy znajdowały się całkowicie pod wodą i widać było tylko wąski pas plaży otaczającej wyspę. Ale w ciągu kilku godzin następowała niewiarygodna wprost zmiana. Wprawdzie różnica pomiędzy przyływem i odpływem wynosiła zaledwie metr, lecz teren rafy był tak płaski, że woda ustępowała na odległość kilku mil. W niektórych kierunkach morze cofało się tak daleko, że znikало z pola widzenia i aż po horyzont widniała tylko koralowa płaszczyna.

Wtedy właśnie można było penetrować teren. Należało się zaopatrzyć w parę mocnych butów, kapelusz z szerokim rondem do ochrony przed słońcem i maskę. Najważniejszą częścią ekwipunku były buty, bo kruche, ostre korale kaleczyły nogi, a takie rany łatwo ulegały infekcji i goiły się tygodniami.

Kiedy Johnny po raz pierwszy poszedł na rafy, przewodnikiem jego był Mick. Ponieważ nie miał pojęcia, co go czeka, wszystko wydawało mu się dziwne i nieco przerażające. Zanim dobrze poznał teren, zachowywał się bardzo ostrożnie. Wiedział, że na rafach żyją małe, niewinnie wyglądające stworzonka, które mogą zabić nieostrożnego człowieka.

Chłopcy wyszli przez plażę na zachodni brzeg wyspy. Tam pasmo raf miało szerokość tylko mili. Przeszli przez zwały martwych koralowców, wyrzuconych na ląd i pogruhotanych przez huragany. Cała wyspa była w istocie zbiorowiskiem takich odłamków, pokrytych cienką warstwą ziemi, którą porosła trawa, a potem las. Proces ten trwał długie wieki.

Wkrótce pozostawili za sobą martwe koralowce i Johnny odniósł wrażenie, jakby kroczył teraz przez ogród pełen dziwnych, skamieniałych roślin. Wszędzie sterczały gałązki i konary z kolorowych skamielin, a dalej masywne kształty podobne do olbrzymich grzybów, tak twarde, że można było po nich stąpać. Nie były to jednak rośliny, ale okazy świata zwierzęcego. Kiedy Johnny pochylił się nad nimi, dostrzegł na ich powierzchni niezliczone ilości malutkich otworów.

Każdy z tych otworów był komórką pojedynczego polipa koralowego – małego stworzenia podobnego do ukwiału – a każda z tych komórek zbudowana była z wydzielanego przez to stworzenie wapna. Kiedy umierało, martwa komórka stawała się podkładem dla następnych pokoleń. I tak rafy rosły rok za rokiem, stulecie za stuleciem. Wszystko, na co Johnny teraz patrzył – cała ta olbrzymia płaszczyna połyskująca w słońcu – stworzone było przez żyjątka drobniejsze od jego paznokcia.

A był to zaledwie jeden zagon koralu Wielkiej Rafy Koralowej, rozciągającej się na długości tysięcy mil wzdłuż wybrzeży Australii. Dopiero teraz Johnny zrozumiał uwagę profesora, że

Rafa jest najpotężniejszą kreacją na świecie dokonaną przez żyjące stworzenia.

Johnny zorientował się niebawem, że stąpa nie tylko po koralowcach, ale i po zupełnie innych stworzeniach, bo nagle, bez żadnego ostrzeżenia trysnęła tuż przed nim fontanna wody.

–Co to jest? – krzyknął.

Mick roześmiał się.

–Trydakna – odpowiedział krótko. – Usłyszała twoje kroki.

Następnym razem Johnny dostrzegł trydaknę wystarczająco wcześnie, żeby zobaczyć ją w akcji. Miała około trzydziestu centymetrów średnicy. Schowała się niemal cała w załomku koralowca tak, że widać było tylko jej otwór gębowy. Ciało tego stworzenia (częściowo wychylone ze skorupy) wyglądało jak szmatka kosztownego aksamitu w kolorze szmaragdowoniebieskim. Kiedy Mick nastąpił na sąsiedni kamień, przerażony mięczak zatrzaskał się w skorupie, tryskając wodą niemal do wysokości twarzy Johnny’ego.

–To raczej nieduży okaz – zauważył Mick pogardliwie. – Kiedy zapuścimy się dalej zobaczysz naprawdę wielkie trydakny. Niektóre mają przeszło metr średnicy. Dziadek twierdzi, że gdy pływał na trawlerze z poławiaczami pereł z Cooktown, widział mięczaka o przeszło trzymetrowej średnicy. Ale mój dziadek znany jest ze swoich fantastycznych opowieści, więc nie bardzo mu wierzę.

Johnny nie uwierzył w istnienie nawet metrowych mięczaków, ale później przekonał się, że tym razem Mick mówił prawdę i że nie można uważać za bajkę żadnego opowiadania o rafach i żyjących wśród nich stworzeniach.

Chłopcy szli dalej, a rozzłoszczone trydakny puszczały co chwila w ich kierunku fontanny wody. Wreszcie dotarli do niewielkiej sadzawki. Ponieważ nie było wiatru, który mąciłby jej powierzchnię, Johnny zobaczył pływające w głębi ryby i to tak wyraźnie, jakby zawisły w powietrzu.

Były tak kolorowe, odznaczały się tak wyszukаныmi wzorami, jak gdyby wymyślił je i wymalował oszalały artysta. Najwspanialsze motyle nie miały takich barw, tak oszalamiającej urody, jak te ryby, pływające wśród koralowych raf.

Ale w sadzawce były także i inne stworzenia. Mick wskazał na dwa długie czułki sterczące u wejścia do niewielkiej pieczary; wyciągały się we wszystkie strony, jakby chciały zbadać otaczający je świat.

–Langusty pręgowane – wyjaśnił Mick Johnny’emu. – Może złapiemy je w drodze powrotnej. Smażone na maśle są doskonałe.

W ciągu następnych kilku minut Johnny zobaczył wiele innych stworzeń. Różne gatunki ostryg

o pięknych wzorzystych skorupach, pięcioramienne rozgwiazdy zwolna pełzające po dnie w poszukiwaniu łupu, opancerzone kraby pustelniki oraz coś, co wyglądało na olbrzymiego ślimaka i wypuściło chmurę czerwonego atramentu, kiedy Mick je poruszył.

Johnny zobaczył tu także – po raz pierwszy w życiu – prawdziwą ośmiornicę. Była jeszcze bardzo młoda, miała zaledwie kilkanaście centymetrów długości i kryła się wstydliwie w cieniu, ale doświadczone oko Micka wypatrzyło ją. Wypłoszona zaczęła sunąć nad korałem zgrabnymi i płynnymi ruchami, zmieniając jednocześnie kolor z szarego na bladoróżowy. Ku własnemu zdziwieniu Johnny zachwyił się jej zwinnością i urodą, chociaż wiedział, że szybko zmieniłby zdanie, gdyby zetknął się w wodzie z tym niebezpiecznym okazem.

Chętnie spędziłby cały dzień przy tej niewielkiej sadzawce, ale Mick spieszył się w dalszą drogę. Poszli więc w kierunku morza, omijając kępy koralu, które zdawały się zbyt delikatne, żeby utrzymać ich ciężar.

W pewnej chwili Mick stanął i podniósł nakrapianą skorupę wielkości i kształtu szyszki.

–Popatrz – powiedział pokazując ją Johnny’emu.

Wystający ze skorupy czarny, ostry, zakrzywiony haczyk usiłował ugodzić Micka.

–Jadowity – objaśnił Mick. – Jeżeli cię ukłuje, to marny twój los. Można od tego nawet umrzeć.

Położył skorupiaka z powrotem na kamień. Johnny przyjrzał mu się uważnie. Takie piękne, niewinnie wyglądające stworzonko, a potrafi zadać śmiertelne ukłucie! Postanowił to sobie dobrze zapamiętać.

Dowiedział się jednak również, że rafy są całkiem bezpieczne dla każdego, kto trzyma się dwóch zasad zdrowego rozsądku. Po pierwsze – trzeba dobrze uważać, na co się stąpa, po drugie – nie należy dotykać niczego, o czym nie wie się na pewno, że jest nieszkodliwe.

Wreszcie chłopcy dotarli do granicy rafy i przystanęli, by popatrzeć na łagodnie falujące morze. Wciąż trwała pora odpływu i woda wylewała się z setek małych grot wyrzeźbionych wśród koralowych skał. W głębokich zalewach roiło się od ryb; niektóre z nich były największymi, jakie Johnny kiedykolwiek widział.

–Chodź za mną – powiedział Mick nakładając maskę. Niemal bez plusku wśliznął się do najbliższego zalewu. Nie obejrzał się nawet, żeby zobaczyć, czy Johnny za nim podąża.

Ten wahał się przez chwilę, ale uznał, że nie może wyjść na tchórza, i także wskoczył do wody. Kiedy znalazł się w głębi, natychmiast zapomniał o strachu. Podmorski świat, któremu dotychczas przyglądał się z góry, był jeszcze piękniejszy, kiedy patrzyło się nań przez maskę.

Johnny poczuł się jak ryba pływająca w olbrzymim akwarium. Sunął powoli za Mickiem,

przemykając się pomiędzy koralowymi skałami, których było coraz mniej w miarę, jak chłopcy płynęli ku morzu. Z początku woda miała mniej niż metr głębokości, ale nagle dno obniżyło się niemal pionowo i zanim Johnny się spostrzegł, znalazł się na głębokości sześciu metrów. Oznaczało to, że przekroczył granicę Wielkich Raf i za chwilę znajdzie się na pełnym morzu.

Na moment ogarnął go strach. Przestał płynąć i położył się na wodzie, spoglądając za siebie, by mieć pewność, że bezpieczny teren jest o kilka tylko metrów za nim. Potem spojrział raz jeszcze przed siebie i w dół.

Nie potrafił ocenić, jak daleko może sięgnąć wzrokiem w głąb morza; sądził, że co najmniej na trzydzieści metrów. Strome zbocze prowadziło w zupełnie inny świat niż kolorowy, jasny, który przed chwilą opuścił. Tamten był pełen światła, ten, w dole, ciemnogrnatowy, tajemniczy, ponury. Daleko pod sobą zobaczył wielkie kształty przesuwające się to w przód, to w tył, jak w majestatycznym tańcu.

–Co to jest? – zapytał Micka.

–Graniki – odpowiedział Mick. – Popatrz!

A potem, ku przerażeniu Johnny’ego, Mick dał nura i zwinny jak ryba zaczął niknąć w głębinie.

Johnny patrzył za nim, a on stawał się jakby coraz mniejszy, w miarę jak zbliżał się do owych roztańczonych kształtów, które z kolei zdawały się rosnąć w porównaniu z nim. Kiedy zatrzymał się na głębokości może piętnastu metrów, zawisł tuż nad nimi. Wyciągnął rękę, próbując dotknąć jednej z tych wielkich ryb, ale ta machnęła ogonem i wymknęła mu się.

Mick nie spieszył się z powrotem na powierzchnię, Johnny natomiast musiał co najmniej kilkanaście razy nabrać powietrza w płuca, obserwując jego wyczyny. Wreszcie stwierdził z wielką ulgą, że Mick zaczyna wolno płynąć w górę, machając granikom ręką na pożegnanie.

–Ile ważą te ryby? – zapytał Johnny, kiedy Mick wychynął na powierzchnię i nabrał oddechu.

–Och, czterdzieści, pięćdziesiąt kilo. Największe okazy widuje się na północy. Mój dziadek twierdzi, że złowił pod Cairns czterystukilową sztukę.

–Ale ty mu nie wierzysz? – uśmiechnął się Johnny.

–Ależ wierzę – odwzajemnił się uśmiechem Mick. – Tym razem miał dowód w postaci fotografii.

Kiedy wracali w stronę krawędzi rafy, Johnny raz jeszcze spojrział w głąb granatowej głębi z jej koralowymi głazami, nawisami, tarasami i ociążałymi kształtami tajemniczych ryb. Jakiż ten świat był dziwny, zupełnie jak z innej planety, choć przecież stanowił część naszej. Jego inność budziła w Johnny’m strach i ciekawość zarazem.

Był tylko jeden sposób na zaspokojenie tej ciekawości. Johnny postanowił, że prędzej czy później podąży w ślady Micka, zanurzy się w tajemniczą granatową głębinę...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

–Miał pan rację, profesorze – powiedział doktor Keith – chociaż nie mam pojęcia, skąd pan to wiedział. W zasięgu naszych hydrofonów nie ma dużego stada delfinów.

–Poszukamy ich więc. Wykorzystamy „Latającą Rybę”.

–Ale gdzie ich szukać? Mogą być wszędzie, na przestrzeni tysięcy mil kwadratowych.

–Po to są satelity badawcze – odpowiedział profesor Kazan. – Proszę zatelefonować do Stacji Naziemnej Woomera i poprosić, żeby zrobili zdjęcia obszaru o promieniu pięćdziesięciu mil dokoła wyspy. I to zaraz po wschodzie słońca. Na pewno któryś z satelitów znajdzie się nad nami jutro rano.

–Dlaczego o świcie? – spytał Keith. – Ach, rozumiem, długie cienie ułatwią ich rozpoznanie.

–Oczywiście. Przeszukanie takiego obszaru to niezła robota. Trzeba się bardzo śpieszyć, bo one oddalają się szalenie szybko.

Johnny dowiedział się o tym projekcie zaraz po śniadaniu, kiedy poproszono go, aby pomógł przy analizowaniu fotografii. Profesor Kazan przesadził chyba nieco w swoich wymaganiach. Odbiornik telefotograficzny zrobił na jego żądanie dwadzieścia pięć zdjęć, z których każde obejmowało obszar dwudziestu mil kwadratowych i ukazywało olbrzymie ilości szczegółów. Morze zostało sfotografowane zaraz po wschodzie słońca z lecącego na wysokości ośmiuset kilometrów satelity meteorologicznego, a ponieważ na niebie nie było chmur, które mogłyby zasłonić widok, zdjęcia były pierwszorzędnej jakości.

Johnny otrzymał może najmniej ważne, ale mimo to bardzo interesujące zdjęcie do przestudiowania. Obejmowało obszar środkowy, łącznie z samą wyspą. Zafascynowany przyglądał się przez szkło powiększające budynkom, ścieżkom i łodziom. Widać było nawet pojedyncze postacie ludzkie, jako małe, ciemne punkty.

Teraz dopiero Johnny uświadomił sobie, jak szeroki jest obszar raf okalających Wyspę Delfinów. Ciągnął się milami na wschód tak, że wyspa wyglądała na zdjęciu jak kropka wykrzyknika. Choć zdjęcie wykonano w porze przyływu, widać było poprzez zalewającą rafy płytką taflę wody każdy ich szczegół. Johnny niemal zapomniał o swoim zadaniu przyglądając się zalewom, podwodnym dolinkom i setkom małych wąwozów wydrążonych przez przepływające i odpływające wody.

Wynik badań okazał się pomyślny. Stado delfinów odkryto w miejscu odległym o sześćdziesiąt mil na południowy wschód od wyspy, niemal na skraju fotografowanego odcinkami obszaru. Nie mogło być wątpliwości. Dziesiątki wielkich, ciemnych ciał pływały tuż pod powierzchnią, a niektóre zostały schwytane przez kamerę w chwili, gdy wyskakiwały z wody. Na podstawie śladu, jaki zostawiały na wodzie – szerokiej litery V – można się było

zorientować, że zacierają na zachód.

Profesor Kazan przyglądał się fotografii z zadowoleniem.

–Zblizają się do nas – powiedział – jeżeli utrzymają kurs, będziemy mogli spotkać się z nimi za godzinę. Czy „Latająca Ryba” jest gotowa?

–Tankuje paliwo, będzie gotowa za trzydzieści minut.

Profesor spojrział na zegarek; był podniecony jak mały chłopiec, któremu obiecano zabawkę.

–Doskonale – powiedział szybko. – Zbiórka na przystani za dwadzieścia minut.

Johnny przybiegł tam już po pięciu minutach. Miał się znaleźć po raz pierwszy na statku („Santa Anna”, na której prawie nic nie widział, nie liczyła się) i nie chciał stracić żadnego wrażenia. Zanim zjawił się profesor, Johnny został już spędzony z bocianiego gniazda znajdującego się na wysokości dziesięciu metrów nad pokładem wodolotu. Profesor miał na sobie jaskrawą hawajską koszulę, niósł aparat fotograficzny, lornetkę i teczkę i palił cygaro.

–Jedziemy! – zawołał, i „Latająca Ryba” ruszyła.

Na skraju raf, na końcu wyciętego w koralu kanału ślizgacz zatrzymał się.

–Na co czekamy? – zawołał Johnny w stronę Micka. Stali przechyleni za poręcz i przyglądali się ledwo już widocznej wyspie.

–Nie jestem pewien – powiedział Mick – ale domyślam się. Popatrz, są! Profesor na pewno przemówił do nich przez hydrofony, chociaż one przeważnie przyływają z własnej woli.

Do „Latającej Ryby” zbliżyły się dwa delfiny. Wskakiwały wysoko w powietrze, jak gdyby chciały zwrócić na siebie uwagę. Podpłynęły pod sam statek i ku zdziwieniu Johnny’ego zostały wciągnięte na pokład. Podnośnik wrzucił do wody płócienną płachtę, delfiny wpłynęły do niej po kolei, wniesiono je na pokład i wpuszczono do stojącego na rufie małego zbiornika z wodą. Było to bardzo ciasne akwarium dla dwóch stworzeń, ale one zdawały się czuć w nim doskonale. Widać było, że są tu nie po raz pierwszy.

–Einar i Peggy – wyjaśnił Mick. – Dwa najmądrzejsze delfiny, z jakimi mieliśmy kiedykolwiek do czynienia. Profesor wypuścił je na wolność przed wielu laty, ale one nie odpływają nigdy zbyt daleko.

–Jak można je odróżnić? – zapytał Johnny. – Wydają mi się identyczne.

Mick podrapał się w kudłatą głowę.

–Prawdę mówiąc sam nie jestem pewien. Einara łatwo poznać po szramie na lewej płetwie. A Peggy jest jego dziewczyną, więc rozumiesz? Przynajmniej wydaje mi się, że to Peggy –

dokończył niepewnie.

„Latająca Ryba” przyspieszyła i oddalała się od wyspy z szybkością dziesięciu węzłów. Jej kapitan (którym był jeden z licznych wujów Micka) poczekał, aż wypłynęli poza wszystkie podmorskie przeszkody, potem dał pełny gaz.

Rafy były już o dobre dwie mile za statkiem, kiedy kapitan kazał opuścić wielkie płozy i uruchomić silniki odrzutowe. „Latająca Ryba” zadrżała i uniosła się nad wodą. Po kilkuset metrach cały kadłub statku znalazł się ponad powierzchnią, a opór wody stał się nieporównanie mniejszy. Statek ślizgał się po falach z szybkością pięćdziesięciu węzłów, zużywając przy tym tyleż mocy, co przy szybkości dziesięciu węzłów w normalnym zanurzeniu.

To było wspaniałe! Stać tak na pokładzie dziobowym trzymając się mocno balustrady i czuć na twarzy pęd powietrza. Ale po chwili, nieco pozbawiony tchu, cokolwiek wysmagany wiatrem, Johnny wycofał się na zasłonięte miejsce za mostkiem kapitańskim i stamtąd patrzył, jak Wyspa Delfinów ginie za horyzontem. Wkrótce była już tylko zielono-białą smugą, a po chwili zniknęła mu całkowicie z oczu.

W ciągu następnej godziny minęli kilka podobnych, ale mniejszych wysp, które, jak twierdził Mick, były bezludne. Z oddali wyglądały tak sympatycznie, że Johnny zastanawiał się, dlaczego pozostały puste w tym przeludnionym świecie. Nie przebywał jeszcze wystarczająco długo na Wyspie Delfinów, żeby zdawać sobie sprawę ze skomplikowanych problemów, związanych z pitną wodą, energią i dostawami, które trzeba było rozwiązywać, jeżeli się chciało egzystować na Wielkiej Rafie Koralowej.

„Latająca Ryba” zaczęła nagle zwalniać, choć na horyzoncie nie było widać żadnego lądu. Statek osiadł na wodzie i zatrzymał się.

–Proszę o ciszę! – zawołał kapitan. – Profesor będzie nasłuchiwał.

Profesor nie nasłuchiwał długo. Po jakichś pięciu minutach wyszedł z kabiny z zadowoloną miną.

–Jesteśmy na dobrym tropie – oświadczył – Delfiny znajdują się o pięć mil stąd i gadają ze sobą na cały głos.

Statek ruszył, zmieniając kurs o kilka stopni na zachód. Już po dziesięciu minutach był otoczony przez delfiny.

Setki tych stworzeń płały w morzu lekko i bez wysiłku. Kiedy statek się zatrzymał, otoczyły go kołem, zupełnie jak gdyby się go spodziewały; może rzeczywiście tak było.

Za pomocą podnośnika spuszczone z pokładu Einara, ale tylko jego, ponieważ, jak wyjaśnił profesor, wśród delfinów jest wielu energicznych samców, którzy bywają agresywni. – Chcemy uniknąć tego rodzaju kłopotów, podczas gdy Einar dla nas pracuje. – Peggy była oburzona, ale

nic nie mogła wskórać i tylko oblewała wodą każdego, kto się do niej zbliżył.

„To na pewno jedna z najdziwniejszych konferencji, jakie się kiedykolwiek odbyły” – pomyślał Johnny. Stał z Mickiem na przednim pokładzie i przechylony przez balustradę patrzył na grupę zgrabnych, ciemnoszarych ciał dokoła Einara. Nad czym debatowały delfiny? Czy Einar znał wystarczająco dobrze język swoich głębinowych kuzynów i czy profesor zrozumie Einara?

Niezależnie od tego, jaki miał być wynik tego spotkania, Johnny odczuwał głęboką wdzięczność dla tych przyjaznych, sympatycznych stworzeń. Miał nadzieję, że profesor Kazan pomoże im, tak samo jak one pomogły jemu, Johnny’emu.

Po upływie pół godziny Einar wpłynął ponownie na płachtę i został podniesiony na pokład ku wielkiej radości Peggy, a i profesora.

–Mam nadzieję, że większość czasu spędzili na plotkach – zauważył. – Pół godziny rozmowy delfinów to dla mnie tydzień pracy, nawet z pomocą komputera.

Maszyny statku odezwały się znowu spod pokładu i raz jeszcze wodolot wynurzył się powoli z wody. Przez kilkaset metrów towarzyszyły mu delfiny, ale wkrótce nie mogły już nadążyć. To był wyścig, którego nie mogły wygrać. Kiedy znajdowały się już o kilka mil za rufą statku. Johnny wciąż widział na tle linii horyzontu zarys ich ciemnych ciał, wyskakujących stromo ponad wodę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Johnny rozpoczął lekcje nurkowania koło mola, pomiędzy zakotwiczonymi tam rybackimi kutrami. Woda była krystalicznie czysta, a że miała tylko około półtora metra głębokości, więc mógł śmiało pozwalać sobie na wszystkie błędy początkujących, nie narażając się na niebezpieczeństwo, w czasie nauki używania maski i płetw.

Mick nie był zbyt dobrym nauczycielem. Od dzieciństwa pływał i nurkował, i nie pamiętał już własnych, początkowych trudności. Nie potrafił pojąć, że ktoś może nie umieć nurkować bez trudu aż na samo dno lub pozostawać tam swobodnie przez dwie trzy minuty. Był więc niecierpliwy w stosunku do swojego ucznia, który wyskakiwał co chwila jak korek na powierzchnię, dziko wierzgał nogami i nie potrafił porządnie się zanurzyć.

Ale Johnny wkrótce pojął, w czym rzecz. Nauczył się, że nie należy napełniać płuc przed zanurzeniem się, bo powoduje to, że woda wypycha go w górę i czyni nurkowanie wręcz niemożliwym. Zrozumiał także, że jeżeli wyciągnie nogi nad wodę, to ich ciężar pociągnie go prosto w głąb, a kiedy opadnie już głęboko pod powierzchnię, może użyć płetw i w ten sposób płynąć w każdym kierunku.

Już po kilku godzinach ćwiczeń pozbył się pierwotnej niezgrabności. Odkrył rozkosz ślizgania się i pikowania w tym pozbawionym grawitacji świecie. Czuł się jak kosmonauta na orbicie. Fikał koziołki i kręcił się w kółko lub leżał bez ruchu na dowolnej głębokości. Ale nie potrafił pozostawać pod wodą ani w połowie tak długo, jak Mick. Jak wszystko warte zachodu, ta sztuka wymagała także czasu i wysiłku.

Wiedział już, że czasu mu nie zabraknie. Profesor Kazan był człowiekiem o łagodnym sposobie bycia, ale miał spore wpływy i użył ich w sprawie Johnny'ego. Zwrócił się, gdzie było trzeba, i po wypełnieniu rozmaitych formularzy Johnny został oficjalnie przydzielony do stacji. Ciotka aż nazbyt skwapliwie zgodziła się na to i chętnie przesłała chłopcu kilka drobiazgów, do których przywiązywał wagę.

Teraz, kiedy znajdował się na drugim końcu świata, mógł beznamiętnie zastanowić się nad przeszłością i doszedł do wniosku, że chyba i on popełnił pewne błędy. Czy próbował na serio dostosować się do rodziny, która go zaadoptowała? Wiedział, że owdowiała ciotka nie miała łatwego życia. Gdyby był starszy, może lepiej zrozumiałby jej problemy i zaprzyjaźniliby się nawet ze sobą. Ale cokolwiek się stało, nie żałował ani przez chwilę swojej ucieczki.

W jego życiu otworzył się nowy rozdział, który nie miał nic wspólnego z tym wszystkim, co dotąd przeżył. Uświadomił sobie, że dotychczas tylko egzystował, a teraz dopiero żyje naprawdę. Po wczesnej stracie tych, których kochał, bał się nowych więzów uczuciowych. Stał się podejrzliwym egocentrykiem. Ale w miarę jak ciepło, które wyczuwał w stosunkach, jakie łączyły mieszkańców wyspy, przełamywało jego rezerwę, zmieniała się i postawa Johnny'ego wobec ludzi.

Rybacy byli przyjaźni, weseli i niezbyt obciążeni pracą. Nie było powodu, by ciężko pracować w tak ciepłym klimacie, w sytuacji kiedy wystarczyło sięgnąć do morza, żeby zdobyć żywność. Niemal każdego wieczoru urządzano tańce, seans filmowy albo piknik na plaży. A kiedy padało (zdarzały się czasami deszcze, i to obfite – kilkanaście centymetrów na godzinę) można było oglądać telewizję. Dzięki satelitom komunikacyjnym na Wyspie Delfinów można było oglądać wszystkie programy świata, z zaledwie półsekundowym opóźnieniem. A jednocześnie wyspa była tak odizolowana od reszty globu, że korzystając z wszystkich dobrodziejstw cywilizacji, unikała większości jej wad.

Johnny nie żył jednak samą zabawą. Jak wszyscy wyspiarze w wieku do dwudziestu lat (a liczni i w późniejszym) musiał spędzać co dzień kilka godzin w szkole.

Profesor Kazan przykładął dużą wagę do nauki. Wyspa miała dwunastu nauczycieli: dwaj byli ludźmi, resztę stanowili nauczyciele elektroniczni. Takie same proporcje spotykało się we wszystkich szkołach świata od czasu, gdy w połowie dwudziestego wieku wynaleziono mechanicznych nauczycieli.

Tutaj wszystkie maszyny podłączone były do OSKARA, wielkiego komputera, który dokonywał tłumaczeń dla profesora, załatwiał lwią część rachunkowości i prac związanych z administrowaniem wyspą, a na żądanie, po mistrzowsku grał w szachy. Wkrótce po przybyciu na wyspę Johnny musiał wykonać dla OSKARA mnóstwo testów, które ujawniły poziom jego wykształcenia. Następnie komputer opracował dla niego odpowiednie taśmy instruktażowe i cały program nauki. Johnny spędzał teraz codziennie co najmniej trzy godziny przy maszynie nauczającej i wystukiwał na klawiaturze odpowiedzi na pytania oraz informacje ukazujące się na ekranie. Mógł to robić w dowolnym czasie, ale nie wolno mu było opuszczać żadnej lekcji. Gdyby to się stało, komputer doniósłby o tym natychmiast profesorowi albo jeszcze gorzej – doktorowi Keithowi.

Ale obaj naukowcy zajmowali się w tym czasie znacznie ważniejszą sprawą. Po dwudziestu czterech godzinach nieprzerwanej pracy profesor przetłumaczył informacje Einara i stanął przed dylematem. Był człowiekiem pokoju. Można by go określić po prostu jako człowieka o „gołębim sercu”. A teraz, ku jego wielkiemu zmartwieniu, zwrócono się do niego o zajęcie stanowiska w konflikcie wojennym.

Wpatrywał się w posłanie wydrukowane przez OSKARA, jak gdyby miał nadzieję, że ono za chwilę zniknie. Mógł jednakże mieć pretensję tylko do samego siebie, bo to przecież on sam postarał się o nie.

–No i cóż, profesorze – zapytał doktor Keith, który zmęczony i nieogolony siedział przed tablicą kontrolną komputera. – Co teraz zrobimy?

–Nie mam najmniejszego pojęcia – odpowiedział profesor Kazan. Jak większość dobrych naukowców i bardzo niewielu kiepskich, nie wstydził się przyznać, że jest w kłopotach. – A co pan proponuje?

–Wydaje mi się, że jest to wypadek, w którym należy zasięgnąć opinii Komitetu Doradczego. Warto to chyba omówić chociażby z kilkoma jego członkami.

–Niezły pomysł – powiedział profesor. – Zobaczmy, z kim uda nam się skontaktować o tej porze. – Wyciągnął z szuflady listę nazwisk i zaczął przesuwając palcem wzdłuż kolumn.

–Amerykanie odpadają; o tej porze wszyscy tam śpią. To samo dotyczy większości Europejczyków. Pozostają nam... Saha w Delhi, Hirsch w Tel-Awii, Abdullah w...

–To wystarczy – przerwał doktor Keith – Nie znam udanej konferencji, w której wzięłoby udział więcej niż pięć osób.

–Słusznie. Zobaczmy, czy uda nam się z nimi skomunikować.

W piętnaście minut później pięciu ludzi znajdujących się w różnych częściach globu rozmawiało ze sobą tak, jak gdyby byli w jednym pokoju. Profesor Kazan nie zażądał wizji, chociaż w razie potrzeby i to było możliwe. Tym razem uznał, że do wymiany poglądów, na której mu zależało, wystarczy sam głos.

–Panowie – zaczął po wymianie kilku powitalnych słów – Stoimy w obliczu problemu. Postawimy go niebawem przed całym komitetem, a może nawet trzeba będzie pójść wyżej. Teraz będę was prosił o wyrażenie waszej prywatnej opinii.

–Ha! – odezwał się doktor Hassim Abdullah, słynny pakistański biochemik, ze swojego laboratorium w Karaczi – Prosił mnie pan dotychczas o co najmniej tuzin „prywatnych opinii”, ale nie przypominam sobie, aby pan kiedykolwiek potraktował na serio któraś z nich.

–Tym razem może być inaczej – odpowiedział profesor Kazan. Jego uroczysty ton świadczył o powadze chwili.

Zrelacjonował kolegom wypadki związane z przybyciem Johnny’ego na wyspę. Znali już je właściwie, gdyż akcja ratunkowa delfinów została rozreklamowana na cały świat. Teraz profesor opisał jej ciąg dalszy, a mianowicie wyjazd „Latającej Ryby” w morze i rozmowy Einara z głębinowymi delfinami.

–Może to przejść do podręczników historii jako pierwsza rozmowa pomiędzy człowiekiem i innym gatunkiem. Jestem pewien, że nie będzie ostatnią. To, co teraz robimy, może się okazać przełomowe dla przyszłości – zarówno Ziemi jak i Kosmosu.

–Wiem, niektórzy z was uważają, że przeceniam inteligencję delfinów. Cóż, może teraz zmienicie zdanie. Delfiny zwróciły się do nas, prosząc o pomoc przeciwko najbardziej bezwzględnemu z ich wrogów. W morzach żyją tylko dwa rodzaje stworzeń, które atakują delfiny. Jednym z nich są oczywiście rekiny, ale one nie stanowią istotnego niebezpieczeństwa dla stada dorosłych delfinów, które potrafią zabić rekina jednym uderzeniem w skrzel. Toteż delfiny gardzą tylko tymi głupimi rybami – bo są rzeczywiście głupie, nawet jak na ryby – i

nienawidzą ich.

Zupełnie innym przeciwnikiem jest kuzyn delfina, orka – drapieżna odmiana wieloryba – *Orcinus Orca*. Można zaryzykować twierdzenie, że orka jest to w gruncie rzeczy bardzo duży delfin, który stał się kanibalem. Dochodzi do dziesięciu metrów długości i znaleziono okazy, w których żołądku znajdowało się dwadzieścia delfinów! Pomyślcie! Cóż to za apetyt, dla zaspokojenia którego potrzeba pożreć dwadzieścia delfinów na raz!

Nic dziwnego, że delfiny zwróciły się do nas z prośbą o ochronę. Wiedzą, że rozporządzamy siłą, której nie mogą dorównać – dowodzą tego od wieków nasze statki. Bardzo możliwe, że przyjazny stosunek delfinów do ludzi oznaczał od dawna próbę nawiązania kontaktu i prośbę o pomoc w ich nieustającej wojnie, a my dopiero teraz zrozumieliśmy, o co im chodzi. Jeżeli taka jest prawda, to wstydzę się za siebie i cały ludzki ród.

–Chwileczkę, panie profesorze – przerwał doktor Saha, hinduski fizjolog – wszystko to jest bardzo ciekawe, ale czy jest pan zupełnie pewny, że to właściwa interpretacja? Niech mi pan wybaczy, ale wszyscy znamy pańskie uczucia dla delfinów, które zresztą większość z nas podziela. Czy przypadkiem nie wkłada pan w ich usta swoich własnych koncepcji?

Mimo że dr Saha mówił bardzo ostrożnie, niektórzy ludzie mogliby się czuć dotknięci taką uwagą. Ale profesor Kazan odpowiedział mu łagodnym tonem:

–Nie może być żadnych wątpliwości. Proszę zapytać doktora Keitha.

–To fakt – odezwał się doktor Keith. – Ja nie znam mowy delfinów tak dobrze jak profesor Kazan, ale jestem gotów potwierdzić jego koncepcję, kładąc na szalę całą moją reputację.

–To, co teraz powiem – kontynuował profesor Kazan – będzie zresztą dowodem, że nie jestem całkowicie bezkrytycznym zwolennikiem delfinów, jakkolwiek jestem do nich niewątpliwie bardzo głęboko przywiązany. Nie jestem zoologiem, ale wiem coś niecoś o równowadze w przyrodzie. I zastanawiam się... jeżeli nawet jesteśmy w stanie im pomóc, to czy powinniśmy to robić? Doktorze Hirsch, co pan o tym myśli?

Dyrektor Zoo w Tel-Awii nie odpowiedział od razu. Był trochę zaszpany, bo w Tel-Awii słońce jeszcze nie weszło.

–Dał pan nam bardzo twarde orzechy do zgryzienia – powiedział wreszcie. – I obawiam się, że nie przemyślał pan do końca wszystkich konsekwencji tej sprawy. Wszystkie bez wyjątku zwierzęta żyjące w stanie naturalnym mają wrogów – drapieżniki – i byłoby dla nich zgubne, gdyby ich nie miały. Proszę chociażby spojrzeć na Afrykę, gdzie na tym samym terenie żyją lwy i antylopy. Powiedzmy, że postanawia pan powystrelać wszystkie lwy. Co się wtedy stanie? Powiem panu: antylopy będą się mnożyć tak długo, aż wyjedzą całą żywność i zaczną ginąć z głodu.

–Cokolwiek antylopy czują do lwów, lwy są dla nich bardzo pożyteczne. Nie tylko nie

dopuszczają do tego, żeby wyjadły całą żywność, ale także przyczyniają się do właściwego rozwoju gatunku, eliminując słabsze okazy. Takie jest jedno z praw natury; może okrutne, jeżeli patrzeć na nie od strony naszych zasad, ale skuteczne.

–W tym wypadku ta analogia nie jest prawidłowa – odpowiedział profesor Kazan. – Nie mamy bowiem do czynienia z prymitywnymi, dzikimi zwierzętami, ale z istotami obdarzonymi inteligencją. Nie są to wprawdzie istoty ludzkie, ale jednak istoty rozumne. Tak więc, aby analogia była prawidłowa, należałoby mówić o ratowaniu plemienia spokojnych farmerów przed stałymi atakami ludożerców. Czy powiedzielibyście wtedy, że ludożercy są pożyteczni dla farmerów, czy też spróbowalibyście poprawić ich obyczaje?

Hirsch roześmiał się.

–Pańskie argumenty są dobre, ale nie wiem, jak pan zamierza zabrać się do poprawiania drapieżnych wielorybów?

–Chwileczkę – wtrącił doktor Abdullah. – Mówicie o sprawach, które nie należą do mojej specjalności. Jaki jest stopień inteligencji orek? Jeżeli nie dorównują pod tym względem delfinom, to analogia z plemionami ludzkimi upada, a wraz z nią problem moralny.

–Są wystarczająco inteligentne – odpowiedział dość niechętnie profesor Kazan. – Zgodnie z kilkoma przeprowadzonymi przez nas badaniami, są co najmniej równie inteligentne jak delfiny.

–Nie wiem, czy znacie panowie słynną historię o orkach, które próbowały pochwycić badacze Antarktydy? – zapytał doktor Hirsch. – To wydarzyło się na początku ubiegłego wieku, w czasie jednej z wczesnych ekspedycji do Bieguna Południowego, była to chyba wyprawa Scotta. Grupa badaczy stała na brzegu kry lodowej, obserwując kilka pływających opodal orek. Nie przyszło im na myśl, że zagraża im najmniejsze choćby niebezpieczeństwo, kiedy nagle lód pod ich nogami zaczął pękać. Bestie uderzały w krę od spodu. Na szczęście udało się tym ludziom uciec w bezpieczne miejsce, zanim orki przebiły się przez lód. A miał około metra grubości.

–A więc zjadłyby człowieka, gdyby miały szansę – odezwał się ktoś. – Możecie liczyć na mój głos przeciwko nim.

–Istnieje teoria, że orki wzięły ludzi ubranych w futra za pingwiny, ale osobiście wolalbym jej nie sprawdzać. Wiemy na pewno, że porwały kilku nurków.

Zapanowała cisza. Wszyscy przetrawiali te informacje. Doktor Saha odezwał się pierwszy.

–Wydaje się oczywiste, że musimy poznać więcej faktów, zanim podejmiemy jakąkolwiek decyzję. Trzeba schwytać kilka orek i przeprowadzić nad nimi dokładne studia. Czy przypuszcza pan, że mógłby pan nawiązać z nimi taki sam kontakt jak z delfinami?

–Prawdopodobnie, ale może to potrwać lata.

–Nasza dyskusja odbiegła od tematu – powiedział niecierpliwie doktor Hirsch. – Trzeba postanowić co zrobimy, a nie jak. Obawiam się, że istnieje jeszcze jeden mocny argument na korzyść orka, a przeciwko naszym przyjacielom delfinom.

–Wiem, o czym pan myśli – powiedział profesor Kazan – ale niech pan mówi.

–Poważna część naszego pożywienia pochodzi z morza – około sto milionów ton ryb rocznie. Delfiny są naszymi bezpośrednimi konkurentami: ta co one zjadają, jest dla nas stracone. Mówicie, że trwa wojna pomiędzy orkami i delfinami, ale delfiny walczą również z rybakami. Niszczą ich sieci i zjadają im ryby. W tej wojnie orki są naszymi sprzymierzeńcami. Jeżeli nie będą ograniczały liczby delfinów, to nam zabraknie ryb.

Wbrew pozorom, ten argument nie zniechęcił profesora. Przeciwnie, wydawał się zadowolony.

–Dziękuję Mordecai, naprowadził mnie pan na pewną myśl. Wiecie oczywiście, że delfiny nieraz pomagały ludziom w znajdowaniu ławicy ryb i potem dzieliły się z nimi zdobyczą. To zdarzało się krajowcom na Queenslandzie przed dwustu laty.

–Tak, wiem o tym. Czy chce pan odnowić ten zwyczaj?

–Między innymi. Bardzo panom dziękuję, jestem wam bardzo wdzięczny. Przeprowadzę jeszcze kilka eksperymentów i wyślę memorandum do wszystkich, członków Komitetu. Odbędziemy wtedy posiedzenie w pełnym składzie.

–Może mógłby pan teraz powiedzieć nam coś konkretnego. Ostatecznie, obudził nas pan o bardzo wczesnej porze.

–Jeszcze nie mogę, bardzo was przepraszam. Muszę najpierw sprawdzić, które z moich pomysłów są tak błędne, że trzeba je odrzucić, a które są tylko szalone. Dajcie mi kilka tygodni czasu, a na razie może dowiedzielibyście się, kto mógłby mi wypożyczyć orkę. Jeśli to możliwe, taką, która nie zjada dziennie więcej niż pięćset kilo żywności.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pierwsza nocna wyprawa Johnny'ego przez rafę pozostała mu w pamięci na całe życie. Był odpływ, księżyc w nowiu, gwiazdy świeciły jasno na bezchmurnym niebie, gdy wraz z Mickiem ruszali z plaży. Chłopcy wyposażeni byli w wodoszczelne latarki, harpuny, rękawice i plecaki, które mieli zamiar napęłnić langustami. Wielu mieszkańców rafy opuszczało swoje kryjówki dopiero po zapadnięciu zmroku, Mick zaś liczył szczególnie na to, że znajdzie rzadkie i piękne okazy muszli, które nigdy nie pojawiały się za dnia. Zarobił już sporo pieniędzy sprzedając je zbieraczom na kontynencie – zupełnie zresztą nielegalnie, bo cała flora i fauna wyspy znajdowała się pod ochroną, zgodnie z ustawą o rybołówstwie na Queenslandzie.

Chłopcy przeszli przez odsłonięty odpływem koral, a rzucane przez ich latarki plamy światła wydawały się bardzo małe w porównaniu z ogromem ciemnej rafy. Noc była tak ciemna, że po przejściu stu metrów już w ogóle nie widzieli lądu. Na szczęście światło ostrzegawcze, umieszczone na jednym z masztów radiowych, stanowiło doskonały punkt orientacyjny. Bez tego znaku, wskazującego właściwy kierunek, chłopcy zgubiliby się całkowicie. Nawet gwiazdy nie były pewnym przewodnikiem, przesuwwały się bowiem nieustannie.

Johnny był zresztą tak skoncentrowany na poszukiwaniu drogi wśród kruchych, pełnych załamów i cieni koralowców, że nie patrzył na gwiazdy. Kiedy wreszcie spojrział w górę, uderzyło go zjawisko tak dziwne, że przez dobrą chwilę nie mógł oderwać oczu od nieba.

Od zachodniego horyzontu aż do punktu znajdującego się niemal tuż nad jego głową ciągnął się długi słup światła. Było nikłe, ale doskonale widoczne; można je było wziąć za lunę odległego miasta. Ale Johnny wiedział, że na przestrzeni setek mil w tej stronie nie ma żadnego ludzkiego osiedla, nic prócz otwartego morza.

–Co to jest, do licha? – zapytał Micka. Mick, który w czasie, kiedy Johnny wpatrywał się w niebo, poszedł naprzód, nie rozumiał przez chwilę, co go tak zdziwiło.

–Och – powiedział wreszcie – widać to prawie każdej bezksiężycowej nocy. Myślę, że pochodzi to z kosmosu. W twoim kraju tego nie widać?

–Nigdy tego nie zauważyłem, ale u nas noce nie są takie bezchmurne.

Chłopcy pogasili latarki i wpatrywali się w ten niebiański cud, dostępny tak niewielu ludziom, ponieważ luna bijąca z miast całego świata i dym unoszący się nad nimi już od dawna zasłoniły splendor nieba. Była to zorza zodiakalna, która przez wieki intrygowała astronomów, aż odkryli, że jest to luna odbita od cząsteczek pyłu wirującego dokoła słońca.

Wkrótce potem Mick złowił swą pierwszą langustę. Pełzała po dnie płytkiego zalewu i oślepiąca światłem latarki nie potrafiła uciec. Toteż znalazła się w plecaku Micka, a wkrótce potem miała tam liczne towarzystwo. Johnny uznał, że nie jest to zbyt szlachetny sposób polowania na skorupiaki, ale nie zepsuło mu to przyjemności, kiedy je później zajadał.

Wielu innych myśliwych plądrowało rafę, łapiąc w świetle latarek niezliczone ilości małych krabów. Kiedy Johnny i Mick zbliżali się do langust, te zwykle uciekały, ale czasami nieruchomiały i wystawiały kleszcze, grożąc dwóm nadchodzącym potworom. Johnny zastanawiał się nad tym, czy były odważne, czy tylko głupie.

Ślimaki w pięknie zdobionych muszlach pełzały po koralach. Trudno było sobie wyobrazić, że dla mniejszych od siebie mieszkańców rafy nawet te powolne mięczaki były groźne. Cały ten piękny i wspaniały świat u stóp Johnny'ego stanowił jedno wielkie pole bitwy; każda sekunda pełna była zbrodni, zasadzek i morderstw, a wszystko to odbywało się w kompletnej ciszy.

Chłopcy zbliżali się powoli do brzegu rafy. Brodzili teraz przez kilkunastocentymetrową warstwę wody. Była tak fosforyzująca, że każdy krok wywoływał fontannę światła, a nawet gdy stali w miejscu, najlżejszy ruch powodował iskry, które rozsypywały się po powierzchni. A mimo to, kiedy wpatrywali się w głąb wody, nie dostrzegali niczego. Istoty, które powodowały tę paradę luminescencji, były albo zbyt małe, albo zbyt przezroczyste, by dały się dostrzec.

Woda stawała się coraz głębsza, z ciemności rozciągających się przed nim dochodził do uszu Johnny'ego ryk fal i łoskot ich uderzeń o brzegi rafy. Poruszał się wolno i ostrożnie, bo, chociaż przechodził tędy więcej niż dziesięć razy za dnia, ten, oświetlony teraz wąskim promykiem latarki, teren wydawał mu się obcy i tajemniczy. Wiedział, że w każdej chwili może zapaść się w głęboką wodę lub wpaść w podwodny wąwóz.

Mimo to został zaskoczony. Teren urwał się nagle pod nim i Johnny znalazł się na brzegu ciemnego, głębokiego zalewu. Światło latarki docierało zaledwie na kilkanaście centymetrów od jego powierzchni, mimo że woda była czysta jak kryształ.

–Jestem pewien, że tu są langusty – powiedział Mick. Opuścił się bezszelestnie do wody. Johnny pozostał sam w odległości pół mili od lądu i w całkowitych ciemnościach.

Mógł zaczekać, aż Mick wróci z polowania na langusty. Zalew nie wyglądał zbyt zachęcająco i łatwo” można było wyobrazić sobie różne potwory kryjące się w jego głębi.

Ale powiedział sobie, że to bzdura. Skakał już prawdopodobnie do tego zalewu za dnia i znał wszystkich jego mieszkańców. Będą się bardziej bać jego, niż on ich.

Obejrzał latarkę i spuścił ją do wody, aby sprawdzić, czy świeci po zanurzeniu. Poprawił maskę, wykonał kilka głębokich, szybkich oddechów i ruszył w ślady Micka.

Teraz, kiedy on i jego latarka znaleźli się po tej samej stronie wodnej bariery, światło jej stało się zadziwiająco silne. Jednakże obejmowało tylko mały obszar koralu i piasku, poza tym kręgiem wszystko było ciemnością, tajemnicą, zagrożeniem. Przez kilka pierwszych sekund Johnny był bliski paniki. Miał niemal nieprzepartą chęć spojrzeć przez ramię, żeby sprawdzić, czy coś na niego z tyłu nie czyha...

Jednakże niemal zaraz odzyskał panowanie nad sobą. Widok migającego światła latarki

Micka, przesuwał się w ciemnościach zaledwie o kilka metrów od niego, przypomniał mu, że nie jest sam. Zaczął znajdować przyjemność w zaglądaniu do ciemnych pieczar, pod kamienie, i nagłych spotkaniach oko w oko z zaskoczonymi rybami. Raz natknął się na morenę, która wyłoniwszy łeb z dziury w skale kłapnęła zębami i machnęła resztą ciała jak długim ogonem. Johnny nie był zachwycony widokiem ostrych zębów, ale wiedział, że moreny nigdy nie atakują, jeżeli się ich nie zaczepia, a on wcale nie miał zamiaru robić sobie wrogów podczas tej wyprawy.

Zalew był pełen tajemniczych dźwięków i nie mniej dziwnych stworzeń. Uderzenia harpunem o kamień rozchodziły się w wodzie znacznie mocniejszym dźwiękiem niż w powietrzu. Johnny słyszał też – a nieraz i czuł poprzez wodę – łomot fal o odległy tylko o kilka metrów skraj rafy.

Nagle zdał sobie sprawę, że słyszy dźwięk, przypominający gradobicie. Dźwięk ten, słaby ale bardzo wyraźny, zdawał się dochodzić z niewielkiej odległości. W tej samej chwili Johnny zauważył, że światło jego latarki jak gdyby zachodzi mgłą.

Miliony drobnych stworzeń, nie większych niż ziarnko piasku, przyciągniętych światłem latarki, tłukły w jej soczewkę, zwabione jak ćmy do świecy. Była ich wkrótce taka masa, że światło przestało przenikać przez szkło. Te żyjątka, które nie trafiały do latarki, uderzały w rękę Johnny'ego. Poruszały się z taką szybkością, że nie rozpoznawał ich kształtu, ale zdawało mu się, że niektóre wyglądały jak miniaturowe krewetki, nie większe od ziarnka ryżu.

Johnny wiedział, że stworzenia te są większymi i bardziej aktywnymi składnikami planktonu, stanowiącego pokarm wszystkich niemal morskich ryb. Zgasił latarkę i czekał aż się rozproszą; po chwili przestał je widzieć i słyszeć. Kiedy czekał na rozproszenie się tej żywej mgły, zastanawiał się, czy jego latarka przypadkiem nie przyciągnie jakichś większych stworzeń – na przykład rekinów. Mógł stawiać im czoła w świetle dziennym, ale po zachodzie słońca to już zupełnie inna sprawa...

Kiedy Mick zaczął wypływać na powierzchnię, Johnny podążył za nim z przyjemnością. Mimo to, za nic nie wyrzekłby się tego doświadczenia, które ukazało mu jeszcze jedno oblicze morza. Nie można twierdzić, że zna się morze, jeżeli przebywa się w nim tylko za dnia.

A zresztą ten obszar, gdzie dociera światło dzienne, stanowi zaledwie niewielką część morza. Znakomita większość jego królestwa to kraina wiecznego mroku. Światło słoneczne może przebić się tylko do głębokości kilkudziesięciu metrów. Poniżej panuje czarna noc, świecą tam jedynie fosforyzujące, tajemnicze stworzenia, zamieszkujące ten nie znający ani słońca, ani pór roku, świat.

–Co złapałeś? – zapytał Johnny Micka, kiedy wydostali się na powierzchnię.

–Sześć langust, dwa prążkowane ślimaki, trzy kraby i mięczaka, ale takiego, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Był jeszcze duży homar, którego nie udało mi się dosięgnąć. Widziałem jego wąsy, ale cofnął się w głąb swojej pieczary.

Poszli przez wielką równinę koralu, kierując się według migającego światła na radiowym maszcie. Widać je było z odległości wielu mil. Johnny stwierdził z niepokojem, że woda na rafie była znacznie głębsza, niż przedtem. Nadchodził przyływ; byłoby nieprzyjemnie, gdyby zastał ich tak daleko od lądu.

Ale to im nie groziło, bo Mick starannie zaplanował wycieczkę. Potraktował ją zresztą także jako egzamin dla nowego przyjaciela. Johnny zdał celująco.

Są ludzie, którzy nie odważą się nigdy na nurkowanie w nocy, gdy zdani są tylko na skąpe światło latarek. Wyobraźnia każe im widzieć w ciemnościach zbyt wiele. Johnny także odczuwał strach, jak każdy, kto po raz pierwszy doświadczył podobnej przygody, ale umiał go opanować.

Wiedział, że wkrótce będzie gotów opuścić bezpieczne, zasłonięte zalewy i nurkować ze skraju rafy w głąb zawsze zmiennych, pełnych niespodzianek wód otwartego morza.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Minęły dwa tygodnie, a nikt spośród mieszkańców wyspy nie miał dotąd okazji ujrzeć realizacji któregoś z ostatnich pomysłów profesora Kazana. Krążyły oczywiście najrozmaitsze plotki. Wyszło bowiem na jaw nieco szczegółów dotyczących próby delfinów i każdy mieszkaniec wyspy miał własny pogląd na tę sprawę.

Wszyscy naukowcy ze stacji badawczej popierali oczywiście delfiny. Doktor Keith podsumował ich opinie wypowiedzią: „Jeżeli się nawet okaże, że orki są inteligentniejsze od delfinów, to ja zawsze będę za delfinami. Są znacznie sympatyczniejsze, a przecież nie wybiera się przyjaciół według pojemności mózgu”. Kiedy Johnny dowiedział się o tym, był zdumiony. Nie lubił nieco protekcyjnego sposobu bycia doktora i uważał go za człowieka zimnego jak ryba, pozbawionego niemal wszystkich uczuć. Widać miał on jednak pewne zalety, skoro profesor Kazan wybrał go na swojego zastępcę. Wszystko co robił profesor, Johnny uważał za nie podlegające krytyce.

Opinie rybaków były podzielone. Oni także lubili delfiny, ale uważali je za konkurentów, ponieważ na własnej skórze odczuwali siłę argumentów, wysuniętych przez doktora Hirscha. Znane były wypadki, że delfiny wrywały dziury w sieciach i wykradały dużą część połowu, co zmuszało rybaków do wypowiedzania pod ich adresem uwag, które nie spodobałyby się na pewno profesorowi Kazanowi. Jeżeli więc orki utrzymywały w pewnych granicach liczebność delfinów, to można im było tylko życzyć szczęścia.

Johnny słuchał tych rozmów z zainteresowaniem, ale miał ustalony pogląd, którego żadne fakty nie mogły zmienić. Jeżeli ktoś uratował ci życie, to sprawa jest przesądzona – nigdy nie będziesz przeciwko niemu bez względu na to, co mógłby ktokolwiek o nim ci powiedzieć.

Tymczasem Johnny stał się doskonałym nurkiem, chociaż wiedział dobrze, że nigdy nie będzie mógł dorównać Mickowi. Opanował sztukę używania płetw, maski i fajki i mógł pozostawać pod wodą przez czas, który jeszcze przed paru tygodniami przyprawiłby go o zdumienie. Pobyt na świeżym powietrzu przyczynił się do tego, że urósł i nabrał sił, ale nastąpiły w nim inne jeszcze zmiany. Kiedy nurkował po raz pierwszy, był zdenerwowany; teraz czuł się jak w domu zarówno na lądzie, jak i w morzu. Nauczył się poruszać swobodnie i bez wysiłku w wodzie, a jeden haust powietrza nabrany w płuca wystarczał mu na znacznie dłuższy czas, niż na początku lekcji. Potrafił bez wysiłku pozostawać pod wodą przez całą minutę.

Robił to wszystko zarówno dla przyjemności, jak i dlatego, że wiedział, iż nurkowanie jest cenną umiejętnością. Jednak dopiero pewnego popołudnia, kiedy profesor Kazan wezwał go na rozmowę, zrozumiał, jak szybko przyjemne może stać się pożytecznym.

Profesor wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego, tak jak gdyby pracował dniem i nocą nad jakimś zadaniem i wiedział, że jest bliski sukcesu.

–Johnny – powiedział. – Mam dla ciebie zajęcie, które ci się na pewno spodoba. Spójrz na to.

Przyrząd, który przesunął po stole, wyglądał jak mała maszyna licząca, opatrzona dwudziestoma pięcioma guzikami uszeregowanymi w pięć rzędów po pięć w każdym. Miała około ośmiu centymetrów kwadratowych powierzchni, podstawę oklejoną gumową gąbką i była zaopatrzona w pasek ze sprzączką. Coś w rodzaju dużego zegarka na rękę.

Niektóre guziki nie miały napisów, ale na większości widniały słowa (jedno lub dwa), utworzone z wielkich, czytelnych liter. Kiedy Johnny przestudiował napisy na klawiaturze, zrozumiał zastosowanie aparatu.

Były to bowiem następujące słowa: NIE, TAK, W GÓRĘ, W DÓŁ, PRZYJACIEL, W PRAWO, W LEWO, SZYBKO, WOLNO, NAPRZÓD, STÓJ, ZA MNĄ, CHODŹ, NIEBEZPIECZEŃSTWO, POMÓŻ. Słowa te umieszczone były w logicznym porządku. Tak więc, W GÓRĘ i W DÓŁ znajdowały się jedno w górnej, drugie w dolnej części klawiatury, W LEWO i W PRAWO odpowiednio po lewej i prawej jej stronie, a wyrazy przeciwstawne, takie jak TAK i NIE czy STÓJ i NAPRZÓD, były umieszczone w pewnej od siebie odległości, by wykluczyć możliwość naciśnięcia pomyłkowo nieodpowiedniego klawisza. Guziki z napisem NIEBEZPIECZEŃSTWO i POMÓŻ miały bezpieczniki, które trzeba było odsunąć przed naciśnięciem klawisza.

–Ten przyrząd zawiera masę mikroelektroniki – wyjaśniał Johnny’emu profesor – oraz baterię, wystarczającą na pięćdziesiąt godzin. Kiedy naciśniesz jeden z tych guzików, usłyszysz tylko lekkie brzęczenie. Delfin usłyszy natomiast słowo wyciśnięte na klawiszu, ale we własnym języku – w każdym razie mamy nadzieję, że usłyszy. Chodzi nam o jego reakcję na te dźwięki.

–Co do czystych klawiszy, to zostawimy je na razie, dopóki nie zorientujemy się, jakich słów nam jeszcze brakuje. Chciałbym, żebyś wziął ten aparacik – nazwiemy go Komunikator Model I – i poćwiczyl pływanie i nurkowanie z nim tak długo, aż stanie się jak gdyby częścią twojego ciała. Ćwicz naciskanie klawiszy, tak żebyś mógł nimi operować z zamkniętymi oczyma. Potem wrócisz do mnie i przystąpimy do następnego eksperymentu.

Johnny tak się zapalił do tej pracy, że przesiedział większą część nocy naciskając guziki i ucząc się na pamięć ich układu. Gdy zgłosił się zaraz po śniadaniu do profesora, ten ucieszył się, ale nie wyraził zdziwienia.

–Idź po płetwy i maskę – powiedział. – Spotkamy się przy basenie.

–Czy mogę wziąć ze sobą Micka?

–Oczywiście, jeżeli przyrzeknie, że będzie cicho i nie będzie przeszkadzał.

Komunikator zaintrygował Micka, ale widać było, iż nie jest zadowolony z tego, że powierzono ten instrument Johnny’emu.

–Zupełnie nie rozumiem, dlaczego to ty masz go wypróbować – powiedział.

–To jasne – odparł Johnny. – Delfiny lubią mnie.

–Wobec tego są mniej inteligentne, niż sądzi profesor – mruknął Mick. Był to właściwie powód do bitki, ale to było wykluczone, po prostu dlatego, że Mick był niemal dwa razy cięższy od Johnny’ego i przeszło dwukrotnie od niego silniejszy.

Profesor Kazan i doktor Keith idąc w stronę basenu rozmawiali na ten sam temat. Obydwaj obładowani byli ciężkim ekwipunkiem.

–Zachowanie się Sputnika wobec Johnny’ego pokrywa się całkowicie z przypadkami opisanymi w kilku pracach naukowych – mówił profesor. – Kiedy dziki delfin zaprzyjaźnia się z człowiekiem, niemal zawsze jest to dziecko.

–A Johnny jest wyjątkowo mały na swój wiek – dodał doktor Keith. – Przypuszczam, że delfiny wolą dzieci od dorosłych właśnie dlatego, że dzieci są znacznie mniejsze i mniej niebezpieczne. Przeciętne dziecko ma mniej więcej wagę młodego delfina.

–Słusznie – powiedział profesor. – A delfiny, które zaprzyjaźniają się z nastolatkami w miejscowościach kąpielowych, to prawdopodobnie samice, które straciły młode. Dzieci są dla nich surogatem delfiniątek.

–A oto i nasze delfiniątko – powiedział doktor Keith wskazując na Johnny’ego. – Wygląda na bardzo z siebie zadowolone.

–Czego nie można powiedzieć o Micku. Obawiam się, że zraniłem jego uczucia. Ale Sputnik z całą pewnością boi się go. Pozwoliłem mu raz popływać w zbiorniku, ale nawet Suzie nie była szczęśliwa. Niech pan poprosi, żeby pomógł przy robieniu zdjęć filmowych. To go trochę zajmie.

Po chwili chłopcy dołączyli do naukowców i profesor Kazan przekazał im instrukcje.

–Kiedy dojdziemy do zbiornika musicie zachować całkowitą ciszę. Jedno słowo może nam zepsuć cały eksperyment. Doktor Keith i Mick ustawią kamerę filmową po wschodniej stronie, tyłem do słońca. Ja przejdę na drugą stronę, a ty, Johnny, wejdiesz do wody, wypłyniesz na środek basenu i zatrzymasz się. Przypuszczam, że Suzie i Sputnik popłyną za tobą, ale cokolwiek by się stało, pozostaniesz tam, dopóki nie dam ci znaku. Wtedy dopiero zmienisz miejsce. Zrozumiałeś mnie?

–Tak, proszę pana – odpowiedział niesłuchanie z siebie dumny Johnny.

Profesor przyniósł ze sobą białe, duże karty, na których widniały te same wyrazy, co na klawiszach komunikatora.

–Będę ci kolejno pokazywał te karty – powiedział – a ty wtedy naciśniesz odpowiedni guzik. Tylko się nie pomył! Jeżeli pokażę ci dwie karty na raz, to naciśniesz najpierw guzik

odpowiadający górnej karcie i natychmiast potem guzik odpowiadający dolnej karcie. Czy to jasne?

Johnny skinął głową.

–Na końcu będzie próba czegoś dramatycznego. Nadamy sygnał NIEBEZPIECZEŃSTWO! i zaraz potem POMÓŻ!. W zaledwie kilka sekund później. Naciśniesz ten guzik i zaczniesz udawać, że się topisz. Opadaj powoli na dno. A teraz powtórz mi to wszystko.

Johnny powtórzył instrukcję. Doszli do drucianej siatki otaczającej basen i zamilkli. Hałasowali teraz wyłącznie Suzie i Sputnik, witając się radosnym parsaniem i koziołkując jak szaleni.

Profesor Kazan rzucił Suzie ulubione przysmaki, ale Sputnik jakoś nie dawał się skusić. Johnny zsunął się do wody i z wolna popłynął na środek basenu.

Delfiny sunęły za nim w odległości około sześciu metrów. Kiedy trzymając głowę pod wodą spojrzął za siebie, zobaczył po raz pierwszy, z jakim ogromnym wdziękiem delfiny poruszają się, jak elastyczne jest ich ciało, jak silny ogon, który jest dla nich instrumentem napędowym.

Johnny położył się na wodzie dotarłszy na środek basenu i patrzył to na delfiny, to na profesora, czekając aż ten pokaże mu karty. Pierwszą była karta z napisem PRZYJACIEL.

Nie było wątpliwości, że delfiny usłyszały znak, ponieważ stały się nagle bardzo podniecone. Nawet ucho Johnny’ego odebrało szum komunikatora, wiedział jednak, że słyszy tylko dźwięki o niskiej częstotliwości, nie docierają zaś do niego ultradźwiękowe sygnały, które przekazują delfinom większość informacji.

Profesor jeszcze raz pokazał kartę z napisem PRZYJACIEL i Johnny znowu nacisnął guzik. Tym razem stwierdził z satysfakcją, że delfiny ruszają w jego stronę. Podpłynęły na odległość zaledwie półtora metra i zatrzymały się, patrząc na Johnny’ego ciemnymi, inteligentnymi oczami. Mogło się zdawać, że zwierzęta domyśliły się, o co chodzi w doświadczeniu, i czekają na następny sygnał.

Był nim sygnał W LEWO. Tym razem reakcja była zupełnie zaskakująca. Suzie natychmiast skrzyła w lewo, ale Sputnik w prawo, zaś profesor Kazan nazwał samego siebie „idiotą” i to w czternastu językach, którymi się biegle posługiwał. Zdał sobie bowiem sprawę, że jeżeli się wydaje komuś rozkaz, to powinien on być sformułowany w sposób jednoznaczny. Sputnik zrozumiał, że ma skrzyć w lewo od Johnny’ego; bardziej egocentryczna Suzie uznała, że chodzi o jej lewą stronę.

Następny sygnał nie mógł budzić wątpliwości: W DÓŁ. Obydwa delfiny, z głośnym pluskiem, dały nura w głąb basenu. Pozostały tam posłusznie, dopóki Johnny nie dał im sygnału W GÓRĘ. Zastanawiał się, jak długo pozostałyby na dnie, gdyby nie kazał im wypłynąć na powierzchnię.

Delfiny były zachwycone nową, wspaniałą zabawą. Są to najweselsze ze wszystkich stworzeń, same wymyślają sobie najrozmaitsze gry i figle, a także naśladują te, które się im pokazują. Suzie i Sputnik zrozumiały już chyba zresztą, że to co teraz robią, jest czymś więcej niż zabawą – że jest to próba porozumienia, która mogłaby się stać dobrodziejstwem dla ludzi i zwierząt.

Po raz pierwszy profesor uniósł do góry dwie karty na raz: **NAPRZÓD** i **SZYBKO**. Johnny nacisnął dwa guziki. Zanim jeszcze brzęczenie aparatu umilkło, obydwie delfiny ścigały się po basenie. Podczas tego wyścigu posłuchały jeszcze raz rozkazu: **W PRAWO** i **W LEWO** (tym razem ich lewa i prawa), zahamowały na rozkaz **WOLNO** i zatrzymały się po sygnale **STOP**.

Profesor nie posiadał się z radości, nawet beznamiętny doktor Keith nie ukrywał swojego zadowolenia filmując wszystko dokładnie, a Mick tańczył na brzegu basenu dziki taniec plemienny swoich przodków. Nagle wszyscy spowaźnieli: w górę poszedł znak **NIEBEZPIECZEŃSTWO**.

„Co teraz zrobią Suzie i Sputnik?” – zastanawiał się Johnny, naciskając guzik.

Ale delfiny po prostu roześmiały się. Wiedziały, że chodzi o zabawę, i nie dawały się nabrać. Ich reakcje były znacznie szybsze niż reakcje Johnny’ego, znały każdy centymetr basenu i gdyby pojawiło się tam prawdziwe niebezpieczeństwo, zauważyłyby je znacznie wcześniej niż niemrawy człowiek.

Wtedy profesor Kazan popełnił mały taktyczny błąd. Kazał Johnny’emu skasować poprzedni sygnał i nacisnąć guzik **NIEBEZPIECZEŃSTWO MINEŁO**.

Delfiny zaczęły z ogromną szybkością, jakby w panice, krążyć po basenie, wyskakiwały w górę na dobre dwa metry – mijaly Johnny’ego z taką szybkością i w tak małej odległości, że ten zaczął się bać przypadkowego zderzenia. Spektakl ten potrwał kilka minut, po czym Suzie wynurzyła głowę z wody i posłała w stronę profesora wiązkę niegrzecznie raczej brzmiących dźwięków. Obserwatorzy zrozumieli, że delfiny kpią sobie z nich.

Pozostał jeszcze jeden sygnał do wypróbowania. Czy zwierzęta wezmą go także za żart, czy też potraktują na serio? Profesor Kazan podniósł kartę z hasłem **NA POMOC!** Johnny nacisnął guzik i osunął się na dno. Otaczająca go powierzchnia wody pokryła się pęcherzykami powietrza.

Dwa szare kształty rzuciły się w jego stronę jak dwa meteory. Poczł delikatne, ale stanowcze pchnięcia, wyrzucające go na powierzchnię basenu. Nawet gdyby bardzo chciał, nie potrafiłby pozostać pod wodą. Delfiny trzymały go tak, że głowę miał ponad powierzchnią, w ten sam sposób, jakiego używały pomagając sobie nawzajem, gdy któreś z nich były ranne. Nie zastanawiały się nad tym, czy sygnał jest prawdziwy, czy nie; nie chciały ryzykować.

Profesor dał mu znak, aby wrócił, ale Johnny’emu udzielił się nastrój delfinów. Dla zabawy dał znowu nura w głąb basenu, przekościolkował i leżąc na wznak pozwolił się wynosić wodzie na

powierzchnię. Naśladował nawet ruchy delfinów trzymając nogi i płetwy razem i próbując pokonywać opór wody tak samo jak one. Wprawdzie robił to nieźle, ale osiągał najwyżej jedną dziesiątą ich szybkości.

Delfiny zbliżały się od czasu do czasu i ocierały o niego pieszczotliwie. Wiedział już, że w stosunku do Suzie i Sputnika, nigdy nie będzie musiał używać guzika z napisem PRZYJACIEL.

Kiedy Johnny wyskoczył z basenu, profesor uściskał go Jak odzyskanego syna. Nawet doktor Keith próbował – ku zażenowaniu Johnny’ego – objąć go swoimi kościstymi ramionami, ale chłopiec uchylił się dyskretnie. Kiedy wszyscy czterej wyszli ze strefy milczenia, naukowcy zaczęli rozmawiać jak podnieceni uczniacy.

–To zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe – powiedział doktor Keith. – Przecież one jak gdyby przewidywały każdy nasz ruch!

–Zauważyłem to – powiedział profesor. – Nie jestem pewien, czy lepiej od nas myślą, ale z całą pewnością szybciej!

–Czy mógłbym pracować z tym aparatem za następnym razem? – zapytał Mick błagalnie.

–Tak – odpowiedział szybko profesor. – Teraz już wiemy, że chcą współpracować z Johnny’em, więc trzeba się przekonać, czy będą to robić z innymi ludźmi. Wyobrażam już sobie zespół wyszkolonych nurków, który współpracując z delfinami odsłoni zupełnie nowe możliwości dla badań naukowych i akcji ratunkowej na morzu... widzę tysiące zadań, tysiące możliwości. – Zatrzymał się nagle. – Przypomniały mi się dwa słowa, które powinny być znaleźć miejsce w komunikatorze, musimy je tam natychmiast umieścić.

–Co to za słowa? – zapytał doktor Keith.

–PROSZĘ i DZIĘKUJĘ – odpowiedział profesor.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Od przeszło stu lat z Wyspą Delfinów związana była legenda. Ktoś niewątpliwie opowiedziałby ją Johnny'emu, ale przypadek zrządził, że on sam natknął się na jej ślady.

Pewnego razu szedł skrótem przez las, pokrywający trzy czwarte powierzchni wyspy. Jak to zwykle bywa, skrót okazał się dłuższy od normalnej drogi. Niemal natychmiast po zejściu ze ścieżki chłopiec zablądził w gąszczu drzew pochutnika i pisonii i teraz co chwile zapadał się po kolana w piaszczysty grunt, podziurawiony przez burzyki.

To było dziwne uczucie „zablądzić” zaledwie o kilkadziesiąt metrów od rojnego osiedla, tak niedaleko od przyjaciół. Wyobrażał sobie, że znalazł się w samym sercu wielkiej dżungli, o tysiąc mil od cywilizacji. Odczuwał pełną samotność i tajemniczość nie okiełznanej przyrody, nie czując jednak żadnego z jej niebezpieczeństw, wiedział bowiem, że w jakimkolwiek nie szedłby kierunku, w ciągu kilku minut wyjdzie z tego niewielkiego lasu. Prawda, nie znalazłby się w punkcie, do którego szedł, ale to nie miało znaczenia na tak małej wyspie.

Poczuł nagle, że jest coś dziwnego w tym skrawku dżungli, do którego zablądził. Drzewa były tu mniejsze, rosły rzadziej i rozejrzawszy się Johnny zrozumiał, że znalazł się na terenie, gdzie kiedyś była leśna polana. Opuszczona przez swoich mieszkańców, po latach zarosła całkowicie. Niedługo zaniknie po niej wszelki ślad.

Johnny zastanawiał się, cóż to za ludzie tu mieszkali i to przecież jeszcze w czasach, zanim radio i samoloty stworzyły możliwość kontaktu pomiędzy Wielką Rafą Koralową a resztą świata. Przestępcy? Może piraci? Przez głowę przebiegały mu najrozmaitsze romantyczne pomysły. Zaczął grzebać wśród korzeni drzew, w nadziei, że znajdzie jakieś ślady.

Był już nieco zniechęcony i przekonany, że niepotrzebnie dał się zwieść wyobraźni, kiedy natrafił na przydymione, niemal czarne kamienie, przykryte liśćmi i ziemią. Pomyślał sobie, że mogły to być ślady ogniska, i podwoił wysiłki. Prawie natychmiast znalazł kawałki zardzewiałego żelastwa, kubek bez rączki i złamaną łyżkę.

To było wszystko. Nie był to ani wielki, ani zbyt interesujący skarb, ale świadczył o tym, że cywilizowani, a nie dzicy ludzie, mieszkali tu przed laty. Nikt przecież nie przyjechałby na Wyspę Delfinów, położoną tak daleko od najbliższego lądu, po prostu na piknik. Kimkolwiek byli ci przybysze, znaleźli się tu z poważnych powodów.

Johnny zabrał łyżkę na pamiątkę, opuścił polanę i w dziesięć minut później znalazł się znowu na plaży. Udał się na poszukiwanie Micka i znalazł go w szkole, studiującego matematykę: kurs II, taśma 3. Kiedy Mick skończył naukę, wyłączył maszynę i zagrał jej na nosie. Johnny pokazał mu łyżkę i opisał miejsce, w którym ją znalazł.

Zdziwił się, kiedy Mick okazał niepokój.

–Wolałbym, żeby tego nie zabierał – powiedział – lepiej odnieś ją zaraz.

–Ale dlaczego? – zdziwił się Johnny.

Mick był wyraźnie zaambarasowany. Szurał bosymi, wielkimi stopami po wyglansowanej, plastikowej podłodze, wreszcie odpowiedział raczej wymijająco:

–Ja oczywiście nie wierzę w duchy, ale nie miałbym ochoty być tam w ciemną noc.

Johnny zaczął odczuwać zniecierpliwienie, ale wiedział, że musi pozwolić, by Mick wytłumaczył mu wszystko po swojemu. Ten zaprowadził go najpierw do Centrum Komunikacyjnego, skąd zatelefonował do muzeum w Brisbane i powiedział coś do zastępcy kuratora wydziału historycznego.

Po kilku sekundach na ekranie ukazał się dziwny przedmiot. Był to metalowy zbiornik, coś w rodzaju małej cysterny o szerokości około metra, a głęboki na sześćdziesiąt centymetrów. Stał w szklanej gablocie, obok leżały dwa prymitywne wiosła.

–Jak myślisz, co to jest? – zapytał Mick Johnny’ego.

–Wygląda na zbiornik wody.

–To prawda – odparł Mick – ale posłużył za łódź, na której sto trzydzieści lat temu odpłynęły z tej wyspy trzy osoby.

–Trzy osoby? Jak się zmieściły?

–Jedną z nich było dziecko. Poza tym Angielka Mary Watson i jej chiński kucharz, którego nazwiska nie pamiętam. Zaczynało się na Ah...

To, co w dalszym ciągu, Mick opowiedział Johnny’emu, rozegrało się w czasach, których Johnny po prostu nie potrafił sobie wyobrazić, choć działo się to w 1881 roku, ostatecznie zaledwie pokora wieku temu. Istniały już telefony i lokomotywy parowe, Albert Einstein właśnie się urodził, ale wzdłuż Wielkiej Rify Koralowej grasowali ludożercy w swoich czólnach. Nie zważając na to młody kapitan nazwiskiem Watson zamieszkał z żoną na Wyspie Delfinów. Zajmował się połowem i sprzedażą *bêche-de-mer*, czyli morskich ogórków, brzydkich, wyglądających jak parówki stworzeń, pełzających niezgrabnie po dnie każdego koralowego zalewu. Chińczycy płacili wysokie ceny za ich suszone skóry, które cenili ze względu na ich lecznicze zalety.

Wkrótce zapas *bêche-de-mer* na wyspie wyczerpał się i kapitan zmuszony był oddalać się coraz to dalej i dalej w ich poszukiwaniu. Czasami mijały całe tygodnie, zanim wracał do młodej żony, która z nowo narodzonym dzieckiem i dwoma chińskimi służącymi przebywała w domu.

Pod nieobecność kapitana grupa dzikich wylądowała na wyspie. Zabili jednego z Chińczyków i

poważnie zranili drugiego, zanim Mary Watson udało się odpędzić ich strzałami z fuzji i rewolweru. Wiedziała jednak, że dzicy wrócą, a stateczek jej męża nie zjawi się na wyspie przed upływem miesiąca.

W tej rozpaczliwej sytuacji Mary Watson okazała niezwykłą odwagę i przedsiębiorczość. Zdecydowała się uciec z wyspy wraz z dzieckiem i Chińczykiem na niewielkim żelaznym zbiorniku używanym do gotowania *bêche-de-mer*. Mary miała nadzieję, że zostaną uratowani przez któryś ze statków płynących wzdłuż Wielkiej Rify Koralowej.

Zgromadziła na małym, chwiejnym stateczku żywność oraz wodę i odbiła od wyspy. Chińczyk był ciężko ranny i nie mógł jej wiele pomóc, a czteromiesięczne dziecko wymagało stałej opieki. Ale miała szczęście, bo morze było bardzo spokojne – inaczej cała ta podróż nie trwałaby dziesięciu minut.

Następnego dnia Mary dobiła do brzegu sąsiedniej rafy i pozostała tam dwa dni w nadziei, że zobaczy jakiś statek. Ale ponieważ nic nie nadpływało, ruszyła w dalszą drogę i dotarła do małej wyspy, położonej w odległości czterdziestu dwóch mil od miejsca, z którego wyruszyła.

Z tej wyspy Mary Watson zobaczyła płynący na zachód parowiec. Ale nie została zauważona, mimo że powiewała kołderką dziecka ze wszystkich sił.

Zapasy wody wyczerpały się, a na wyspie nie było źródła. Powoli umierali z pragnienia. Przeżyli jeszcze cztery dni czekając na deszcz, który nie nadszedł, i statek, który nie nadpłynął.

W trzy miesiące później przypadkowo przejeżdżający szkuner wysłał na wyspę grupę ludzi, by poszukali tam żywności. Zamiast niej znaleźli ciało Chińczyka oraz ukryty w zaroślach mały zbiornik, a w nim zwłoki Mary Watson z martwym dzieckiem w ramionach. Obok niej leżał szczegółowy dziennik jej ośmiodniowej podróży, który prowadziła do ostatniej chwili.

–Obejrzałem go sobie w muzeum – powiedział Mick z powagą. – Jest to zaledwie kilka, wyrwanych z notatnika, kartek. Można jeszcze odczytać większość zapisu. Nigdy nie zapomnę ostatniego zdania: „Brak wody. Konam z pragnienia”.

Chłopcy milczeli przez chwilę. Potem Johnny spojrział na złamaną łyżkę, którą wciąż trzymał w ręku. Pomyślał, że to może głupie, ale wróci do lasu i zagrzebie ją z powrotem w ziemi z szacunku dla pamięci dzielnej Mary Watson. Rozumiał uczucia, jakie żywił wobec niej Mick i jego ziomkowie. Myślał o tym, że często, w księżycowe noce, bardziej wrażliwi wyspiarze na pewno myśleli o młodej kobiecie wypychającej żelazny zbiornik w morze...

I zaraz potem inna, bardziej niepokojąca myśl przyszła mu do głowy. Spojrział na Micka, zastanawiając się, jak sformułować nasuwające mu się pytanie. Ale Mick jak gdyby odgadł jego myśli i powiedział:

–Mimo że wydarzyło się to tak dawno, wciąż robi mi się głupio, kiedy myślę o tej sprawie. Bo

widzisz, wiem z całą pewnością, że dziadek mojego dziadka brał udział w uczcie z mięsa tego pierwszego Chińczyka...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Johnny i Mick pływali teraz codziennie z delfinami, usiłując określić granice ich inteligencji i skłonności do współpracy. Delfiny tolerowały Micka i słuchały jego rozkazów, wydawanych za pośrednictwem komunikatora, ale zachowały nieprzyjazny stosunek wobec niego. Nieraz próbowały go przestraszyć szczerząc zęby, płynęły wprost na niego i dopiero w ostatniej chwili skręcały w lewo lub w prawo. Nigdy nie robiły takich kawałów Johnny'emu chociaż czasami podskubywały jego płetwy albo ocierały się o niego pieszczotliwie, czekając, że zostaną za to połaskotane albo pogłaskane.

Mick był zniechęcony ich stosunkiem do niego. Nie mógł zrozumieć dlaczego Suzie i Sputnik wolały tego – jak mówił – „bladokórego malucha”. Ale delfiny są równie nieobliczalne jak ludzie i trudno odgadnąć ich gusta. Szansa Micka miała pojawić się dopiero później i to w takiej postaci, jakiej nikt na razie nie mógł przewidzieć.

Mimo że zdarzały się od czasu do czasu kłótnie czy sprzeczki, chłopców łączyła w gruncie rzeczy przyjaźń i rzadko się rozstawali. Mick był dopiero pierwszym prawdziwym przyjacielem Johnny'ego. Nie bez przyczyny. Utraciwszy rodziców we wczesnym dzieciństwie Johnny bał się – nie zdając sobie z tego sprawy – lokować gdzie indziej swoje uczucia. Ale obecnie tak zdecydowanie zerwał z przeszłością, że straciła dla niego wszelkie znaczenie.

Poza tym Mick był młodzieńcem ze wszech miar godnym podziwu. Pięknej budowy, podobnie jak większość wyspiarzy, co zawdzięczał licznym pokoleniom swych zmagających się z morzem przodków, był sprytny, inteligentny i posiadał mnóstwo wiadomości dotyczących spraw, o których Johnny nawet nie słyszał. Jego wady były drugorzędne: brawura, skłonność do przesady i zamiłowanie do płatania figli, które czasami wpędzało go w kłopoty.

Do Johnny'ego żywił uczucia opiekuńcze, niemal ojcowskie, takie, jakie duży człowiek często miewa w stosunku do znacznie mniejszego. Ponadto, mając czterech braci, trzy siostry i całe dziesiątki ciotek, wujków, kuzynów, siostrzeńców i bratanków, a przy tym obdarzony wrażliwą naturą, wyczuwał widać zewnętrzną samotność tego sieroty, uciekiniera z drugiego końca świata.

Od czasu, kiedy Johnny opanował podstawowe zasady techniki nurkowania, nie przestawał dręczyć Micka prośbami, żeby zabrał go na wyprawę poza skraj raf, gdzie mógłby wypróbować swoje nowe umiejętności w głębokiej wodzie i wśród wielkich ryb. Ale Mick nie spieszył się z tym. Był niecierpliwy w drobnych sprawach, ale ostrożny w dużych. Dobrze wiedział, że nurkowanie w małych, bezpiecznych zalewach albo w pobliżu przystani było czymś zupełnie innym niż wypływanie na otwarte morze, gdzie mogło się zdarzyć tyle rzeczy. Działy tam potężne prądy, wybuchały nagie sztormy, grasowały rekiny. Morze, pełne niespodzianek nawet dla najbardziej doświadczonych nurków, było bezlitosne i nie dawało drugiej szansy tym, którzy popełnili pomyłkę.

Ale wkrótce nadarzyła się Johnny'emu okazja i to dzięki Suzie i Sputnikowi. Profesor Kazan

uznał, że nadszedł czas, by wyruszyły one w świat i zaczęły zdobywać sobie same pożywienie. Nigdy nie trzymał żadnej pary delfinów dłużej niż rok w basenie. Delfiny to zwierzęta towarzyskie i potrzebują kontaktu z podobnymi sobie stworzeniami. Większość tych, które profesor wypuszczał na wolność, trzymała się blisko wyspy i można je było w każdej chwili przywołać przez podwodne głośniki. Profesor był pewny, że Suzie i Sputnik zachowają się tak samo.

Ale ta para po prostu odmówiła opuszczenia basenu. Kiedy otworzono im śluzę, przepłynęły mały odcinek kanału prowadzącego do morza i szybko powróciły, jakby przestraszone, że będą odcięte od domu.

–Wiem, o co tu chodzi – zauważył Mick z przekąsem. – One przyzwyczyły się do tego, że je karmimy, i nie chce im się polować na ryby.

Opinia ta zawierała być może nieco prawdy, ale nie całą, bo kiedy profesor poprosił Johnny’ego, żeby przepłynął kanał, delfiny podążyły za nim do morza. Nie musiał nawet naciskać żadnego z guzików komunikatora.

I tak pływanie w basenie skończyło się. Profesor Kazan przeznaczył go do innych celów, o których na razie z nikim nie rozmawiał. Każdego przedpołudnia, natychmiast po szkole, Mick i Johnny spotykali się z dwoma delfinami i płynęli na skraj rafy. Zabierali ze sobą deskę do surfingu Micka i robili z niej pływającą bazę, na której kładli swój sprzęt i złapane ryby.

Mick opowiedział przerażającą historię o tym, jak kiedyś siedział na tej samej desce, podczas gdy rekin krążył dookoła niej próbując dobrać się do piętnastokilogramowej barakudy, którą Mick zabił i nieopatrznie przywiązał do deski, by móc ją ciągnąć za sobą. – Jeżeli chcesz długo żyć na Wielkiej Rafie Koralowej – powiedział – zawsze wyciągaj z wody upolowane ryby, najszybciej jak możesz. Australijskie rekiny są najdrapieżniejsze ze wszystkich. Każdego roku porywają trzech, czterech nurków.

To była ważna informacja. Johnny zastanawiał się, ile czasu potrzebowałby rekin, żeby się przegryźć przez pięciocentymetrową warstwę szklanego włókna i gąbki, z których zrobiona była deska Micka.

Ale dopóki znajdowali się pod eskortą Suzie i Sputnika, rekiny nie były dla nich groźne, zresztą nie było ich na razie widać. Obecność dwóch delfinów dawała chłopcom wspaniałe poczucie bezpieczeństwa, jakiego chyba żaden inny nurek nie zaznał na pełnym morzu. Czasami do Suzie i Sputnika dołączały Einar i Peggy, a kiedyś towarzyszyło im całe stado, złożone z co najmniej pięćdziesięciu delfinów. Był to już nadmiar szczęścia, bo w wodzie zapanował taki ścisk, że widoczność stała się niemal równa zeru; jednakże Johnny nie zdobył się na naciśnięcie guzika NAPRZÓD, nie chciał bowiem urazić ich uczuć.

Johnny napływał się sporo w płytkich zalewach za Wielką Rafą Koralową okalającą wyspę, ale nurkowanie z zewnętrznego skraju rafy dostarczało znacznie więcej emocji. Woda bywała tam

tak czysta, że chłopiec odnosił wrażenie, iż unosi się w powietrzu. Patrzył w dół i nie widział absolutnie nic pomiędzy sobą a postrzępionym koralowym pejzazem na głębokości piętnastu metrów. Z trudem uświadamiał sobie, że nie grozi mu upadek.

W niektórych miejscach postrzępiona ściana raf, biegnąca dokoła wyspy, kończyła się nagle, niemal prostopadłą ścianą koralu. Jakże fascynujące było powolne opadanie wzdłuż tej ściany. Zaskoczone, wspaniałe kolorowe ryby chowały się do swoich szczelin i jam. Johnny próbował zidentyfikować najpiękniejsze z nich, najbardziej kolorowe, podobne do motyli, ale szukając ich nazw w książkach biblioteki Instytutu znajdował zazwyczaj tylko ich łacińskie imiona, niemożliwe do wymówienia.

Całe dno pokrywały pojedyncze głazy i wieżyczki, strzelające w górę aż po powierzchnię wody. Mick nazywał je „piramidkami” zaś Johnny’emu przypominały formacje skalne w Wielkim Kanionie. Ale te, podmorskie, nie były ukształtowane przez erozję. Składały się ze szkieletów niezliczonych koralowych stworzeń. Obecnie żyła tylko cienka ich powierzchnia, tworząca naskórek na martwym rdzeniu wapiennym, ważącym wiele ton i wysokim na trzy do pięciu metrów. Jeśli widoczność pod wodą była kiepska – co zdarzało się w czasie burzy albo ulewy – można było się nadziać na te kamienne monstra wynurzające się nagle z mgły.

W niektórych piramidkach znajdowały się liczne jaskinie, zawsze zamieszkałe przez jakieś stworzenia. Nie należało tam wchodzić, zanim się nie sprawdziło, kogo zastanie się w domu. Można się było natknąć na morenę, nieustannie kłapiącą groźnymi szczękami, można było spotkać rodzinę przyjaznych, ale mimo to trujących ryb skorpionowatych, które powiewały zawierającymi truciznę ogonami podobnymi do piór indyckich. Jeżeli pieczara była wystarczająco duża, mieszkał w niej zazwyczaj skalny dorsz, lub granik. Niektóre okazy wielkością znacznie przewyższały Johnny’ego, ale nie należały do niebezpiecznych i cofały się w popłochu, kiedy się do nich zbliżał.

W zadziwiająco krótkim czasie chłopiec nauczył się rozpoznawać poszczególne gatunki ryb i wiedział, gdzie je można było znaleźć. Graniki nigdy nie oddalały się zbyt daleko od swoich jaskiń i wkrótce Johnny zaczął uważać niektóre z nich za starych przyjaciół. Pewien weteran miał w dolnej szczęce haczyk z kawałkiem zerwanej linki. Mimo iż jego doświadczenia dotyczące rodzaju ludzkiego nie należały do przyjemnych, nie był nieprzyjazny, pozwolił chłopcu zbliżyć się do siebie i dał się pogłaskać.

Graniki, węgorze, ryby skorpionowate – tworzyły grono stałych rezydentów podmorskiej krainy, którą Johnny poznawał coraz lepiej i kochał coraz bardziej. Ale od czasu do czasu pojawiali się nieoczekiwani i niezwykli przybysze z głębszych warstw morza. Jedną z atrakcji rafy stanowiło to, że nigdy nie można było przewidzieć, co się spotka w tych głębinach, i to nawet na obszarach, w których pływało się dziesiątki razy, i które znało się jak własną kieszeń.

Do gości najczęściej pojawiających się tutaj należały rekiny. Johnny nigdy nie zapomniał dnia, w którym natknął się na rekina po raz pierwszy. Wraz z Mickiem wymknął się na morze bez eskorty, wypływając godzinę wcześniej niż zwykle. Nie od razu dostrzegł drapieżcę. Zobaczył

go nagle – wyglądał jak szara, wspaniale gładka torpeda, zbliżająca się do niego powoli i bez wysiłku. Zwierzę było tak piękne i pełne wdzięku, że trudno było się go bać. Dopiero, kiedy zbliżyło się do niego na odległość sześciu metrów, Johnny obejrzał się niespokojnie za siebie szukając wzrokiem Micka. Ulżyło mu, kiedy zobaczył, że przyjaciel pływa tuż nad nim i obserwuje sytuację spokojnie, ale z przygotowanym do strzału harpunem w pogotowiu.

Rekin, jak niemal wszystkie rekiny, był po prostu ciekawy. Przyjrzał się Johnny’emu zimnymi, wybałuszonymi oczami – tak niepodobnymi do przyjaznych, inteligentnych oczu delfina, i kiedy był już tylko o jakieś trzy metry od niego, skręcił w prawo. Chłopiec zobaczył rybę-pilota płynącą tuż przed nosem rekina i trzymonawa, czyli rybę przyssawkę, przywartą do jego grzbietu. Jeździła tak na gapę i bez wysiłku przez całe swoje życie.

Wobec rekinów każdy nurek jest dość bezradny. Może im się bacznie przyglądać i nie zaczepiać ich, żywiąc nadzieję, że postąpią podobnie. Jeśli im stawić czoła, wtedy odpływają. Ale wystarczy stracić nerwy i rzucić się do ucieczki... cóż, każdy kto jest tak głupi, żeby to zrobić, zasługuje na niewielkie współczucie, ponieważ rekin może bez wysiłku robić trzydzieści mil na godzinę, a nurek w najlepszym razie trzy.

Bardziej denerwujące od rekinów były stadka barakud, polujących wzdłuż skraju rafy. Kiedy Johnny po raz pierwszy zauważył, że dookoła niego roi się od tych srebrzystych morskich szczupaków o nieprzyjaznych oczach i agresywnych, rozwartych szczękach, poczuł wielką ulgę na myśl, że tuż nad nim, na desce do surfingu, siedzi Mick. Nie były to bardzo duże ryby, miały najwyżej metr – ale pływały całymi setkami i tworzyły dookoła Johnny’ego istny pierścień. Barakudy były bardzo zainteresowane Johnny’em i zaciskały pierścień coraz bardziej, toteż wkrótce widział już tylko ich połyskliwe ciała. Mimo że machał rękami i krzyczał, nie robiło to na nich żadnego wrażenia. Kiedy mu się dobrze przyjrzały, nagle, bez żadnego widocznego powodu obróciły się, odpłynęły i zniknęły w oddali.

Johnny wychynął na powierzchnię, uczeplił się skraju deski i odbył małą, ale nerwową naradę z Mickiem. Co kilka sekund zanurzał twarz pod wodę, żeby sprawdzić, czy groźne stado przypadkiem nie powróciło.

–One ciebie nie ruszą – uspokajał go Mick – „Kudy” to tchórze. Wystarczy, że zastrzelisz jedną, a wszystkie pozostałe uciekną.

Informacja ta ucieszyła Johnny’ego i przy następnym spotkaniu z barakudami był już spokojniejszy. Ale nie lubił, kiedy ci srebrzyści myśliwi otaczali go jak flotylla kosmicznych pojazdów z innego świata. A nuż, któregoś dnia, jeden z nich odważy się go skubnąć, a wtedy rzuci się na niego całe stado...

Największą trudność w badaniu rafy sprawiał jej ogrom. Większą jej część stanowiły obszary tak odległe, że pływanie tam przestawało być przyjemnością, a obszary najdalsze nie były w ogóle spenetrowane. Johnny wielokrotnie myślał o tym, żeby zapuścić się na nie znane tereny, ale bał się, że nie starczy mu sił na długą drogę do bazy. I właśnie w czasie jednego z takich

męczących powrotów, kiedy wraz z Mickiem pchali przed sobą deskę surfingową, załadowaną co najmniej pięćdziesięcioma kilogramami ryb, przyszedł mu do głowy pomysł.

Mick odniósł się do niego sceptycznie, ale zgodził się, że jest wspaniały – jeżeli tylko okaże się wykonalny.

–To nie takie proste – powiedział – trudno będzie zrobić uprzęż dla delfinów. Mają tak opływowy kształt, że będzie się ześlizgiwała.

–Myślę o czymś w rodzaju elastycznego kołnierza tuż nad płetwami. Jeżeli będzie wystarczająco szeroki i mocny, to powinien się utrzymać. Ale nie mówmy o tym nikomu – będą się z nas śmiać.

Rada była dobra, ale niemożliwa do wykonania. Wszyscy chcieli wiedzieć po co potrzebna im jest gąbczasta guma, siatki, żyłki nylonowe i dziwnych kształtów kawałki plastiku. W końcu chłopcy musieli wyjawić swoje zamiary. Nie było nawet nadziei na utrzymanie w tajemnicy pierwszych prób, toteż kiedy Johnny zakładał uprzęż na Suzie, zgromadziła się niespodziewanie liczna publiczność.

Nie zwracał jednak uwagi na żartobliwe komentarze padające z tłumu, gdy zapinał paski wokół ciała delfina. Suzie obdarzała go tak wielkim zaufaniem, że nie próbowała mu się nawet wymknąć, była widać pewna, że Johnny nie robi jej krzywdy. Myślała, że czeka ją nowa zabawa, i chciała poznać jej zasady.

Uprzęż była dobrze dopasowana do przedniej części stożkowatego tułowia delfina, a boczne i grzbietowe płetwy zapobiegały – taką przynajmniej miał nadzieję Johnny – ześlizgnięciu się w dół. Pasy założył tak, żeby nie zakrywały otworu znajdującego się w tylnej części głowy, przez który delfiny oddychały, kiedy były na powierzchni wody, a który zamykał się automatycznie, kiedy nurkowały.

Johnny przywiązał dwie nylonowe linki do upręży i mocno je ściągnął. Wszystko wydawało się być w porządku, więc przymocował drugie ich końce do surfingowej deski Micka i wspinał się na nią. Kiedy Suzie odpływając od brzegu pociągnęła go, z tłumu rozległy się ironiczne okrzyki. Suzie nie potrzebowała rozkazów. Ze zwykłą sobie szybką orientacją zrozumiała dokładnie, czego od niej chciał Johnny.

Pozwolił jej ciągnąć się przez sto metrów, a potem nacisnął guzik z napisem W LEWO. Suzie zareagowała natychmiast; wtedy Johnny nacisnął guzik z napisem W PRAWO. Usłyszała go ponownie. Deska posuwała się naprzód już szybciej, niż Johnny potrafił pływać, a delfin w ogóle się nie wysiłał.

Kierowali się prosto w morze. W pewnym momencie Johnny mruknął do siebie: „Teraz im pokażę” – i nacisnął guzik z napisem SZYBKO. Deska podskoczyła i zaczęła się ślizgać po falach. Suzie płynęła z maksymalną szybkością. Johnny przechylił się nieco do tyłu czuwając, żeby deska utrzymała równowagę i nie zanurzała się pod wodę. Bardzo podniecony i dumny z

siebie zastanawiał się, z jaką pędzą szybkością. Płynąc sama Suzie zdolna była osiągnąć co najmniej trzydzieści mil na godzinę, a wzięwszy pod uwagę, że teraz jest obciążona deską i skrzepowana uprzężą, można było założyć, iż ciągnie go z prędkością piętnastu albo dwudziestu mil na godzinę. A to wcale nie było jaka szybkość, szczególnie, kiedy leży się płasko na desce z twarzą wystawioną na ostry prysznic morskiej wody.

Nagle rozległ się trzask, deska poleciała w jedną stronę, Johnny w drugą. Kiedy prychając wynurzył się na powierzchnię, zobaczył, że nic się nie złamało ani nie pękło, Suzie po prostu wyleciała z uprzęży jak – korek z butelki.

Cóż, takie małe techniczne trudności to rzecz normalna przy pierwszych próbach. Mimo że musiał przepłynąć sporą przestrzeń, zanim dotarł do brzegu, gdzie czekały go docinki widzów, Johnny był zupełnie zadowolony. Znalazł jeszcze jeden sposób panowania nad morzem, sposób, który ułatwi mu penetrowanie rafy. Poza tym wynalazł nowy sport, który w przyszłości na pewno da mnóstwo emocji tysiącom ludzi i delfinów.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Profesor Kazan był wniebowzięty, kiedy usłyszał o wynalazku Johnny'ego; mógł się on bowiem okazać bardzo przydatny w realizacji własnych jego planów. Plany te nie skryształizowały się jeszcze, ale zaczynały powoli przybierać konkretne kształty i profesor liczył, że za kilka tygodni będzie mógł stanąć przed Komitetem Doradczym z kilku propozycjami, które poruszą wyobraźnię jego członków.

Profesor nie należał do tych uczonych, którzy – jak na przykład specjaliści od zagadnień czystej matematyki – nie są zadowoleni, gdy ich badania znajdują praktyczne zastosowanie. Wprawdzie mógłby z przyjemnością do końca życia oddawać się studiom nad językiem delfinów, nie próbując stosować swojej wiedzy w praktyce, teraz jednak doszedł do wniosku, że nadszedł czas, aby to zrobić. Zmusiły go do tego same delfiny.

W dalszym ciągu nie miał pojęcia, co mógłby, a nawet co powinien, uczynić w sprawie orek. Ale jedno wiedział na pewno: jeżeli delfiny oczekują od ludzi pomocy, to będą musiały wykazać, że potrafią się za mą odwdzięczyć.

Już w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku doktor John Lilly, pierwszy uczony, który próbował porozumiewać się z delfinami, wymienił kilka dziedzin, gdzie mogłyby one współpracować z człowiekiem. Mogłyby ratować rozbiteków z tonących okrętów – co zresztą pokazały ratując Johnny'ego – a także oddać nieocenione usługi w badaniu tajemnic oceanu. Znając z pewnością stworzenia, których człowiek nigdy nie widział, mogłyby przyczynić się nawet do wyjaśnienia nie rozwikłanej wciąż tajemnicy wielkiego węża morskiego. Jeżeliby potrafiły na szerszą skalę niż dotąd współpracować z rybakami, to odegrałyby poważną rolę w karmieniu miliardów mieszkańców Ziemi.

Wszystko to warte było zbadania. Profesor Kazan miał zresztą szereg własnych pomysłów. Delfiny potrafią dotrzeć do każdego wraku spośród tych, które spoczywają na dnie mórz i oceanów, jeśli tylko nie znajduje się na głębokości większej, niż graniczna głębokość ich zanurzenia, to znaczy ponad trzysta metrów. Nawet, jeżeli statek rozbił się przed wielu wiekami i pokrył się błotem lub korałem, delfiny go odnajdą. Mają wspaniale rozwinięty zmysł węchu, a raczej smaku, i wykrywają najmniejsze cząsteczki metalu, oliwy czy drewna w wodzie. Delfiny, węszące i pędzące jak psy gończe po dnie morskim, mogą zrewolucjonizować archeologię podmorską. Czasami profesor zastanawiał się nieco melancholijnie, czy można je przyuczyć do wykrywania złota...

Kiedy był już gotów do wypróbowania niektórych spośród swoich teorii, „Latająca Ryba” poeglowała na północ, wioząc na pokładzie, w nowo zainstalowanych zbiornikach z wodą, Einara, Peggy, Suzie i Sputnika. Łódź zaopatrzona była w specjalny ekwipunek. Ku swemu wielkiemu zmartwieniu Johnny nie został zabrany. Za sprawą OSKARA.

–Bardzo mi przykro, Johnny, – powiedział profesor oglądając kartę, którą wyrzucił komputer.
– Masz piątkę z biologii, piątkę z minusem z chemii, czwórkę z plusem z fizyki, ale z

angielskiego, matematyki i historii tylko czwórki z minusem. To za mało. Ile czasu poświęcasz na nurkowanie?

–Wczoraj w ogóle nie byłem w wodzie – odpowiedział Johnny wymijająco.

–Ponieważ cały dzień lało, rozumiem. Ale ile przeciętnie?

–Och, kilka godzin.

–Kilka rano i kilka po południu. OSKAR opracował dla ciebie nowy kurs, który kładzie specjalny nacisk na twoje słabe punkty. Obawiam się, że jeśli popłyniesz z nami, twoje wyniki pogorszą się jeszcze bardziej. Nie będzie nas dwa tygodnie, a ty nie możesz sobie pozwolić na najmniejszą stratę czasu.

Na tym stanęło. Johnny nie miał odwagi spierać się z profesorem, wiedział zresztą, że ten ma rację. Koralowa wyspa nie sprzyjała nauce, to fakt.

Minęły dwa długie tygodnie. „Latająca Ryba”, po odwiedzeniu kilku portów na kontynencie, powróciła na wyspę. Jadąc na północ dotarła aż do Cooktown, dokąd w 1770 roku wielki żeglarz, kapitan Cook, zawinął, żeby naprawić swój uszkodzony statek, zwany „Endeavour”.

Od czasu do czasu dochodziły przez radio wieści o osiągnięciach ekspedycji, ale wszystkiego Johnny dowiedział się dopiero od Micka. Fakt, że Mick wziął udział w wyprawie, wpłynął bardzo dodatnio na naukę Johnny’ego – nikt nie odciągał go od jego mechanicznych nauczycieli. W ciągu tych dwóch tygodni Johnny zrobił poważne postępy, co ucieszyło profesora.

Pierwszą pamiątką z podróży, którą Mick pokazał Johnny’emu, był jasny kamyczek w kształcie jaja i nie większy od ziarnka grochu.

–Co to jest? – spytał Johnny, nie zdradzając większego zainteresowania.

–Jak to, nie wiesz? To jest perła. I to całkiem niezła!

Johnny’emu perła nadal nie imponowała, nie chciał jednak dotknąć Micka ani okazywać swojej ignorancji.

–Gdzie ją znalazłeś? – zapytał.

–To nie ja, to Peggy. Wyniosła ją z Rowu Marlina z głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Żaden nurek nie zrobiłby tego, to zbyt niebezpieczne, nawet jeśli się używa nowoczesnego sprzętu. Wuj Henry zanurzył się któregoś dnia w płytkiej wodzie i pokazał delfinom jak się łowi ostrygi. Od tej pory Peggy, Suzie i Einar wyłowiły ich całe tony. Profesor twierdzi, że to pozwoli pokryć koszty całej tej podróży.

–Co, ta perła?

–Nie, głuptasie. Chodzi o muszle. Są wciąż uważane za najlepszy surowiec do wyrobu guzików i rękojeści noży, a farmy ostryg nie dostarczają dostatecznej ich ilości. Profesor zamierza przeszkolić kilkaset delfinów i założyć dobrze prosperującą wytwórnię masy perłowej.

–Czy napotkaliście jakieś wraki?

–Widzieliśmy około dwudziestu. Ale większość z nich jest już zaznaczona na mapach admiralicji. Najważniejszym eksperymentem było łowienie ryb trawlerami z Gladstone. Udało się nam nagonić dwie ławice tuńczyków w sieci.

–To sprawiliście frajdę rybakom!

–Nie tak znowu wielką. Nie chcieli wierzyć, że zrobiły to delfiny. Twierdzili, że to zasługa ich elektrycznych pól kierujących i przynęty dźwiękowej. My wiemy lepiej i udowodnimy im to, kiedy tylko będziemy mieli większą ilość przyuczonych delfinów. Wtedy będziemy napędzali ryby, gdzie, i komu, będziemy chcieli.

Johnny przypomniał sobie słowa profesora Kazana, wypowiedziane w czasie pierwszego ich spotkania. „Mają więcej swobody, niż my kiedykolwiek zaznaliśmy na lądzie. Nie są niczyją własnością i mam nadzieję, że tak już na zawsze pozostanie”.

Czy teraz nie zagraża im utrata tej wolności i czy sam profesor, mimo swoich dobrych intencji, tego właśnie nie spowoduje?

Tylko przyszłość mogła to pokazać. A może Lud Morza nigdy nie był tak wolny, jak to sobie człowiek wyobrażał. Johnny nie mógł zapomnieć historii o orce, która miała w brzuchu dwadzieścia delfinów.

Za wolność trzeba płacić, tak jak płaci się za wszystko. Może delfiny zechcą zrobić układ z ludźmi, wymieniając część swego wolności za bezpieczeństwo. Wiele krajów stawało wobec konieczności takiego wyboru, a rezultaty kompromisu nie zawsze okazywały się dobre.

Profesor Kazan przemyślał już oczywiście i te, i inne, ważniejsze sprawy. Nie niepokoił się, ponieważ wciąż jeszcze zbierał informacje i przeprowadzał eksperymenty. Wiedział, że kiedyś trzeba będzie podjąć decyzję; na razie układ pomiędzy człowiekiem i delfinem był jeszcze sprawą odległej przyszłości. Może zostanie podpisany już nie za jego życia, jeśli w ogóle można oczekiwać, że delfiny układ podpiszą? Właściwie czemu nie? Ich wargi były ogromnie zręczne, co wykazały wybierając i przenosząc setki muszel perłowych. W dalekich planach profesora leżało nauczenie delfinów sztuki pisania, a przynajmniej rysowania.

Innym planem, którego wykonanie musiało potrwać znacznie dłużej – może całe wieki – było opracowanie historii mórz. Profesor Kazan podejrzewał od dawna, a teraz miał już pewność, że delfiny posiadają znakomitą pamięć. Były czasy, przed wynalezieniem pisma, kiedy ludzie gromadzili wiedzę o swojej przeszłości we własnych głowach. Minstrele

i bardowie potrafili zapamiętać miliony słów i przekazywali je z pokolenia w pokolenie. Pieśni, które śpiewali, legendy o bogach, bohaterach i wielkich bitwach stoczonych w przedhistorycznych czasach, stanowiły mieszanię faktów i mitów. Ale fakty można było z nich wydobyć, tak jak zrobił to w dziewiętnastym wieku Schliemann, który odkopał Troję z ruin i udowodnił, że Homer opiewał prawdziwe dzieje.

Wśród delfinów byli z pewnością opowiadacze, chociaż profesor nie natknął się dotychczas na żadnego. Einar potrafił powtórzyć w ogólnych zarysach delfinie opowieści, jakie zasłyszał w młodym wieku. Przełożone przez profesora Kazana opowieści te okazały się wspaniałym źródłem nie znanych dotychczas zupełnie informacji, sięgających w przeszłość znacznie dalszą, aniżeli wszystkie ludzkie mity i podania ludowe. W niektórych znaleźć można było aluzje do epoki lodowcowej, a ta zakończyła się przecież siedemnaście tysięcy lat temu.

Jedna z tych opowieści była tak niezwykła, że profesor Kazan nie dowierzając własnej interpretacji taśmy przekazał ją doktorowi Keithowi z prośbą o niezależną analizę.

Przez cały niemal miesiąc doktor Keith, który nie był tak dobrym tłumaczem języka delfinów jak profesor, pracował nad tekstem. I nawet potem, tak długo się ociągał z przedstawieniem swojej wersji, że profesor musiał ją w końcu z niego wydobyć niemal siłą.

–To stara legenda – zaczął – Einar powtarza ją wielokrotnie. I wydaje się, że wywarła wielkie wrażenie na delfinach, bo podkreślają, że nic podobnego nie zdarzyło się ani przedtem, ani potem.

O ile wszystko dobrze zrozumiałem, to pewnego razu stado delfinów mijало nocą dużą wyspę, kiedy nagle noc przemieniła się w dzień i „słońce zleciało z nieba”. Tego zdania jestem całkiem pewny. „Słońce” wylądowało w wodzie i zgasło; w każdym razie zapanowała znowu ciemność. Ale po morzu pływał ogromny przedmiot, co najmniej tak wielki jak 128 delfinów. Czy dotychczas wszystko się zgadza?

Profesor Kazan skinął głową.

–Owszem, wszystko z wyjątkiem liczby. Według mnie chodzi o liczbę 256, ale to nie jest istotne. Przedmiot był wielki, to nie ulega wątpliwości.

Profesor odkrył, że delfiny liczą w skali dwójkowej. Tego się można spodziewać, bo mają tylko „dwa palce” czyli płetwy; na których mogą liczyć. Ich określenia dla 1, 10, 100, 1000 czy 10 000 odpowiadają 1, 2, 4, 8, 16 w ludzkiej skali dziesiętnej. A więc dla nich 128 i 256 były okrągłymi liczbami określającymi przybliżenie, a nie dokładną miarę.

–Przerażone delfiny trzymały się z dala od tajemniczego przedmiotu – ciągnął doktor Keith – który wydawał z siebie dziwne dźwięki. Einar powtarzał mi je. Dla mnie brzmią jak dźwięki elektronicznego silnika albo kompresora.

Profesor Kazan zgadzał się z opinią doktora, ale nie przerywał mu.

–Potem nastąpiła olbrzymia eksplozja i morze zagotowało się. Wszystkie delfiny, które znajdowały się w promieniu 1024, a nawet 2048 długości od obiektu, zniknęły. A on sam szybko zatonął, przy wtórze kolejnych eksplozji.

–Nawet te delfiny, którym udało się uciec nie ponosząc żadnych obrażeń, zmarły wkrótce potem na nie znaną chorobę. Przez wiele lat wszystkie morskie stworzenia omijały ten obszar, ale ponieważ nic nowego tam nie zaszło, niektóre delfiny powróciły tam z ciekawości. Znalazły na dnie morza „miejsce pełne jaskiń” i szukały w nich ryb. Po pewnym czasie one także umarły na tę samą, nie znaną chorobę. Od tej pory miejsce to jest już całkiem opuszczone. Wydaje mi się, że głównym celem tej opowieści jest ostrzeżenie delfinów.

–Ostrzeżenie, które powtarzane jest od tysięcy lat – zgodził się profesor. – Dobrze, ale przed czym?

Doktor Keith poruszył się niespokojnie w fotelu.

–Może być tylko jedno wytłumaczenie. Jeżeli legenda ta jest oparta na faktach – a trudno przypuszczać, że delfiny ją sobie wymyśliły – to jakiś statek kosmiczny musiał wylądować na morzu przed kilku tysiącami lat. Jego silniki eksplodowały, powodując radioaktywne skażenie morza. Jest to dość fantastyczna teoria, ale nie nasuwa mi się nic lepszego.

–Dlaczego „fantastyczna”? – zapytał profesor Kazan. – Wiemy już, że we wszechświecie żyje wiele istot inteligentnych, możemy się więc spodziewać, że potrafią zbudować statki kosmiczne. W gruncie rzeczy trudno raczej znaleźć wyjaśnienie, czemu nie przybyły na Ziemię do tej pory.

–Wielu naukowców uważa, że gościliśmy prawdopodobnie przybyszów z kosmosu w przeszłości, ale było to tak wiele tysięcy lat temu, że nie pozostały po nich żadne ślady. Teraz może zdobędziemy jakieś dowody.

–Co zamierza pan z tym zrobić?

–W tej chwili nic zrobić się nie da. Pytałem Einara, ale on nie ma pojęcia, gdzie się to wszystko zdarzyło. Musimy znaleźć jednego z delfinich minstrelów i zapisać całą sagę. Miejmy nadzieję, że poznamy więcej szczegółów. Skoro poznamy w przybliżeniu miejsce zdarzenia, to może uda nam się zlokalizować je za pomocą liczników Geigera. Obawiam się tylko jednego.

–Czego?

–Że orki już połknęły naszego ewentualnego informatora. W takim razie nigdy nie poznamy prawdy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Żaden przybysz nie został chyba powitany przez mieszkańców wyspy z tak mieszanymi uczuciami. Kiedy wielki helikopter transportowy nadleciał od południa ze Stacji Badań Wielorybów w Tasmanii, wszyscy, oprócz tych, którzy nie znajdowali się na morzu, zgromadzili się dokoła basenu.

Helikopter zawisł wysoko ponad basenem, a powietrze smagane przez jego rotory rysowało na powierzchni wody fantastyczne ornamenty. Następnie otworzyły się luki w kadłubie i wyłoniła się wielka płachta, która powoli zaczęła spływać w dół. Dotknęła powierzchni basenu, coś plusnęło gwałtownie, trysnęła fontanna wody i płachta opustoszała.

W basenie znalazł się w ten sposób największy i najgroźniejszy drapieżca, jaki kiedykolwiek przebywał na Wyspie Delfinów.

Johnny czuł się zrazu nieco zawiedziony widokiem orki. Była mniejsza, niż się spodziewał, chociaż znacznie większa niż jakikolwiek delfin. Zwierzył się ze swojego rozczarowania Mickowi, ale dopiero kiedy helikopter odleciał i można było znowu mówić, a nie krzyczyć.

–To samica – powiedział Mick. – Samice są o połowę mniejsze od samców. Dlatego łatwiej trzymać je w niewoli. Zjadają tylko około pięćdziesięciu kilo ryb dziennie.

Johnny, choć nastawiony nieprzychylnie do orki, musiał przyznać, że ma przed sobą piękne stworzenie. Łaciata maść – biały brzuch, czarny grzbiet i duże, białe plamy nad każdym okiem – sprawiała, że orka wyglądała bardzo efektownie. Nadano jej imię „Śnieżka”, właśnie z powodu tych białych plam.

Kiedy orka ukończyła inspekcję basenu, zajęła się lustracją tego, co znajdowało się dokoła niego. Wysunęła wielki łeb z wody, bystrzymi, inteligentnymi oczami spojrzała na zgromadzonych ludzi i leniwie otworzyła pysk.

Widok groźnych, ostrych zębów wywołał pełen szacunku szmer. Śnieżka musiała zdawać sobie sprawę z osiągniętego efektu, bo ziewnęła znowu, demonstrując jeszcze lepiej swe wspaniałe uzębienie. Delfiny mają małe, podobne do szpilek zęby i używają ich tylko do przytrzymywania ryb, zanim je połkną w całości. Ale zęby orki są przeznaczone do tych samych celów co zęby rekina. Mogą przegryźć jednym kłapnięciem ciało foki czy delfina. Albo człowieka.

Teraz, kiedy orka znalazła się na wyspie, każdy jej mieszkaniec był ciekaw, co profesor zamierza z nią zrobić. Zostawił ją w spokoju przez pierwsze trzy dni, chcąc, żeby oswoiła się z nowym otoczeniem i wypoczęła po swojej niezwyklej podróży. Przebywając już od siedmiu miesięcy w niewoli zdążyła się przyzwyczaić do ludzi, szybko się więc uspokoiła i chętnie zjadała zarówno żywe jak śnięte ryby, które jej rzucano.

Zadanie żywienia orki zostało powierzone rodzinie Micka, głównie jego ojcu, Jo Nauru, i

wujowi Stephenowi, kapitanowi „Latającej Ryby”. Zajęli się tym chętnie, żeby dorobić sobie trochę pieniędzy, ale wkrótce bardzo polubili swoją podopieczną. Jak można było oczekiwać, okazała się stworzeniem inteligentnym, ale była również łagodna, a tego się po niej nie spodziewano. Mick przywiązał się do niej szczególnie, ona zaś okazywała oczywistą radość, kiedy zbliżał się do basenu, i wyraźne niezadowolenie, kiedy odchodził, nic jej przedtem nie ofiarowawszy.

Kiedy profesor upewnił się, że Śnieżka się zadomowiła i nabrała zdrowej chęci do życia, rozpoczął pierwsze eksperymenty. Nadawał przez hydrofony proste zdania w języku delfinów i badał jej reakcje.

Z początku były bardzo gwałtowne. Rzuciła się po całym basenie poszukując źródła dźwięków. Niewątpliwie, kojarzyła sobie głosy delfinów z pożywieniem i przypuszczała, że podano obiad.

Już po kilku minutach zrozumiała, że została oszukana i że w basenie nie ma ani jednego delfina. Odtąd, choć przysłuchiwała się nadal bacznie nadawanym dźwiękom, już za nimi nie goniła. Nadzieje profesora na to, że odpowie we własnym języku, nie spełniły się. Orka milczała uparcie.

Profesor zrobił jednak niewielki krok naprzód. Nagrawszy na taśmę wydawane przez orki dźwięki, posłużył się niezawodną pamięcią komputerową OSKARA, który znalazł w masie materiału słowa brzmiące niemal identycznie w języku delfinów. Okazało się na przykład, że nazwy wielu ryb są te same w obu językach. Prawdopodobnie, tak jak angielski i niemiecki lub francuski i włoski, wywodzą się z tego samego starożytnego źródła. Profesor liczył na to, uprościłoby to bowiem znacznie jego pracę.

Nie był zawiedziony brakiem współpracy ze strony Śnieżki, ponieważ wiedział, że inne swe plany, także jej dotyczące, może zrealizować niezależnie od jej woli. Kiedy od dnia jej pojawienia się na wyspie upłynęły dwa tygodnie, przybył z Indii zespół techników medycznych i zainstalował na brzegu basenu urządzenia elektroniczne. Następnie wypuszczono z basenu wodę i orka znalazła się na jego dnie, oburzona i unieruchomiona.

Następny etap wymagał pracy dziesięciu ludzi, silnych powrozów i mocnej drewnianej konstrukcji, która miała utrzymywać głowę orki w nie zmienionej pozycji. Zwierzę nie było z tego zadowolone. Podobnie zresztą jak Mick, który asystował przy całej tej operacji i polewał Śnieżkę za pomocą węża, żeby uchronić jej skórę od zbytniego wysuszenia się.

–Nikt cię tu nie skrzywdzi, stara – powtarzał uspokajająco. – To się za chwilę skończy i znowu sobie popływasz.

Następnie, ku zaniepokojeniu Micka, jeden z techników zbliżył się do orki z przedmiotem, który wyglądał jak skrzyżowanie strzykawki i wiertarki elektrycznej. Starannie wybrał miejsce w tyle głowy orki, przyłożył do niego przyrząd i nacisnął guzik. Rozległ się nikły,

wysoki dźwięk i igła zanurzyła się powoli w głąb mózgu zwierzęcia, przechodząc przez kość czaszki równie łatwo jak nóż przez masło.

Ta operacja zaniepokoiła Micka bardziej niż Śnieżkę, która w ogóle nie zareagowała na ukłucie. Nie zdziwiłoby to nikogo, kto zna się na fizjologii, ale Mick, tak jak większość ludzi, nie wiedział o zadziwiającym fakcie, że mózg, nie będąc unerwiony, nie ma zdolności odczuwania bólu. Można go przebijać czy krajać, nie wyrządzając najmniejszej przykrości jego właścicielowi.

W sumie wpuszczono więc dziesięć sond w głąb mózgu Śnieżki. Następnie przyłączono do nich przewody prowadzące do płaskiego pudełka umieszczonego na jej głowie. Cała ta operacja trwała niepełną godzinę. Po jej zakończeniu wpuszczono wodę do basenu i Śnieżka zaczęła znowu pływać, parskać i wydmuchiwać nozdrzami powietrze. Było oczywiste, że zabieg nie zaszkodził jej, ale Mick uznał, że patrzy na niego z wyrzutem, jak gdyby chciała mu dać do zrozumienia, iż zawiodła się na nim.

Następnego dnia przybył z New Delhi doktor Saha. Był członkiem Komitetu Doradczego, starym przyjacielem profesora Kazana i światowym autorytetem w dziedzinie najbardziej skomplikowanego ze wszystkich organów – mózgu człowieka.

–Ostatni raz użyłem tej aparatury – powiedział fizjolog, przyglądając się pływającej po basenie orce – do badania mózgu słonia. Kiedy z nim skończyłem, mogłem kierować jego trąbą na tyle precyzyjnie, że pisał na maszynie.

–Nam taka wirtuozeria nie jest potrzebna – uśmiechnął się profesor Kazan. – Ja chcę tylko sterować ruchami Śnieżki i nauczyć ją, żeby nie pożerała delfinów.

–Jeżeli moi ludzie umieścili elektrody we właściwych miejscach, to obiecuję panu, że tak będzie. Ale nie od razu. Przede wszystkim muszę opracować mapę mózgu tego zwierzęcia.

Praca nad tą „mapą” była żmudna, powolna, wymagała też wielkiej zręczności i cierpliwości. Toteż Saha godzinami siedział przed tablicą rozdzielczą swojego przyrządu, obserwując zachowanie Śnieżki, która nurkowała, wygrzewała się na słońcu, pływała leniwie dokoła basenu albo zajadała rzucone jej przez Micka ryby. Przez cały ten czas jej mózg, podłączony do nadajnika radiowego, wysyłał sygnały podobnie jak satelita na orbicie. Impulsy przekazywane przez odbiornik rejestrowano na taśmie, tak że doktor Saha mógł obserwować wzornik aktywności elektrycznej odpowiadającej każdej akcji orki.

Wreszcie uznał, że nadszedł czas, by zrobić pierwszy krok; zamiast odbierać impulsy z mózgu Śnieżki, doktor począł kierować je ku niemu.

Rezultat był sensacyjny i tak niewiarygodny, że wydawał się bliższy magii niż wiedzy. Przekręcając gałkę albo przesuwając wyłącznik, doktor Saha sprawiał, że zwierzę skręcało w prawo lub w lewo, robiło koło czy ósemkę albo leżało bez ruchu na środku basenu, jednym słowem wykonywało każdy nakazany ruch. Próby Johnny’ego, kierującego ruchami Sputnika i

Suzie za pomocą komunikatora, które do niedawna robiły na wszystkich takie wrażenie, obecnie zdawały się niemal dziecinną igraszką.

Johnny jednak nie przejmował się tym wcale. Suzie i Sputnika uważał za przyjaciół i chętnie pozostawiał im swobodę wyboru. Jeżeli nie słuchały go – co się często zdarzało – to uważał, że mają do tego prawo. Ale Śnieżka nie miała wyboru; prąd elektryczny wysyłany do jej mózgu zamienił ją w żywego robota, pozbawił własnej woli i zmuszał do wykonywania rozkazów, wydawanych przez doktora Sałę.

Im dłużej Johnny myślał o tym, tym mniej mu się to wszystko podobało. Czyż nie można by w podobny sposób kierować nim samym? Zaczął szukać informacji w tej sprawie i dowiedział się, że, istotnie, zastosowano tę metodę w stosunku do ludzi w wielu eksperymentach laboratoryjnych. Oto naukowe narzędzie równie niebezpieczne jak energia atomowa, jeżeli ktoś zechce go użyć nie w dobrych, ale w złych celach.

Nie ulegało wątpliwości, że profesor Kazan zamierza wykorzystać tę metodę w dobrym celu – w każdym razie z korzyścią dla delfinów – ale Johnny jeszcze nie wiedział, w jaki sposób zamierza to uczynić. Był niewiele mądrzejszy także wtedy, gdy rozpoczęła się następna faza eksperymentu wraz z przybyciem na wyspę bardzo dziwnego przedmiotu: mechanicznego delfina naturalnej wielkości, napędzanego silnikiem elektrycznym.

Zbudował go przed dwudziestu laty w Laboratorium Badawczym Marynarki pewien uczyony, który nie potrafił zrozumieć, dlaczego delfiny tak szybko pływają. Zgodnie z jego obliczeniami mięśnie delfinów nie powinny były pozwolić im na osiągnięcie szybkości większej niż nieco ponad dziesięć mil na godzinę, a przecież pływały bez trudu przeszło dwa razy szybciej.

Uczyony ten skonstruował więc sztucznego delfina, by studiować mechanizm jego ruchów. Doświadczenie się nie powiodło, ale model był tak pięknie wykonany, że nikt nie miał serca go zniszczyć nawet wtedy, kiedy zniechęcony autor zrezygnował już z niego całkowicie. Od czasu do czasu technicy z laboratorium odkurzali go i pokazywali zwiedzającym. W ten sposób dowiedział się o nim profesor. Model ten był już na swój sposób słynny.

Każdy przeciętny obserwator mógł się dać nabrać, ale kiedy w obecności wielu zafascynowanych widzów wpuszczono mechanicznego delfina do basenu, w którym pływała Śnieżka, eksperyment zakończył się całkowitym fiaskiem. Orka obrzuciła mechaniczną zabawkę pogardliwym spojrzeniem i zignorowała ją całkowicie.

–Tego się obawiałem – powiedział profesor bez większego żalu. Jak wszyscy naukowcy wiedział, że większość eksperymentów nie udaje się, i nie bał się narazić na śmieszność, nawet publicznie. (Nawet przecież wielki Darwin grał kiedyś przez kilka godzin na trąbce w ogródku warzywnym, aby się przekonać czy dźwięki wpływają na wzrost roślin). – Ona na pewno usłyszała dźwięk silnika i zrozumiała, że to oszustwo. Cóż, okazało się, że nie mamy wyboru. Trzeba będzie użyć prawdziwego delfina jako przynęty.

–Czy pan poprosi o ochotników? – zapytał doktor Saha żartobliwie.

Ale dowcip obrócił się przeciwko niemu. Profesor Kazan zastanowił się nad jego sugestią i skinął twierdząco głową.

–Tak właśnie zrobię – oświadczył.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

–Na wyspie panuje powszechne przekonanie, że profesor do reszty zwariował – powiedział Mick.

–Bzdura – odparł Johnny, stając w obronie swojego bohatera. – A co on zrobił?

–Za pomocą tego swojego instrumentu z falami mózgowymi chce sterować odżywianiem się Śnieżki. Każę mi dawać jej ryby jednego gatunku, a doktor Saha zabrania jej zjadać właśnie ten gatunek. Kiedy da jej kilka ukłuć prądem, to rzeczywiście Śnieżka już ich nie je. Nazywa to „uwarunkowaniem”. Teraz pływa dokoła niej kilka szczupaków, a ona nawet na nie nie spojrzę. Ale zjada każdy inny gatunek.

–To dlatego uważasz, że profesor zwariował?

–Jest jasne, o co mu chodzi. Jeżeli potrafi powstrzymać Śnieżkę od zjadania szczupaków, to potem zabroni jej atakować delfiny. Ale co z tego? Istnieją miliony orek; nie może ich wszystkich „uwarunkować”!

–Cokolwiek profesor robi, ma to na pewno sens – powiedział z przekonaniem Johnny. – Poczekajmy cierpliwie.

–Mimo wszystko chciałbym, żeby przestali dokuczać Śnieżce. Boję się, że nabierze przez to niedobrego usposobienia.

„Taka obawa w stosunku do krwiożerczego wieloryba brzmi nieco dziwnie”. – pomyślał sobie Johnny.

–To chyba nie ma znaczenia – powiedział.

Mick uśmiechnął się zmieszany i zaczął skrobać stopą ziemię.

–Dasz słowo, że nie powiesz nic nikomu?

–Oczywiście.

–Ja już kawał czasu z nią pływam. Jest znacznie zabawniejsza od tych twoich kijanek.

Johnny spojrział na niego ze zdumieniem, nie zwróciwszy nawet uwagi na to, że obraził Suzie i Sputnika.

–I ty mówisz, że profesor zwariował! – krzyknął, już oprzytomniawszy nieco. – A może znowu mnie nabierasz? – dodał podejrzliwie. Znał się już niby na żartach Micka, ale tym razem nie był pewny.

Mick potrząsnął głową.

–Jeżeli mi nie wierzysz, to chodź na basen. Wiem, myślisz, że oszalałem, ale to naprawdę nie jest niebezpieczne. Wszystko zaczęło się od przypadku. Któregoś dnia karmiąc Śnieżkę byłem nieostrożny, pośliznąłem się i wpadłem do basenu.

Johnny gwizdnął przeciągle.

–Pewnie myślałeś, że nadeszła twoja ostatnia godzina!

–Oczywiście. Kiedy wynurzyłem się z wody zobaczyłem na wprost siebie pysk Śnieżki. Wiesz – powiedział po chwili – to nieprawda, że w takich chwilach przebiega ci przed oczami cała przeszłość. Myślałem wyłącznie o tych zębach. Zastanawiałem się czy połknie mnie w całości, czy też przegryzie na połowę.

–No i co? – zapytał niecierpliwie Johnny.

–No i nie przegryzła mnie na połowę. Szturchnęła mnie łagodnie nosem, jakby chciała powiedzieć: „zostańmy kumplami”. No i tak zostało. Jeżeli zdarzy się, że któregoś dnia nie zejdziesz do basenu, żeby popływać razem z nią, jest bardzo zmartwiona. Czasami to wcale niełatwa sprawa, bo gdyby ktoś nas zobaczył i powiedział profesorowi, to byłby koniec zabawy.

Roześmiał się spojrzawszy na twarz Johnny’ego. Malowała się na niej obawa zmieszana ze zgorszeniem.

–Jest to znacznie bezpieczniejsze niż poskramianie lwów, którym ludzie zajmują się od lat. I daje mi dużą satysfakcję. Może któregoś dnia zajmę się wielkimi wielorybami, takimi jak te Błękitne Płetwale, co ważą do stu pięćdziesięciu ton.

–Te przynajmniej nie będą cię mogły połknąć – powiedział Johnny, który od czasu przybycia na wyspę wiele się nauczył o wielorybach. – Mają za wąskie przełyki; jedzą wyłącznie krewetki i inne równie małe stworzenia.

–Dobrze, a co powiedziałbyś o kaszalotach? Takich jak Moby Dick? Mogą połknąć jednym haustem dziewięciometrową kałamarnicę!

Mick zapalił się do tego tematu. W pewnym momencie Johnny uprzytomnił sobie, że jego kolegą powoduje zwykła zazdrość. Nawet teraz delfiny zaledwie go tolerowały i nigdy nie okazywały mu tyle uczucia, co Johnny’emu. Ucieszył się, że Mick znalazł sobie wreszcie wielorybiego przyjaciela, ale wolałby, żeby wybór był bardziej sensowny.

Tak się jednak złożyło, że Johnny nie zdążył zobaczyć Śnieżki i Micka baraszkujących w wodzie, bo profesor Kazan przystąpił do następnego doświadczenia. Pracował całe dni przykrawając taśmy i przygotowując długie zdania w języku delfinów. Nawet teraz nie był pewny, czy potrafi przekazać dokładnie to, co chciał. Miał jednak nadzieję, że jeżeli nawet

przekład zawiedzie, to inteligencja delfinów zadecyduje o powodzeniu eksperymentu.

Zastanawiał się często nad tym, co one myślą o tym języku, który zbudował ze słów pochodzących z tylu różnych źródeł. Każde nadane do nich zdanie musiało brzmieć tak, jak gdyby było tu tuzin delfinów i każdy z nich po kolei wypowiedziałby kilka słów, przy czym każdy mówiłby z innym akcentem. Musiało to brzmieć dziwnie dla jego słuchaczy, którzy nie mogli przecież zrozumieć czegoś takiego jak magnetofon i montowanie taśm. Fakt, że rozumiały one cokolwiek z wysyłanych przez niego dźwięków, stanowił niezbity dowód ich ogromnej inteligencji i cierpliwości.

Kiedy „Latająca Ryba” odbijała od przystani, profesor zdradzał niezwykle z denerwowanie.

- Czy wie pan, jak się czuję? – spytał doktora Keitha. Stali obok siebie na przednim pokładzie.**
- Tak, jakbym zaprosił przyjaciół na przyjęcie i wypuścił na nich tygrysa ludojada.**
- Nie jest aż tak źle – roześmiał się Keith. – Zostali ostrzeżeni, a tygrysa trzyma pan w ryzach.**
- Mam nadzieję – odpowiedział profesor.**

Z głośnika na pokładzie rozległo się: „Śluza otwarta. Śnieżka nie kwapi się do opuszczenia basenu”.

Profesor Kazan podniósł lornetkę do oczu i skierował ją w stronę wyspy.

–Nie chciałbym, żeby Saha zaczął nią manipulować, zanim to nie będzie konieczne – powiedział. – O, ruszyła!

Śnieżka płynęła bardzo powoli przez kanał. Kiedy znalazła się na otwartym morzu, wyglądała na zupełnie oszołomioną. Pokręciła się kilka razy w kółko, jakby szukając właściwego kierunku. Była to typowa reakcja kogoś – zwierzęcia lub człowieka – kto spędził dłuższy czas w niewoli, po czym odzyskał nagle swobodę.

–Zawołaj ją! – powiedział profesor. Rozległ się sygnał TUTAJ, nadany wprawdzie w języku delfinów, a nie języku Śnieżki, ale było to jedno z tych słów, które rozumiała. Popłynęła w kierunku „Latającej Ryby” i trzymała się statku, oddalającego się od wyspy w głąb otwartych wód.

–Chcę mieć dużo miejsca na manewrowanie – powiedział profesor – i myślę, że będzie to odpowiadać Einarowi, Peggy i spółce, na wypadek gdyby musiały ratować się ucieczką.

–Jeżeli się w ogóle pojawią. Może wykażą więcej rozsądku – powiedział doktor Keith.

–Cóż, dowiemy się za kilka minut. Wzywam je od samego rana. Każdy delfin w promieniu wielu mil musiał usłyszeć mój sygnał.

–Niech pan spojrzy! – zawołał nagle doktor Keith i wskazał na zachód. W odległości pół mili od „Latającej Ryby” niewielkie stadko delfinów płynęło równolegle do statku. – Oto pańscy ochotnicy. Ale wydaje mi się, że nie spieszy im się zbytnio.

–Zaczyna się zabawa! – mruknął profesor – chodźmy na mostek do doktora Sahy.

Aparatura, która wysyłała sygnały radiowe do mózgu Śnieżki i odbierała impulsy jej mózgu, umieszczona była obok koła sterowego. Na mostku „Latającej Ryby” zrobiło się więc bardzo ciasno, ale bezpośredni kontakt między doktorem Sahą a kapitanem Stephenem Nauru był konieczny. Obydwaj wiedzieli dokładnie, co mają robić i profesor Kazan nie miał zamiaru mieszać się do ich spraw, chyba że stałoby się to konieczne.

–Śnieżka dostrzegła je! – szepnął Keith.

Co do tego nie było wątpliwości. Niepewność, jaką orka wykazywała tuż po uwolnieniu z basenu, znikła. Ruszyła naprzód jakby napędzana motorem, pozostawiając za sobą bruzdę piany. Popłynęła prosto w kierunku delfinów.

Te oczywiście rozproszyły się. Profesor, dręczony poczuciem winy, zastanawiał się, co też delfiny myślą o nim w tej chwili, jeżeli mogły myśleć o czymś poza Śnieżką.

Ta znajdowała się już tylko o dziesięć metrów od lśniącego, opasłego delfina, kiedy nagle wyskoczyła wysoko w powietrze i opadła z wielkim pluskiem na wodę, gdzie legła nieruchomo, potrząsając głową zupełnie jak człowiek.

–Dwa wolty w centralny ośrodek bólu – powiedział doktor Saha zdejmując palec z guzika. – Ciekawe, czy spróbuje jeszcze raz?

Delfiny, niewątpliwie zdziwione całą sprawą, zebrały się w szyku kilkaset metrów dalej, zatrzymały i czujnymi oczami przyglądały się swojemu odwiecznemu wrogowi.

Śnieżka powoli otrząsnęła się z szoku i ruszyła naprzód. Tym razem popłynęła wolno i nie w stronę delfinów. Minęło trochę czasu, zanim obserwujący zorientowali się w jej taktyce.

Zakreślała szerokie koła wokół ciągle nieruchomych delfinów. Przyglądając się bacznie, można było spostrzec, że koła te zmniejszały się powoli.

–Ona próbuje nas oszukać – powiedział profesor Kazan z podziwem. – Spodziewam się, że podpłynie tak blisko, jak tylko się odważy, udając że nie interesuje się delfinami, a potem je zaatakuję zmienacka.

Śnieżka postąpiła dokładnie tak, jak przewidział profesor. Fakt, że delfiny pozostały tak długo na miejscu, stanowił zadziwiający dowód zaufania do ich przyjaciół, ludzi, oraz jeszcze jeden dowód szybkości, z jaką się uczyły. Rzadko trzeba było im mówić coś dwa razy.

Podczas gdy Śnieżka zataczała coraz mniejsze koła, jak ramię dawnego gramofonu zbliżającego się do środka płyty, wśród obserwatorów rosło napięcie. Znajdowała się już tylko o kilkanaście metrów od najbliższego i najodważniejszego delfina, kiedy zaatakowała ponownie.

Orka potrafi przyspieszać z niezwykłą wprost szybkością. Ale doktor Saha trzymał palec tuż nad guzikiem i był jeszcze szybszy od niej. Nie miała szans.

Była zwierzęciem bardzo inteligentnym. Jeśli ustępowała pod tym względem swym niedoszłym ofiarom, to raczej tylko nieznacznie. Zrozumiała, że jest pokonana. Kiedy otrząsnęła się z drugiego szoku, obróciła się tyłem do delfinów i zaczęła się od nich oddalać. Wtedy palec doktora Saha raz jeszcze dotknął tablicy rozdzielczej.

–Hej, co pan teraz robi? – zapytał go kapitan „Latającej Ryby”, który obserwował cały eksperyment z dezaprobatą. Tak jak jego bratanek Mick, nie pochwalał „znęcania się” nad Śnieżką. – Przecież ona robi to, co pan chce.

–Nie karzę jej, przeciwnie, nagradzam ją – wyjaśnił doktor Saha. – Tak długo jak naciskam ten guzik, Śnieżka ma uczucie zadowolenia. Puszczam kilka wolt w te cześć jej mózgu, gdzie znajduje się ośrodek satysfakcji.

–Myślę, że dosyć tego jak na jeden dzień – powiedział profesor Kazan. – Niech ją pan pośle do basenu. Zapracowała sobie na dobry obiad.

–Czy jutro będziecie robili to samo? – spytał kapitan, kiedy „Latająca Ryba” płynęła już do portu.

–Tak Steve. Codziennie. Ale myślę, że wystarczy nam tydzień.

I rzeczywiście. Już na trzeci dzień było dla wszystkich jasne, że Śnieżka zrozumiała swoją lekcję. Nie trzeba jej było już karać i tylko nagradzano ją krótkimi impulsami elektrycznymi, wywołującymi chwile ekstazy. Równie szybko delfiny pozbyły się wszelkich obaw i po upływie tygodnia czuły się w towarzystwie Śnieżki doskonale. Polowały nieraz razem z nią na skraju rafy, czasami współpracując zgodnie przy zasadkach na całe ławice ryb, czasami poszukując zdobyczy niezależnie od niej. Kilka młodszych delfinów zaczęło nawet odbywać swe zwykłe harce dokoła Śnieżki, a ona nie okazywała żadnego niezadowolenia z tego powodu i nawet kiedy zderzały się z nią, nie rzucała się na nie w nagłym przypływie apetytu.

Siódmego dnia, po porannym spotkaniu z delfinami Śnieżka nie została skierowana z powrotem do basenu.

–Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy – oświadczył profesor. – Wypuszczam ją na wolność.

–Czy to nie za duże ryzyko? – zapytał doktor Keith.

–Ryzyko oczywiście istnieje, ale trzeba je podjąć wcześniej czy później. Jeżeli nie pozwolimy

jej żyć na wolności, nigdy nie dowiemy się, jak trwał jest jej uwarunkowanie.

–A jeżeli zje na podwieczorek kilka delfinów – co wtedy?

–Pozostałe zawiadomią nas o tym prędko. Wtedy złapiemy ja znowu. Ułatwi nam to nadajnik, który nosi na sobie.

Stojący przy kole sterowym „Latającej Ryby” Stephen Nauru przysłuchiwał się rozmowie. Spojrzał przez ramię i zadał pytanie, które nurtowało wszystkich:

–Jeżeli nawet zrobiliście ze Śnieżki jarosza, to co z milionami innych orek?

–Niecierpliwość to zgubna rzecz – odpowiedział profesor. – Ja na razie zbieram tylko informacje i żadna z nich, być może, nie przyda się ani człowiekowi ani delfinom. Ale jednego jestem pewien: cały rozgadany delfini świat wie już o naszym eksperymencie i zdaje sobie sprawę, że robimy dla niego co tylko w naszej mocy. Dla was, rybaków, to dobry argument w negocjacjach.

–Hm... nie pomyślałem o tym...

–W każdym razie, jeżeli powiecie nam się ze Śnieżką, to według mojej teorii wystarczy „uwarunkować” kilka orek w jednym dowolnym obszarze. I to wyłącznie samice. One przekażą swojemu potomstwu i swoim samcom informację, że jeśli się zje delfina, to potem potwornie boli głowa.

Steve nie dał się tak łatwo przekonać. Gdyby wiedział, jak straszna, jak nieodparta jest siła spowodowanych elektrycznością szoków mózgu, może rozumowałby inaczej.

–Wątpię, czy jeden jarosz zmusi całe plemię kanibalów do zmiany obyczajów – powiedział z uporem.

–Może masz rację – odparł profesor. – Chcę to właśnie sprawdzić. Nawet jeżeli jest to zupełnie możliwe, to nie wiem, czy warto podejmować tę pracę. A jeżeli okaże się, że warto, będzie może wymagała okresu życia kilku pokoleń. Ale trzeba być optymistą; przypomnij sobie historie dwudziestego wieku.

–O które lata chodzi? – zapytał Stephen. – Dużo się wtedy działo.

–Tylko jeden fragment ma znaczenie. Przed zaledwie pięćdziesięciu laty niewielu ludzi wierzyło, że wszystkie narody świata mogą żyć w zgodzie i pokoju. Dziś wiemy, że jest to realne, w przeciwnym razie ani ciebie, ani mnie nie byłoby tutaj. Porzuć więc ten pesymizm, spróbuj uwierzyć w nasz projekt.

Stephen wybuchnął nagłym śmiechem.

–Co cię tak ubawiło? – zdziwił się profesor.

–Pomyślałem sobie tylko, że już od trzydziestu lat nie było żadnego powodu do przyznania pokojowej Nagrody Nobla. Jeśli pański plan się powiedzie, będzie pan pierwszym kandydatem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Podczas gdy profesor marzył i eksperymentował, nad Pacyfikiem zbierały się potężne siły, którym były obojętne zarówno nadzieje, jak obawy ludzi czy delfinów. Mick i Johnny jako jedni z pierwszych dostrzegli je pewnej bezksiężycowej nocy.

Chłopcy polowali jak zwykle na langusty i poszukiwali rzadkich muszli, przy czym tym razem Mick ułatwiał sobie pracę za pomocą wodoszczelnej latarki, nieco większej od zwykłej, która paliła się słabym, niebieskim światłem.

Ale jednocześnie wyrzucała z siebie potężny snop światła nadfioletowego, niewidzialnego dla ludzkiego oka. Kiedy padał na korale czy muszle, zaczynały płonąć w ciemnościach fosforyzującymi, niebieskimi, złotymi i zielonymi promykami. Ten niewidzialny strumień blasku jak różdżka czarodziejska ukazywał przedmioty, których przedtem nie można było dostrzec nawet w świetle dnia. Kiedy na przykład jakiś mięczak zakopywał się w piasku, promień ultrafioletowy odsłaniał maleńką bruzdę i Mick miał już nową zdobycz.

Zadziwiający był efekt tego promieniowania pod wodą. Kiedy chłopcy nurkowali w zalewach koralowych na skraju rafy, rozcinało ciemności przed nimi na odległości zupełnie fantastyczne. Widzieli z dystansu dziesięciu metrów fosforyzujące korale przypominające gwiazdy i konstelacje w głębi Kosmosu. Naturalna poświata morza, mimo że piękna i olśniewająca, nie mogła się z tym równać.

Zafascynowani nową zabawką Mick i Johnny nurkowali tej nocy dłużej, niż zamierzali. Kiedy wyruszyli w stronę domu, zauważyli, że pogoda uległa zmianie.

Dotychczas noc była cicha i spokojna, słychać było jedynie szum fal, leniwie uderzających w rafę. Ale teraz zerwał się silny wiatr, a szum morza stał się groźny i natarczywy.

Johnny zauważył to pierwszy. Poza rafą, w trudnej do zdefiniowania odległości, powoli przesuwało się po powierzchni wody słabe światło. Przez chwilę chłopiec zastanawiał się, czy to statek; ale zaraz zorientował się, że jest to blask przymglony i rozproszony, podobny do świetlistej mgły.

–Mick – szepnął z niepokojem – co to jest, tam, na morzu?

Reakcja Micka nie była uspokajająca. Gwizdnął przeciągle i podpłynął bliżej do Johnny'ego, jakby pragnąc go ochronić przed niebezpieczeństwem.

Chłopcy patrzyli ze zdumieniem jak mgła gęstnieje, jaśnieje i unosi się coraz to wyżej i wyżej w niebo. Po kilku minutach nie był to już słaby blask w ciemnościach, ale wielka kolumna ognia przelewająca się przez powierzchnię morza.

Ogarnął ich pierwotny strach, strach przed nieznanym, którego człowiek nigdy się nie

wybędzie, ponieważ cuda przyrody nie mają granic. W głowach ich leżały się najdziwsze pomysły, najbardziej fantastyczne teorie. Wreszcie Mick roześmiał się z ulgą, choć trochę nerwowo.

–Już wiem, co to jest – powiedział. – To tylko trąba wodna. Widziałem je już nieraz, ale nigdy w nocy.

Jak to często bywa z tajemnicami, wyjaśnienie było proste, kiedy się je poznało. Chłopcy wpatrywali się w wirującą kolumnę wody jak urzeczeni. Porywała z morza miliardy świecących stworzeń i rozrzucała je po niebie. Musiała znajdować się wiele mil stąd, bo nie słycać było wcale szalonego hałasu, jaki przecież czyniła. W końcu oddaliła się w stronę kontynentu.

Kiedy chłopcy otrząsnęli się ze zdumienia, przyływ sięgał im już po kolana.

–Jeżeli zaraz nie ruszymy, to będziemy musieli płynąć do brzegu – powiedział Mick. Gdy brodzili w stronę wyspy, dodał z odcieniem troski w głosie: – Nie podoba mi się ta morska trąba. To oznaka złej pogody. Założę się, o co chcesz, że będziemy mieli huragan.

Następnego ranka Johnny przekonał się, że obawy Micka były słuszne.

Nawet dla osób nie znających się na meteorologii to, co ukazywał ekran telewizyjny, było przerażające. Olbrzymie kłębowisko chmur, ciągnących się na tysiąc mil, pokrywało cały Zachodni Pacyfik. Na obrazach przekazywanych przez meteorologiczne satelity wyglądały na nieruchome. Ale tylko dlatego, że były tak ogromne. Przy bliższej obserwacji widać było, że stożkowate kłęby chmur przesuwają się szybko nad powierzchnią globu. Wiatr, który je poganiał, dął z szybkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę. Był to najsilniejszy huragan, jaki uderzył w wybrzeże Queenslandu w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat.

Na Wyspie Delfinów nikt nie odchodził zbyt daleko od ekranów telewizyjnych. Co godzinę nadawano z komputerów nowe komunikaty o zachowaniu się huraganu, ale w ciągu dnia niewiele się zmieniło. Meteorologia była już wiedzą ścisłą i fachowcy umieli przewidywać dokładnie pogodę – chociaż jeszcze nie potrafili na nią wpływać.

Wyspiarze przeżyli wiele huraganów, toteż panował nastrój podniecenia i pogotowia, ale nie strachu. Na szczęście szczyt huraganu przypadał na porę odpływu, nie trzeba się więc było obawiać, że fale przeleją się przez wyspę, co zdarzyło się na kilku innych wyspach Pacyfiku.

Przez cały dzień Johnny pomagał przy pracach ochronnych. Nie wolno było zostawić na zewnątrz żadnych ruchomych przedmiotów, okna zabijano deskami, a łodzie wciągano w głąb lądu, tak daleko, jak się dało. „Latająca Ryba” spuściła wszystkie cztery kotwice i na wszelki wypadek przywiązano ją dodatkowo linami do kępy drzew. Rybacy natomiast nie niepokoili się o swoje łodzie, bo port znajdował się po osłoniętej stronie wyspy, i liczyli, że drzewa osłabią siłę huraganu.

Dzień był gorący i duszny, bez najmniejszego wiatru. Bez telewizji i stale nadchodzących

raportów o pogodzie każdy wiedział, że przyroda przygotowuje jeden ze swoich efektownych pokazów. Poza tym, mimo że niebo było czyste i bezchmurne, burza wysłała przed siebie zwiastujące ją oznaki. Przez cały dzień olbrzymie fale łomotały o zewnętrzne ściany rafy tak, że cała wyspa trzęsła się w posadach.

Gdy zapadła noc, niebo było wciąż czyste, a gwiazdy świeciły niezwykle jasno. Johnny stał przed domkiem rodziny Nauru, zbudowanym z betonu i aluminium, rzucając dokoła ostatnie spojrzenia przed pójściem do łóżka, kiedy usłyszał nowy dźwięk przebijający się przez grzmoty fal. Był to dźwięk, jakiego jeszcze nigdy nie słyszał, podobny do ryku rannego zwierzęcia. Mimo gorącego, parnego wieczoru mroził krew w żyłach.

Nagle zobaczył na wschodzie coś, co przeraziło go jeszcze bardziej. Wielka ściana czerni przesuwała się po niebie, wznosząc się w górę na jego oczach. Słyszał i widział początek huraganu i nie czekał już dłużej.

–Już chciałem iść cię szukać – powiedział Mick, kiedy Johnny wszedł do domu i zniknął za sobą drzwi. Były to ostatnie słowa, które dotarły do jego uszu tej nocy.

Po kilku sekundach zatrzęsł się cały dom. Potem nastąpił huk, który choć straszliwie gwałtowny, miał w sobie coś znajomego. Johnny wrócił na chwilę myślami do samego początku swojej przygody; przypomniał mu się huk silników odrzutowych „Santa Anny” pracujących tuż pod jego nogami, kiedy włąził na poduszkowiec. Było to po drugiej stronie globu i całe wieki temu.

Wycie huraganu uniemożliwiało już wszelką rozmowę. Ale chociaż trudno w to uwierzyć, poziom hałasu wzrósł jeszcze, kiedy potop, jakiego Johnny nigdy sobie nie wyobrażał, runął na dach domu. Mizerne słowo „deszcz” nie może oddać jego siły. Sądząc po huku, docierającym poprzez dach i ściany domu, człowiek stojący na otwartej przestrzeni zostałby w mgnieniu oka zatopiony przez masę spadającej z góry wody – jeśli nie zmiażdżyłaby go ona wcześniej.

Rodzina Micka przyjmowała wszystko spokojnie. Młodsze dzieci zebrały się nawet przy telewizorze i oglądały obraz, mimo że nie było słyhać dźwięku. Pani Nauru robiła na drutach, co zawsze fascynowało Johnny’ego, ponieważ przed przybyciem na wyspę nigdy nie widział nikogo, kto by to robił. Nauczyła się tego za młodu. Ale teraz był zbyt zdenerwowany, żeby przyglądać się zawiłym ruchom drutów, w magiczny sposób przekształcających wełnę w skarpetki czy sweter.

Wsluchując się w dochodzące z zewnątrz huki, próbował odgadnąć, co tam się działo. Był pewien, że drzewa padają wyrwane z korzeniami, a wichura przesuwa łodzie i nawet domy. Jednakże wycie wiatru i uporczywy szum deszczu zagłuszały wszystko. Nawet gdyby tam, za drzwiami strzelały armaty, nikt by ich nie słyszał.

Szukając pociechy, Johnny spojrział na Micka. Oczekiwał od niego jakiegoś sygnału, wskazującego że wszystko jest w porządku, że groza minie i że wkrótce wszystko powróci do

normy. Ale Mick tylko wzruszył ramionami, potem nałożył maskę do nurkowania i głośno oddychał przez ustnik akwalungu. Johnny nie uznał tego w obecnych okolicznościach za dobry żart.

Myślał o tym, co dzieje się na wyspie, ale nic jakoś nie wydawało mu się realne z wyjątkiem tego jednego pokoju i przebywających w nim ludzi. Było zupełnie tak, jakby tylko oni istnieli na świecie i tylko ich atakował huragan. Tak samo pewnie Noe i jego rodzina, jedyni ludzie, jacy zostali na świecie, czekali, aż woda wokół nich opadnie.

Johnny nigdy nie przypuszczał, że może go przestraszyć burza na lądzie; przecież były to „tylko” wiatr i deszcz. Ale straszliwa zawierucha szalejąca dokoła kruchej budowli, w której się schronił, przekraczała wszystko, co dotychczas widział, o czym słyszał. Gdyby mu teraz ktoś powiedział, że za chwilę cała wyspa zostanie zniesiona w głąb morza, uwierzyłby.

Nagle rozległ się straszliwy huk, zagłuszający nawet huragan. Nie sposób było się zorientować, czy pochodzi z bliska, czy z daleka. Jednocześnie zgasło światło.

Ta chwila całkowitej ciemności w szczytowym momencie natężenia burzy przeraziła Johnny'ego ponad wszelką miarę. Dopóki widział przyjaciół, nawet jeżeli nie można było prowadzić z nimi rozmowy, czuł się jeszcze względnie bezpieczny. Teraz poczuł się tak, jak gdyby znalazł się sam w ciemnościach nocy, bezradny wobec huczących sił przyrody, których istnienia w ogóle nie podejrzewał.

Na szczęście ciemności trwały zaledwie kilka sekund. Pan Nauru był przygotowany na wszystkie ewentualności i miał w pogotowiu lampę elektryczną. Kiedy zabłysła, ukazując wszystko dokoła nie zmienione, Johnny zawstydział się swojego tchórzostwa.

Nawet i podczas groźnego huraganu życie toczy się dalej. Straciwszy telewizję dzieci zaczęły bawić się zabawkami i przeglądać książki z obrazkami. Pani Nauru nadal spokojnie robiła na drutach, a jej mąż zagłębił się w grube sprawozdanie Światowej Organizacji Żywności o rybołówstwie australijskim, pełne tablic, liczb i map. Kiedy Mick zaproponował warcaby, Johnny zgodził się, mimo że nie miał na nie zbytnej ochoty. Podyktował mu to rozsądek.

I tak mijala noc. Chwilami huragan uspokajał się na moment, a ryk wichru przycichał do tego stopnia, że można było porozumiewać się krzykiem. Ale nikt nie próbował tego robić, bo o czym tu było mówić, a hałas szybko powracał do pierwotnego natężenia.

Okolo północy pani Nauru wstała, poszła do kuchni i zjawila się znowu po paru minutach z dzbankiem gorącej kawy, tuzinem blaszanych kubków i talerzykiem ciasteczek. Johnny zastanawiał się, czy nie jest to jego ostatni posiłek w życiu, ale mimo to spożył go z przyjemnością i po chwili znowu przegrywał w warcaby z Mickiem.

Dopiero o czwartej nad ranem, w niecałe dwie godziny przed wschodem słońca furia huraganu zaczęła słabnąć. Pomału przeszedł w zwykły sztorm. Deszcz również ucichł, tak że nie miało się już wrażenia, iż stoi się pod wodospadem. Okolo piątej dało się słyszeć kilka pojedynczych

porywów, równie silnych co poprzednio, ale były to już ostatnie drgawki dogorywającej nawałnicy. Kiedy słońce wstało nad zrujnowaną wyspą, można było wreszcie wyjść na zewnątrz.

Johnny spodziewał się najgorszego i nie omylił się. Kiedy wraz z Mickiem przeleźli przez dziesiątki powalonych drzew, blokujących tak dobrze znaną ścieżkę, spotkali innych wyspiarzy kręcących się bezradnie, jak to czynią oszołomieni mieszkańcy zbombardowanego miasta. Było wielu rannych z zabandażowanymi głowami lub rękami na temblakach, ale dzięki dobrze zaplanowanej obronie przed żywiołem i odrobinie szczęścia udało się uniknąć naprawdę groźnych wypadków.

Huragan wyrządził natomiast duże szkody materialne. Zerwane zostały wszystkie linie elektryczne, ale te można było szybko naprawić. Znacznie groźniejsze było to, że nie działała elektrownia. Została uszkodzona przez drzewo, które nie upadło na nią zwyczajnie, ale niesione wiatrem przeokoziółkowało jakieś sto metrów i uderzyło w budynek jak potężna maczuga. Ucierpiał także zapasowy generator, napędzany silnikiem Diesla.

Okazało się zresztą, że są jeszcze gorsze skutki huraganu. W ciągu nocy wiatr, wbrew wszystkim przewidywaniom, zmienił kierunek na zachodni i zaatakował wyspę od osłoniętej strony. Połowa zakotwiczonej tam floty rybackiej zatonięła, a druga połowa, wepchnięta w głąb lądu, rozbiła się w drzazgi. „Latająca Ryba” leżała na boku, częściowo pod wodą. Nadawała się do remontu, ale widać było, że potrwa on co najmniej kilka tygodni.

Mimo tych wszystkich katastrof i zniszczeń nikt nie tracił ducha. Z początku zdziwiło to Johnny’ego, ale wkrótce zrozumiał powód tego nastroju. Huragany były naturalną częścią składową życia na Wielkiej Rafie Koralowej. Każdy, kto zdecydował się zamieszkać tutaj, musiał być przygotowany na płacenie odpowiedniej ceny. Jeżeli nie – miał tylko jedno wyjście: mógł się przenieść gdzie indziej.

Profesor Kazan ujął to inaczej, kiedy Mick i Johnny spotkali go przy zwałonej na ziemię siatce basenu.

–Chyba cofnęło nas to o dobre sześć miesięcy – powiedział. – Ale damy sobie jakoś radę. Instrumenty zawsze można zastąpić – tylko ludzie i ich wiedza są niezastąpione. A ich, na szczęście, nie straciliśmy.

–A co z OSKAREM? – zainteresował się Mick.

–Nieczynny, dopóki nie mamy prądu. Ale jego obwody pamięciowe nie zostały naruszone.

„To znaczy, że na razie nie będzie lekcji” – pomyślał Johnny. Zły wiatr przyniósł mu, mimo wszystko, pewne korzyści.

Ale wyrządził jeszcze inne szkody, których powagi nie docenił na razie nikt poza pielęgniarką Tessie. Ta wielka i sprawna kobieta patrzyła z przerażeniem na porozbijane pudełka, z których

sączyły się resztki lekarstw.

Mogła dać sobie radę z ranami ciętymi, stłuczeniami, a nawet złamaniami, i robiła to od samego rana. Ale każdy poważniejszy wypadek wprawiał ją w panikę. Nie miała do dyspozycji nawet jednej nie uszkodzonej ampułki penicyliny.

Spodziewała się, że jednym ze skutków ochłodzenia, jakie nastąpiło po huraganie, będą ciężkie przeziębienia, ataki gorączki, a może nawet poważniejsze dolegliwości. Postanowiła, nie tracąc ani chwili czasu, wysłać przez radio prośbę o nowe medykamenty.

Przygotowała długą listę leków, które, jak wskazywało jej doświadczenie, powinny się przydać w ciągu najbliższych dni. Następnie pobiegła do Centrum Komunikacyjnego, gdzie czekało ją nowe rozczarowanie. Dwaj zniechęceni elektrycy podgrzewali lutownicę nad płomieniem kuchenki gazowej. Stali wśród kłębow drutu i kawałków rozbitych instrumentów, tuż przy gałęzi drzewa pandanowego, które przebiło dach i zrujnowało wszystko.

–Przykro nam, Tess – powiedzieli. – Tylko cud może sprawić, że się połączymy z kontynentem przed końcem tygodnia. Na razie będziemy przesyłali sygnały dymne.

Tessie zastanowiła się.

–Nie mogę ryzykować – powiedziała. – Trzeba będzie wysłać statek.

Technicy roześmieli się gorzko.

–Czy nie słyszałaś? – powiedział jeden z nich. – „Latająca Ryba” leży przewrócona do góry dnem, a pozostałe łodzie przeniosło na ląd. Większość wisi na drzewach.

Kiedy pełne znaczenie tej wiadomości – trochę, ale tylko trochę przesadzonej – dotarło do świadomości Tessie, wpadła w większą rozpacz niż wtedy, kiedy siostra przełożona nazwała ją niedoświadczoną nowicjuską. Mogła mieć tylko nadzieję, że nikt poważnie nie zachoruje, zanim komunikacja nie zostanie przywrócona.

Ale już pod wieczór przywieziono jej człowieka rannego w nogę, któremu groziła gangrena; nieco później zjawił się u niej blady i rozdygotany profesor.

–Tessie – powiedział – zmierz mi temperaturę. Zdaje mi się, że mam gorączkę.

Jeszcze przed północą Tessie wiedziała już na pewno, że jest to zapalenie płuc.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wiadomość o poważnej chorobie profesora Kazana i o tym, że nie ma go czym leczyć, przygnębiła ludzi bardziej, niż wszystkie straty poniesione z powodu huraganu. I nikogo nie dotknęła tak mocno jak Johnny'ego.

Mimo że dotychczas o tym nie myślał, teraz rozumiał, że wyspa stała się dla niego rodzinnym domem, którego nigdy dotąd nie miał, a profesor zastąpił mu ojca, którego ledwie pamiętał. Zawsze marzył o bezpieczeństwie, od dawna podświadomie go poszukiwał, i znalazł wreszcie tu, na Wyspie Delfinów. A teraz to bezpieczeństwo zostało zagrożone, ponieważ nie można było przekazać wiadomości na odległość stu mil – i to w czasach kiedy księżyc i planety rozmawiały ze sobą.

Tylko sto mil! A przecież on, Johnny, przebył większy dystans, gdy po raz pierwszy dostał się na wyspę...

Kiedy to rozumiał, uświadomił sobie bardzo dokładnie, co powinien zrobić. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Delfiny przywiozły go na Wyspę Delfinów; teraz przewiozą go na kontynent.

Był pewien, że Suzie i Sputnik ciągnąc na zmianę surfingową deskę przebędą te sto mil w przeciągu niecałych dwunastu godzin. Będzie to zapłata za dni spędzone wspólnie na badaniach i polowaniach. Kiedy te dwa delfiny były przy nim, Johnny czuł się na morzu absolutnie bezpieczny; przyjmowały wszystkie jego życzenia nawet bez pośrednictwa komunikatora.

Johnny przypomniał sobie niektóre wspólne wycieczki. Suzie zwykle ciągnęła większą deskę, Micka, a Sputnik mniejszą, Johnny'ego. W ten sposób popłynęli kiedyś na odległą o dziesięć mil Wyspę Rozbitków. Podróż trwała tylko nieco ponad godzinę, choć delfiny wcale się nie spieszyły.

Ale jak przekonać kogokolwiek, że nie jest to szalony, samobójczy pomysł? Tylko Mick może to zrozumieć. Inni mieszkańcy wyspy na pewno próbowaliby go powstrzymać, gdyby poznali jego plany. Cóż, musi wyruszyć, zanim się dowiedzą.

Mick zareagował zgodnie z jego oczekiwaniami. Podszedł do sprawy zupełnie poważnie, ale nie był zachwycony.

–To na pewno się uda – powiedział – ale nie możesz przecież jechać sam.

Johnny potrząsnął głową.

–Przemyślałem to – powiedział. Po raz pierwszy w życiu cieszył się, że jest tak niewielkiego wzrostu. – Pamiętasz nasze wyścigi? Ile razy wygrałeś? Jesteś za duży. Opóźniałbyś nas tylko.

Mick nie mógł temu zaprzeczyć. Nawet silniejsza od Sputnika Suzie nie pociągnęłyby go tak szybko, jak Sputnik ciągnął Johnny'ego.

Mick spróbował jednak wysunąć inny argument:

–Od dwudziestu czterech godzin jesteśmy odcięci od kontynentu. Już niedługo ktoś musi przylecieć, żeby zobaczyć, co się tu stało, bo nie mają od nas żadnych wiadomości. Może się okazać, że zaryzykowałeś życie zupełnie niepotrzebnie.

–To prawda – przyznał Johnny. – Ale czyje życie jest ważniejsze, moje czy profesora Kazana? Jeżeli będziemy beczynn timerkami, to może się okazać, że jest za późno. Poza tym, na kontynencie mają własne problemy, też spowodowane huraganem. Może minąć tydzień, zanim sobie o nas przypomną.

–Powiem ci coś – zawołał Mick. – Przygotujemy wszystko, a jeżeli pomoc nie nadejdzie i profesor nie poczuje się lepiej do czasu, kiedy będziesz gotowy do wyruszenia, omówimy to jeszcze raz.

–Nie powiesz nikomu? – zapytał Johnny z niepokojem w głosie.

–Oczywiście, że nie. Ale słuchaj, gdzie są Suzie i Sputnik? Czy jesteś pewien, że potrafisz ich znaleźć?

–Tak, były dziś rano blisko mola i szukały nas. Zjawią się szybko, kiedy nacisnę guzik z napisem NA POMOC.

Mick zaczął wylizywać na palcach.

–Będzie ci potrzebna butelka wody – taka płaska, zrobiona z plastiku, trochę koncentratów żywnościowych, kompas i latarka, bo nie uda ci się pokonać całego dystansu w ciągu jednego dnia.

–Wyruszę około północy. Wtedy przez pierwszą część podróży będę korzystał ze światła księżycy i dotrę do brzegu za dnia.

–Zdaje mi się, że wszystko dobrze przemyślałeś – powiedział Mick z pełnym zazdrości podziwem. Miał nadal nadzieję, że do wyprawy Johnny'ego nie dojdzie, bo stanie się coś, co uczyni ją niepotrzebną. Ale jeśliby nic takiego nie zaszło, gotów był zrobić wszystko, żeby pomóc Johnny'emu.

Podobnie jak wszyscy inni mieszkańcy wyspy, chłopcy musieli pomagać przy pilnych pracach porządkowych, nie mogli więc zająć się przygotowaniem do wyprawy przed zapadnięciem nocy. Nawet i potem krzątano się przy słabym świetle lamp naftowych i dopiero bardzo późnym wieczorem Johnny i Mick mogli zakończyć swą własną robotę.

Na szczęście nikt nie widział, jak przenosili niewielką deskę surfingową do portu i spuszczała ją na wodę, lawirując pomiędzy przewróconymi i rozbitymi łodziami. Ekwipunek i uprząż były już przymocowane. Teraz należało tylko znaleźć delfiny.

Johnny wręczył Mickowi komunikator.

–Spróbuj je przywołać – powiedział. – Ja lecę do szpitala. Wrócę najpóźniej za dziesięć minut.

Mick wziął komunikator i wszedł do wody. Na małej klawiaturze widniały fosforyzujące litery. Ale Mickowi nie były potrzebne. Podobnie jak Johnny, mógłby posługiwać się tym przyrządem z zawiązanymi oczami.

Zanurzył się w ciepłej, płynnej ciemności i spoczął na koralowym piasku. Ogarnęły go nowe wątpliwości. Jeszcze był czas na wstrzymanie Johnny'ego. Jeżeli nie użyje komunikatora, a potem powie, że delfiny nie usłuchały go? To niemożliwe. No, ale istniała przecież szansa, że nie zjawią się.

Nie, nie mógł się zdobyć na oszukanie przyjaciela nawet w dobrej sprawie, nawet po to, by powstrzymać go przed narażeniem życia. Mógł mieć tylko nadzieję, że kiedy Johnny przyjdzie do szpitala, to okaże się, że profesorowi już nie grozi niebezpieczeństwo.

Nadal niepewny, czy nie będzie tego żałował do końca życia, Mick nacisnął guzik z napisem NA POMOC. Usłyszał ciche buczenie. Odczekał piętnaście sekund i nacisnął guzik po raz drugi, a potem jeszcze raz.

Johnny nie miał żadnych wątpliwości. Idąc po plaży za promieniami swojej latarki ścieżką prowadzącą do budynków administracji, wiedział, że być może stąpa po Wyspie Delfinów po raz ostatni, że może nawet nie dożyje już następnego wschodu słońca. Był to ciężar, jaki niewielu chłopców w jego wieku musiało dźwigać, ale on przyjął go chętnie. Nie myślał o sobie jako o bohaterze; po prostu spełniał obowiązek. Był na tej wyspie szczęśliwy, znalazł tu wszystko czego potrzebował. Żeby móc to zachować, musiał teraz o to walczyć – a gdyby okazało się konieczne – zaryzykować utratę wszystkiego.

W małym budynku szpitalnym, gdzie przed rokiem obudził się jako spalony słońcem rozbitek, panowała zupełna cisza. Wszystkie okna były zasłonięte z wyjątkiem jednego, przez które sączył się żółty blask lampy naftowej. Johnny nie mógł się powstrzymać od zajrzenia do tego pokoju. Było to biuro. Przy biurku siedziała pielęgniarka Tessie. Zapisywała coś w rejestrze i wyglądała na skrajnie wyczerpaną. Co chwila przykładła chusteczkę do oczu. Johnny zrozumiał, że pielęgniarka płacze, i przeszył go dreszcz. Jeśli ta olbrzymia, energiczna kobieta została doprowadzona do łez, sytuacja musiała być krytyczna. „Może – pomyślał z nagłym skurczem serca – już jest za późno”.

Nie było aż tak źle, choć było bardzo niedobrze. Kiedy Johnny cicho zapukał i wszedł do biura, Tessie opanowała się na jego widok i twarz jej przybrała bardziej spokojny wyraz. Wyrzuciłaby prawdopodobnie każdego innego, kto przeszkodziłby jej o tej porze, ale do

Johnny’ego zawsze miała słabość.

–Jest bardzo chory – szepnęła. – Gdybym miała odpowiednie leki, wyleczyłabym go w ciągu kilku godzin. Ale tak... – wzruszyła bezradnie szerokimi – ramionami i dodała: – Chodzi nie tylko o profesora. Mam jeszcze dwóch pacjentów, którym powinnam dać zastrzyk przeciwężcowy.

–Jeżeli pomoc nie nadejdzie, to on nie przeżyje? – zapytał Johnny szeptem.

Tessie nie odpowiedziała mu. Jej milczenie było dostatecznie wymowne i Johnny nie czekał już ani chwili dłużej. Na szczęście pielęgniarka była zbyt zmęczona, by zauważyć, iż zamiast „dobranoc” powiedział do niej „żegnaj”.

Kiedy Johnny powrócił na wybrzeże, zobaczył, że Suzie jest już zaprzężona do deski surfingowej, a Sputnik czeka cierpliwie obok niej.

–Przybyły w ciągu pięciu minut – wyjaśnił Mick. – Aż się przestraszyłem, kiedy zjawily się tak nagle w ciemnościach. Nie spodziewałem się ich tak szybko.

Johnny pogłaskał dwa mokre, połyskliwe ciała, a delfiny otarły się o niego pieszczotliwie. Zastanowił się, gdzie i jak przeżyły huragan, bo nie wyobrażał sobie, by w szalejącym w pobliżu wyspy morzu mogło się uratować jakiegokolwiek stworzenie. Za grzbietową płetwą Sputnika dostrzegł świeże skaleczenie, ale poza tym żaden z dwóch delfinów nie doznał obrażeń.

Pojemnik z wodą, kompas, latarka, hermetyczny pojemnik z jedzeniem, płetwy, maska, fajka, komunikator – Johnny sprawdził wszystko dokładnie. Potem powiedział:

–Dziękuję ci za wszystko, Mick. Szybko wrócę.

–Wolałbym być z tobą – powiedział Mick ochryplym głosem.

–Nie ma się czego bać – odparł Johnny, chociaż nie był tego tak bardzo pewny. – Jestem pod opieką Sputnika i Suzie, prawda? – Nie miał nic więcej do powiedzenia, więc wdrapał się na deskę, krzyknął „jazda” i pomachał ręką do wciąż niepokieszonego Micka. Suzie ruszyła.

Był już najwyższy czas, bo na plaży zaczęły się ukazywać światełka latarek. Johnny’emu zrobiło się żal Micka, który będzie musiał sam wysłuchiwać wymówek i wyrzutów, że dopuścił do tej wyprawy.

Być może właśnie z tego miejsca sto pięćdziesiąt lat temu nieszczęsna Mary Watson wyruszyła w morze na niewielkiej metalowej beczce zabierając ze sobą niemowlę i umierającego służącego. Aż dziw, że w wieku energii atomowej, satelitów kosmicznych i kolonii na innych planetach on, Johnny, przeżywa niemal dokładnie to samo, co ona. I w tym samym miejscu!

A może nie jest to, mimo wszystko, wcale takie dziwne. Gdyby nigdy nie słyszał o Mary, może nie pomyślałby o powtórzeniu jej próby. I jeżeli mu się powiedzie, to samotna śmierć tej kobiety nie pójdzie na marne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Johnny pozwalał delfinom rozstrzygać wszystkie problemy nawigacyjne, dopóki nie wy dostał się z raf. Ich wspaniały system hydrolokacyjny wypełniał ciemności morza niesłyszalnym dla niego echem, umożliwiającym im dokładne ustalenie położenia. Pozwalał im omijać przeszkody i informował o obecności większych ryb w promieniu trzydziestu metrów. Na wiele milionów lat przed wynalezieniem przez człowieka radaru delfiny (a także nietoperze) rozwinęły ten system i udoskonały go w niezwykłym wprost stopniu. Opierał się na falach dźwiękowych, a nie radiowych, ale zasada była ta sama.

Morze było lekko wzburzone. Johnny sunął gładko po jego powierzchni i tylko od czasu do czasu zalewała go fala, a deska zanurzała się pod wodą. W ciemności trudno było ocenić szybkość, z jaką posuwali się naprzód. Kiedy Johnny włączył latarkę, wydało mu się, że woda dokoła niego przesuwa się z ogromną szybkością, ale wiedział przecież, że nie przekraczają dziesięciu mil na godzinę.

Spojrzał na zegarek. Minęło już piętnaście minut. Kiedy obejrzał się za siebie nie dostrzegł już nawet zarysów wyspy. Spodziewał się, że zobaczy jakieś światelka, ale nawet one zniknęły. Znajdował się w odległości wielu mil od lądu, pędząc przez noc z misją, która jeszcze rok temu napełniłaby go przerażeniem. Ale teraz nie bał się zupełnie, a w każdym razie potrafił opanować strach, wiedział bowiem, że ma obok siebie przyjaciół, którzy pomogą mu w potrzebie.

Nadszedł czas na ustalenie kursu. Nawigacja nie stanowiła większego problemu. Johnny wiedział, że podążając chociażby w przybliżeniu na zachód, wcześniej czy później natrafi na jakiś punkt tysięczmilowego wybrzeża Australii. Spojrzał na kompas i ku swojemu zdziwieniu zauważył, że nie musi zmieniać kierunku. Suzie płynęła prosto na zachód.

Był to najwyraźniejszy i najbardziej bezpośredni dowód jej inteligencji, jaki kiedykolwiek otrzymał. Wystarczył jej sygnał NA POMOC, nadany przez Micka. Nie trzeba było już wskazywać jedyne go kierunku, w którym można było tę pomoc znaleźć. Suzie wszystko rozumiała, a prawdopodobnie znała każdy centymetr wybrzeża Queenslandu.

Ale czy płynęła tak szybko, jak tylko mogła? Johnny zastanawiał się, czy pozostawić jej decyzję, czy też podkreślić pilny charakter swojej misji. Zdecydował się na to drugie i nacisnął guzik z napisem SZYBCIEJ.

Poczuł, że deska zadrżała lekko, ale nie mógł się zorientować, czy nastąpiło istotne zwiększenie szybkości. Jego znak na pewno został zauważony. Był teraz pewny, że Suzie wie co robi i płynie najszybciej, jak tylko może. Lepiej nie żądać od niej więcej, bo może się tylko niepotrzebnie zmęczyć.

Noc była bardzo ciemna, księżyc jeszcze nie wzeszedł, a niskie chmury, które huragan pozostawił po sobie, zakrywały niemal wszystkie gwiazdy. Nie widać było nawet zwykłej

fosforescencji morza; prawdopodobnie świecące stworzenia głębinowe nie przysły jeszcze do siebie po wstrząsach huraganu i zajaśniają dopiero wtedy, gdy zapomną o szoku. Johnny zatęsknił za ich łagodnym światłem, momentami bowiem, pędząc na oślep w tej nieprzeniknionej ciemności, odczuwał strach. W każdej chwili mógł zostać zalany wielką falą, wpaść na skałę. Mimo zaufania, jakim darzył Suzie, ten strach powracał co jakiś czas, chociaż bronił się przed nim ze wszystkich sił.

Kiedy na wschodzie ukazała mu się biała poświata wschodzącego księżyca, poczuł radość i ulgę. Chmury były wciąż gęste, lecz choć nie widział samego księżyca, to jego odbite światło rozjaśniało wszystko dookoła. Było za słabe, żeby w nim widzieć szczegóły otoczenia, ale już sam widok horyzontu przynosił ulgę. Johnny mógł się przekonać na własne oczy, że nie ma przed nim ani skał, ani raf. Zmysły Suzie stanowiły narzędzia znacznie czulsze od jego napiętego wzroku, ale było mu przyjemnie, że i on sam nie jest już całkowicie bezradny.

Teraz, kiedy znaleźli się na głębokich wodach, przykre, drobne fale, po których dotychczas skakała deska, pozostały za nimi. Ślizgali się po długich, przetaczających się falach, które miały po kilkadziesiąt metrów od grzbietu do grzbietu. Trudno było ocenić ich wysokość; Johnny patrzył na nie z dołu, skąd wydawały się z pewnością znacznie wyższe, niż były w rzeczywistości. Suzie wspinała się na kolejną falę jak na wysokie lecz łagodne wzgórze, potem deska zawisała na chwilę na jego ruchomym szczycie, następował zjazd w dół i zabawa zaczynała się od nowa.

Johnny szybko przystosował się do tych wjazdów i zjazdów, przesuwając swój ciężar to w przód, to w tył. Robił to automatycznie, bez zastanowienia, tak jak jeździ się na rowerze.

Nagle sierp półksiężyca przedarł się przez chmury i oczom Johnny'ego ukazał się po raz pierwszy bezmiar rozhuśtanego morza. Wielkie fale przewalały się, jedna za drugą, ich grzywy błyszcząły jak srebro w świetle księżyca, dzięki czemu w dole, przez kontrast, miały barwę intensywnej czerni. Zjazd w ciemne doliny i powolne wspinanie się na szczyty ruchomych wzgórz były jak ciągle przenoszenie się z nocy w dzień i z dnia w noc.

Johnny spojrział na zegarek; minęły cztery godziny od chwili, gdy opuścił wyspę. Zapewne przemierzył około czterdziestu mil. Świt musiał być blisko. Blask dnia pomoże mu zwalczyć senność. Zdrzemnął się już dwa razy, spadł z deski i zbudził się w wodzie. Potem musiał unosić się w ciemności na falach i czekać, aż Suzie zatoczy koło i podjedzie po niego. Nie należało to do przyjemności.

Wschodnia strona nieba powoli rozjaśniała się. Patrząc za siebie i czekając, aż słońce ukaże się nad horyzontem, Johnny przypomniał sobie świt, który obserwował po rozbiciu się „Santa Anny”. Jakże był wtedy bezradny i jak bezlitośnie spaliło go podzwrotnikowe słońce! Teraz czuł się spokojny i pewny siebie, mimo że znalazł się w punkcie, skąd nie było powrotu, gdyż pięćdziesiąt mil oddzielało go od lądu w obu kierunkach. Ale słońce nie mogło mu teraz zaszkodzić, gdyż był już opalony na ciemny brąz.

Szybko wschodzące słońce odpędziło noc. Poczawszy ciepło na plecach Johnny nacisnął guzik z napisem STOP. Należało teraz pozwolić Suzie odpocząć i dać jej czas na zdobycie śniadania. Zsunął się z deski surfingowej, popłynął naprzód, zluźnił jej uprząż i patrzył, jak odpływa podskakując wesoło. Po Sputniku nie było śladu; gonił na pewno gdzieś tam za rybami, ale na pewno przyplynie szybko, gdy go się zawoła.

Johnny odsunął z twarzy maskę, która przez całą noc chroniła jego oczy przed bryzgami fal, i siadł okrakiem na powoli kołyszącej się desce. Banan, dwa kotlecki i łyk soku pomarańczowego wystarczyły, żeby zaspokoić głód. Resztę należało pozostawić na popołudnie. Nawet jeżeli wszystko poszłoby dobrze, pozostało mu jeszcze pięć albo sześć godzin jazdy.

Dał delfinom piętnaście minut przerwy, sam też odpoczywał na podnoszącej się i opadającej na falach desce. Potem nacisnął guzik i czekał na powrót delfinów.

Po pięciu minutach zaczął odczuwać lekki niepokój. Delfiny mogły przez ten czas przepłynąć trzy mile. Chyba nie były aż tak daleko? Ale zaraz się uspokoił, bo zobaczył znajoma, rozcinającą fale w jego kierunku, płetwę grzbietową.

W sekundę później zerwał się nagle na nogi. Tak, znał rzeczywiście te płetwę, ale na pewno nie była ta, na którą czekał. To była płetwa orki.

Te kilka sekund, podczas których Johnny patrzył na śmierć, zbliżającą się ku niemu z szybkością trzydziestu węzłów, wydawały się trwać wieczność. I zaraz potem przyszła chłopcu na myśl uspokajająca, przynosząca nadzieję możliwość. Orka usłyszała jego sygnał, była to więc być może...?

Była nią istotnie. Kiedy zaledwie o kilka stóp od deski Johnny'ego wynurzył się z wody wielki łeb, zobaczył wciąż przymocowane doń pudełko aparatu kontrolnego.

–Aleś mnie przeraziła, Śnieżko! – krzyknął, kiedy odzyskał dech. – Nie rób tego już nigdy!

Ale nie czuł się jeszcze bezpieczny. Zgodnie z ostatnimi raportami Śnieżka wciąż trzymała się wyłącznie diety rybnej, w każdym razie nie było żadnych skarg od delfinów. Lecz Johnny nie był delfinem. Nie był też Mickiem.

Kiedy Śnieżka otarła się o deskę, ta zatrzęsała się gwałtownie i Johnny musiał trzymać się jej ze wszystkich sił, żeby nie wpaść do wody. Była to przy tym bardzo łagodna pieszczota, najłagodniejsza, na jaką pięciometrowa orka mogła się zdobyć. Kiedy powróciła, żeby powtórzyć ją z drugiej strony deski, Johnny poczuł się znacznie pewniej. Nie miał już wątpliwości, że zwierzę pragnęło tylko zademonstrować swoją przyjaźń. Chłopiec wyszeptał ciche, ale żarliwe podziękowanie dla Micka.

Wciąż jeszcze lekko wstrząśnięty Johnny wyciągnął rękę i poklepał płynącą obok niego cicho i bez wysiłku orkę. Gładka skóra zwierzęcia przypominała skórę delfina, co było zupełnie naturalne. Łatwo było zapomnieć, że ten postrach mórz jest po prostu odmianą tego samego

gatunku, tyle że odznaczającą się większymi rozmiarami.

Orce najwidoczniej spodobała się nieco nerwowa pieśczoła Johnny'ego, bo powtórnie zbliżyła się do niego, najwyraźniej domagając się następnej.

–Pewnie czujesz się osamotniona – powiedział Johnny, ale niemal natychmiast struchlał z przerażenia.

Śnieżka wcale nie była samotna i naprawdę nie wymagała współczucia. Towarzyszył jej samiec, o długości około dziesięciu metrów.

Tylko samiec orki ma płetwę grzbietową dochodzącą do przeszło dwóch metrów. Olbrzymi, czarny trójkąt podobny do żagla zbliżał się do deski surfingowej, na której siedział znieruchomiały Johnny. Jedna tylko myśl chodziła mu po głowie: „Ty nie jesteś uwarunkowany, nie pływałeś z Mickiem, nie zaprzyjaźniłeś się z nim”.

Było to największe zwierzę, jakie Johnny kiedykolwiek widział. Przypominało raczej statek niż jakikolwiek morski stwór. Śnieżka stała się nagle całkiem mała, lecz mimo to właśnie ona była panią sytuacji, bo, podczas gdy jej olbrzymi partner powoli krążył dokoła deski, ona trzymała się na wewnętrznej orbicie, oddzielając go starannie od Johnny'ego.

Nagle samiec zatrzymał się, wysunął głowę na dobre dwa metry nad wodę i spojrzał na Johnny'ego ponad grzbietem swojej towarzyszki. W oczach tych było widać głód, inteligencję i dzikość – przynajmniej tak wydawało się Johnny'emu – lecz ani śladu przyjacielskich uczuć. I przez cały ten czas samiec, krążąc wokół deski surfingowej, zbliżał się ku niej; za chwilę przycisnie do niej Śnieżkę.

Jednak Śnieżka miała własne plany. Kiedy jej towarzysz znalazł się tylko o trzy metry od niej, wypełniając całe pole widzenia Johnny'ego, obróciła się gwałtownie ku niemu i pchnęła go z całych sił. Johnny usłyszał poprzez wodę odgłos silnego uderzenia, którego impet wystarczyłby do przewrócenia niewielkiej łodzi.

Olbrzymi wieloryb zrozumiał delikatną aluzję i ku wielkiej uldze Johnny'ego zaczął się oddalać. Gdy odpłynął piętnaście metrów nastąpiło widać znowu małe nieporozumienie pomiędzy parą małżonków, gdyż padł następny cios. I na tym wszystko się skończyło. Po kilku minutach Śnieżka i jej towarzysz zniknęli w oddali, podążając prosto na północ. Johnny był świadkiem przemienienia się drapieżnego potwora w potulnego pantoflarza, któremu zabroniono zjedzenia ciastka przed głównym posiłkiem. Zainteresowane ciastko odczuło niezmierną wdzięczność.

Upłynęło sporo czasu, nim Johnny odzyskał kontrolę nad swoimi nerwami. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł takiego przerażenia, ale nie wstydził się, bo w końcu miał po temu dostateczne powody. Wreszcie przestał oglądać się co kilka sekund i wypatrywać nowego niebezpieczeństwa, a zaczął się zastanawiać nad swoją sytuacją. Przede wszystkim zaś nad tym, co dzieje się z Suzie i Sputnikiem.

Nie było ich nigdzie widać, co zresztą nie dziwiło Johnny'ego. Niewątpliwie zauważyły obecność orki i bardzo rozsądnie trzymały się z daleka od nich. Nawet jeżeli ufały Śnieżce, to wolały nie zbliżyć się do jej partnera.

Miał nadzieję, że nie oddaliły się na dobre ani nie stały się (cóż za straszliwa myśl!) ofiarami groźnego mordercy. Johnny wiedział, że jeżeli delfiny nie powrócą, to dla niego wszystko będzie skończone. Znajdował się wszakże co najmniej czterdzieści mil od wybrzeży Australii.

Bał się uruchomić komunikator, gdyż mógłby znowu przywołać orki, a nie miał ochoty przeżywać wszystkiego raz jeszcze, nawet gdyby koniec miał się okazać równie szczęśliwy co przedtem. Nie pozostawało mu więc nic poza siedzeniem, czekaniem i wypatrywaniem płetwy grzbietowej o rozsądnych wymiarach, której wysokość nie przekroczy trzydziestu centymetrów.

W piętnaście nieskończenie długich minut później Suzie i Sputnik nadpłynęły z południa. Prawdopodobnie czekały na wyjaśnienie się sytuacji. Johnny nigdy w życiu nie cieszył się na widok żadnego człowieka tak, jak na widok tych dwóch delfinów. Kiedy zsunął się z deski, żeby nałożyć im uprząż, klepał je, głaskał i przemawiał do nich, jak mógł najczulej, zupełnie tak jak gdyby go mogły rozumieć. Był zresztą pewny, że go rzeczywiście rozumieją, bo chociaż rozpoznawały zaledwie kilka angielskich słów, były bardzo wyczulone na ton jego głosu. Zawsze orientowały się, czy jest zadowolony, czy zły, a teraz na pewno dzieliły jego uczucie ulgi.

Zaciągnął rzemienie uprzęży na Sputniku, sprawdził, czy jego otwór oddechowy i płetwy są odkryte, po czym wdrapał się z powrotem na deskę. Gdy tylko ułożył się na niej w odpowiedniej pozycji, Sputnik ruszył naprzód.

Ale tym razem nie płynął prosto na zachód, w kierunku Australii, lecz skierował się na południe.

–Hej – zawołał Johnny – to niewłaściwy kierunek! Ale zaraz potem przypomniał sobie orki i pomyślał, że to pewnie słuszna decyzja. Sputnik na pewno wie, co robi.

Pędzili szybciej, niż kiedykolwiek dotąd Johnny płynął na desce. Trudno było ocenić dokładną prędkość będąc tak blisko wody, ale Johnny nie zdziwiłby się wcale, gdyby się okazało, że robią piętnaście węzłów. Sputnik utrzymywał ten kierunek przez dwadzieścia minut; potem zgodnie z oczekiwaniami Johnny'ego skreślił na zachód. Teraz, przy odrobinie szczęścia, droga do Australii powinna już być wolna.

Od czasu do czasu Johnny oglądał się za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie goni, ale na powierzchni morza nie widać było żadnej wielkiej płetwy grzbietowej. Raz duża manta tropikalna wyskoczyła z wody w odległości kilkuset metrów od nich, zawisła w powietrzu na sekundę niczym ogromny nietoperz i z wielkim hukiem wpadła do morza. Był to jedyny znak, świadczący o bogatym życiu oceanu, który ukazał się Johnny'emu w ciągu drugiego etapu

podróży.

W połowie przedpołudnia Sputnik zaczął słabnąć, ale nadal dzielnie ciągnął swój ciężar. Johnny wolał nie zatrzymywać się, zanim nie dostrzeże brzegu. Wtedy zamierzał zaprząć Suzie, która do tego czasu powinna być dobrze wypoczęta. Jeżeli jego obliczenia były prawidłowe, to od Australii dzieliło ich już tylko dziesięć mil i lada chwilą powinien zobaczyć ląd.

Przypomniał sobie, jak to po raz pierwszy dostrzegł Wyspę Delfinów. Okoliczności były podobne, ale przecież inne. Wyspa wyglądała jak mały obłok na horyzoncie, drgający w rozpalonym powietrzu. Teraz zbliżał się nie do wyspy, ale do kontynentu, którego wybrzeże miało kilka tysięcy mil. Nawet najgorszy nawigator nie mógł spudłować, a cóż dopiero tak mistrzowska para jak Suzie i Sputnik. Johnny nie żywił w tym względzie żadnej obawy, czuł tylko rosnącą niecierpliwość.

Po raz pierwszy zauważył ląd, kiedy wyjątkowo wielka fala uniosła deskę bardzo wysoko. W chwili, kiedy znajdował się na jej szczycie, spojrzął bezwiednie w górę. Daleko przed sobą zobaczył białą linię ciągnącą się na całej długości horyzontu.

Coś ścisnęło go za gardło, poczuł że krew napływa mu do twarzy. Jego własne bezpieczeństwo i pomoc dla profesora były więc odległe już tylko o godzinę lub dwie. Długi ślizg surfingowy przez ocean dobiegł niemal końca.

W pół godziny później, dzięki większej fali mógł lepiej przyjrzeć się brzegowi. I wtedy zorientował się, że morze wcale nie skończyło swojej z nim zabawy.

Czekała go jeszcze najgorsza próba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Minęły już dwa dni od przejścia huraganu, ale morze jeszcze go nie zapomniało. Na zbliżającym się brzegu Johnny dostrzegał już poszczególne drzewa i domy oraz lekki, niebieski zarys dalekich wzgórz. Widział też i słyszał potężne fale przybrzeżne. Całe powietrze wypełnione było ich hukami. Niczym potężne góry ze śnieżnymi czapami sunęły w stronę lądu na całej długości wybrzeża, z północy ku południu. Załamywały się o trzysta metrów od brzegu i kiedy docierały na plażę, zachowywały się jak człowiek biegnący resztką sił: przyspieszały, a potem padały, pozostawiając za sobą fontannę wodnego pyłu.

Na próżno szukał Johnny wzrokiem szczeliny w tych ruchomych, grzmiących zwałach wody. Stał na desce i rozglądał się. Jak okiem sięgnąć, widok był taki sam. Zmarnowałyby całe godziny, gdyby szukał osłoniętej zatoki albo ujścia rzeki, w którym mógłby spokojnie wylądować. Postanowił popłynąć przez fale i to jak najszybciej, zanim straci odwagę.

Deska surfingowa była odpowiednim pojazdem, ale nigdy jej jeszcze nie używał do podobnych celów. Twardy, płaski korał otaczający Wyspę Delfinów nie nadawał się do surfingu; na tamtym dnie nie było łagodnych wzniesień, po których mogły spływać na ląd załamujące się fale. Ale Mick wiele razy entuzjastycznie opisywał mu technikę „zjeżdżania na fali”. Nie wydawała mu się bardzo trudna. Należało czekać, aż fala zaczyna się łamać, i wtedy wiosłować rękami tak szybko, jak tylko się da, aby trafić na następną, nadchodzącą od tyłu falę. A potem tylko trzymać się deski i modlić się, żeby z niej nie spaść. Resztę zrobi fala.

Sądząc z opisu było to dość łatwe, ale czy da się wykonać? Przypomniał mu się głupi dowcip: „Czy umiesz grać na skrzypcach? – Nie wiem, nigdy nie próbowałem”. W tym wypadku błąd mógł mieć znacznie poważniejsze konsekwencje niż kilka fałszywych dźwięków.

Gdy znaleźli się w odległości pół mili od lądu. Johnny dał sygnał Suzie, żeby się zatrzymała, rozpiął jej uprząż. Potem z uczuciem żalu odciął linki od deski; nie chciał, żeby plątały się dokoła niego, kiedy będzie sunął między falami. Włożył dużo pracy w ich przygotowanie i przykro mu było je wyrzucać. Ale pamiętał uwagę profesora Kazana: „Ekwipunek da się zawsze zastąpić”. Były obecnie potencjalnym źródłem niebezpieczeństwa, należało je usunąć.

Obydwa delfiny płynęły nadal tuż koło niego, gdy wiosłując rękami i wierzgając obutymi w płetwy nogami płynął w stronę brzegu, ale nie mogły mu teraz w niczym pomóc. Johnny wątpił, czy delfiny, mimo że były tak świetnymi pływakami, dałyby sobie same radę w tej przybrzeżnej kipieli. Bywały nieraz wyrzucane przez fale na brzeg. Johnny nie chciał, żeby Suzie i Sputnik podjęły takie ryzyko.

Dostrzegł miejsce, które wydało mu się odpowiednie. Grzywacze przelewały się tam równoległe do plaży, nie widać było krzyżujących się prądów. Na brzegu, na szczycie niewielkich piaszczystych diun stali jacyś ludzie i wpatrywali się w morze. Być może już go dostrzegli. W takim razie pomogą mu dostać się na brzeg.

Johnny stanął na desce i zaczął energicznie machać rękami. Nie było to łatwe na tak chwiejnej platformie. Tak, zobaczyli go! Te dalekie postacie nagle się ożywiły, kilka z nich wyciągnęło ręce w jego kierunku.

Nagle Johnny zauważył coś, co bynajmniej nie poprawiło mu samopoczucia. Tam, na diunach, widać było co najmniej tuzin desek surfingowych. Niektóre leżały na przyczepach, inne stały pionowo wbite w piasek, ale wszystkie znajdowały się na brzegu, ani jedna w morzu! Johnny wiedział od Micka, że Australijczycy są najlepszymi pływakami i surfingowcami na świecie. A teraz stali przy swoim spręcie, czekając na polepszenie się warunków. Nie był to widok pocieszający, zwłaszcza dla kogoś, kto po raz pierwszy zamierzał dokonać takiego wyczynu.

Wiosłował zwolna naprzód, a huk stale rósł. Dotychczas mijające go fale miały gładkie grzbiety, teraz szczyty ich zaczęły się okrywać białą pianą. Zaledwie o sto metrów przed nim załamywały się i waliły z grzmiotem w stronę plaży, ale na razie znajdował się w bezpiecznej przestrzeni między morzem a przybrzeżnymi grzywaczami. Gdzieś, na dwa do czterech metrów pod nim, nadciągające fale, które gładko przebiegły tysiące mil Pacyfiku, natrafiały na hamujące działanie dna. Potem żyły jeszcze tylko przez kilka sekund i rozbijały się o brzeg.

Przez dłuższy czas Johnny huśtał się na skraju spienionych wód obserwując zachowanie się fal, wypatrując miejsca, w którym zaczynały się załamywać, próbował mierzyć ich siłę nie poddając się jej. Kilka razy prawie ruszał już naprzód, ale instynkt czy zwykła ostrożność powstrzymywały go. Wiedział, bo mówiły mu to własne oczy i uszy, że jeżeli się nie zdecyduje, to drugiej szansy nie będzie.

Ludzie na brzegu zdradzali coraz większe podniecenie. Niektórzy dawali mu znaki, by zawracał, co Johnny uznał za wyjątkowo głupie. Gdzie wobec tego miał płynąć? Ale po chwili zrozumiał, że próbowali mu pomóc. Ostrzegali go przed falami, które uważali za niebezpieczne. Raz, kiedy już prawie zaczął wiosłować ku przodowi, wszyscy gestykulowali gorączkowo zachęcając go, aby ruszał; ale on wystraszył się w ostatniej chwili. Kiedy zobaczył, że fala, którą przepuścił, rozplynęła się łagodnie po brzegu, wiedział już, że powinien był usłuchać ich rady. Byli przecież ekspertami i znali ten brzeg. Następnym razem postąpi zgodnie z ich wskazówkami.

Utrzymał deskę wycelowaną dokładnie w kierunku lądu i patrząc przez ramię czujnie obserwował nadciągające fale. Oto szła taka, która ledwo powstawszy już zaczęła się łamać, pieniać się białą grzywą. Johnny zerknął w stronę brzegu i zobaczył skaczących ludzi, którzy przyzywali go gwałtownymi ruchami. To było to.

Skupił się i wiosłując rękoma z całych sił, żeby osiągnąć możliwie największą szybkość, ruszył naprzód. Zdawało mu się jednak, że deska sunie bardzo powoli, ledwo pełźnie po wodzie. Nie odważył się obejrzeć za siebie, ale wiedział, że fala za nim rośnie szybko, słyszał bowiem jej coraz bardziej zbliżający się, coraz głośniejszy ryk.

Wreszcie porwała deskę i szaleńcze wiosłowanie Johnny'ego stało się zupełnie zbędne.

Znalazł się na łasce potęgi nie dającej się okiełznać, tak przytłaczającej, że jego nikłe wysiłki nie mogły mu ani pomóc, ani zaszkodzić. Mógł ją tylko zaakceptować.

Zadziwiający spokój ogarnął go po poddaniu się fali, deska zachowywała tak znakomitą równowagę, jak gdyby sunęła po szynach. I chociaż było to z pewnością złudzenie, miał wrażenie ciszy, tak jak gdyby hałas i zgiełk pozostały w tyle. Jedynym dźwiękiem, który docierał do jego świadomości, był syk kipiącej wokół niego piany, zalewającej mu głowę, oślepiającej go. Czuł się jak jeździec na oklep, poniesiony przez konia, którego grzywa zasłania oczy.

Deska była mocna, a Johnny miał dobry zmysł równowagi i dzięki instynktowi trzymał się jakoś na fali. Przesuwał się bezwiednie to naprzód, to w tył, rozkładając swój ciężar odpowiednio do nachylenia deski. Znowu widział, co się dokoła niego dzieje. Pas piany pozostał z tyłu, a jego głowa i ramiona wynurzyły się z syczącego i oślepiającego pyłu wodnego, wiatr targał mu włosy.

Pędził teraz z szybkością trzydziestu czy czterdziestu mil na godzinę. Ani Suzie, ani Sputnik, ani nawet Śnieżka nie mogłyby rozwinąć takiej szybkości. Balansował na szczycie fali tak olbrzymiej, że niemal nie wierzył, iż jest to możliwe. Spojrzenie w dół przyprawiało go o zawrót głowy.

Brzeg był już odległy tylko o niecałe sto metrów i fala zaczynała się załamywać na kilka sekund przed dotarciem do niego. Johnny wiedział, że nadszedł moment największego niebezpieczeństwa. Jeżeli fala spadnie na niego, to rzuci nim o dno i rozgniecie na miazgę.

Deska zachybotała się pod nim, a jej przód przechylił się przerażająco. Fala, na której płynął, była groźniejsza od jakiegokolwiek potwora morskiego i nieskończenie potężniejsza. Jeżeli nie powstrzyma tego gwałtownego przechyłu do przodu, to coraz bardziej rosnący nawis wody spadnie na niego z miażdżącą siłą.

Niesłuchanie ostrożnie przesunął swój ciężar do tyłu i przód deski uniósł się. Nie miał jednak odwagi przesunąć się zbyt daleko, bo wiedział, że jeżeli to zrobi, to zsunie się z grzbietu swojej fali wprost pod następną, a ta zmiażdży go. Musiał utrzymać bardzo dokładną, delikatną równowagę, balansując na samym szczycie tej pieniającej się z wściekłości góry wodnej.

Góra zaczęła, spłaszczając się, powoli opadać, a on opadał wraz z nią, nadal utrzymując deskę w pozycji poziomej. Wreszcie fala przemieniła się w zwał ruchomej piany, straciła całą swą siłę w zetknięciu z płaszczyzną plaży. Ale deska wciąż mknęła naprzód, niczym strzała, samą już siłą rozpędu. Potem nagły wstrząs, jeszcze długi gładki ślizg – i Johnny spostrzegł, że nie patrzy już na rozpędzoną wodę, ale na nieruchomy piasek.

Niemal natychmiast silne ramiona chwyciły go i postawiły na nogi. Dokoła rozległy się głosy, ale był tak ogłuszony rykiem fal, że słyszał tylko pojedyncze zdania, takie jak: – Zwariowany, głupi szczeniak! – Ma szczęście, że żyje! – To chyba żaden z naszych chłopców?

–Nic mi nie jest – mruknął, uwalniając się od ludzkich ramion.

Obrócił się, żeby się zorientować, czy zobaczy jakikolwiek ślad Suzie i Sputnika. Zupełnie o nich zapomniał podczas tej najtrudniejszej próby.

Teraz dopiero, patrząc na sunące w jego stronę spienione, przeogromne fale, zrozumiał, czego dokonał. Drugi raz chyba by się już nie odważył. Miał naprawdę wielkie szczęście, że nie zginął w tych odmętach.

Przyszła spóźniona reakcja. Nogi ugięły się pod chłopcem, usiadł na piasku i położył obie ręce na przyjaznej, australijskiej ziemi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

–Możesz już wejść – powiedziała pielęgniarka Tessie. – Ale pamiętaj, tylko na pięć minut. On jest jeszcze trochę osłabiony i nie zdążył przyjść do siebie po ostatniej wizycie.

Johnny wiedział, o co chodzi Tessie. Przed dwoma dniami pani Kazan runęła na wyspę „jak oddział kozaków”. Tak określił jej przyjazd jeden z pracowników i nieznacznie tylko przesadził. Wykazała taką energię starając się zabrać profesora na kurację do Moskwy, że trzeba było całej determinacji Tessie i przebiegłości profesora, żeby temu zapobiec. Być może zresztą zostaliby ostatecznie pokonani, ale na szczęście lekarz, który przylatywał codziennie z kontynentu, surowo zabronił ruszać pacjenta przez co najmniej tydzień. Pani Kazan odleciała więc do Sydney, żeby zapoznać się z australijskim życiem kulturalnym, w ostatnich czasach coraz bardziej interesującym, zapewniwszy wszystkich, że wróci po tygodniu.

Johnny wszedł na palcach do pokoju chorego. Profesor leżał na łóżku, otoczony stertami książek, całkowicie pochłonięty lekturą. Dopiero po dobrej minucie dostrzegł gościa, szybko odłożył książkę i wyciągnął dłoń na powitanie,

–Tak się cieszę, że cię widzę, Johnny; dziękuję ci za wszystko. Podjąłeś ogromne ryzyko.

Johnny nie próbował zaprzeczać. Ryzyko było znacznie większe, niż przypuszczał, kiedy przed tygodniem wyruszał z Wyspy Delfinów. Być może, że gdyby wiedział... Ale dokonał tego wyczynu i to tylko było ważne.

–Cieszę się, że się udało – powiedział po prostu.

–I ja też – odparł profesor. – Pielęgniarka mówiła mi, że helikopter Czerwonego Krzyża przyleciał w samą porę.

Nastąpiło długie, krępujące milczenie. A potem profesor odezwał się weselszym już głosem.

–Jak ci się podobało w Queenslandzie?

–O, co za wspaniali ludzie! Ale nie od razu uwierzyli mi, że przybyłem z Wyspy Delfinów.

–To mnie wcale nie dziwi – stwierdził sucho profesor. – A co tam robiłeś?

–Nawet nie pamiętam, ile musiałem dać wywiadów telewizyjnych i radiowych. Miałem już tego naprawdę dosyć. Ale najlepszy był surfing; kiedy morze stało się spokojniejsze, fachowcy zabrali mnie ze sobą i pokazali wszystkie swoje sztuczki. Teraz jestem – dodał z dumą – honorowym, dożywotnim członkiem klubu surfingowego Queenslandu.

–To świetnie – odpowiedział profesor Kazan nieco obojętnym tonem. Widać było, że myślał o czymś innym.

–Słuchaj, Johnny – powiedział po chwili – w ciągu ostatnich kilku dni miałem dużo czasu na zastanawianie się. I powziąłem wiele postanowień.

Zabrzmiało to trochę groźnie, Johnny z niepokojem czekał na dalszy ciąg.

–Myślałem zwłaszcza o twojej przyszłości. Masz już siedemnaście lat i czas żebyś coś postanowił.

–Przecież pan wie, że pragnę tu pozostać – powiedział trochę zaniepokojony Johnny. –
Wszyscy

przyjaciele, jakich mam, mieszkają na tej wyspie.

–Tak, wiem, ale chodzi o poważną sprawę, o twoje wykształcenie. OSKAR nie wystarczy. Jeżeli naprawdę chcesz robić coś pożytecznego, to musisz rozwijać swoje zdolności i zdobyć specjalizacje. Zgadzasz się?

–Myślę, że tak – odpowiedział Johnny bez entuzjazmu. „Do czego on zmierza?” – zastanawiał się.

–Moim zdaniem powinieneś pójść na uniwersytet w Queenslandzie i to już od następnego semestru. Nie martw się, przecież to nie drugi koniec świata, stąd do Brisbane jest tylko godzina drogi, więc będziesz mógł tu przyjeżdżać na wszystkie weekendy. Przecież nie możesz spędzić reszty życia na – nurkowaniu wokół rafy.

Johnny pomyślał sobie, że nie miałby nic przeciwko temu, ale wiedział, że w gruncie rzeczy profesor ma rację.

–Masz zdolności i entuzjazm, których bardzo potrzebujemy – ciągnął dalej profesor Kazan. – Brakuje ci jeszcze tylko dyscypliny i wiedzy. Uzyskasz to na uniwersytecie. A wtedy będziesz mógł odegrać dużą rolę w moich planach na przyszłość.

–Jakich planach? – zapytał Johnny z większym już zainteresowaniem.

–Myślę, że znasz większość z nich. Sprowadzają się do jednego: wzajemnej pomocy ludzi i delfinów, z obopólną korzyścią. W ciągu ostatnich kilku miesięcy poznaliśmy wiele aspektów tej sprawy. Ale to dopiero skromny początek. Naganianie ryb, nurkowanie po perły, operacje ratunkowe, patrolowanie nabrzeży, poszukiwanie wraków, sporty wodne – ach, delfiny mogą nam pomóc na sto sposobów! Ale istnieją poważniejsze sprawy...

Przez chwilę profesor zastanawiał się, czy nie wspomnieć o statku kosmicznym, który zatonął jeszcze w wieku kamienia. Ale wraz z doktorem Keithem postanowili nie mówić o nim, zanim nie zdobędą dokładniejszych informacji. Nie chciał grać swoim asem w nieodpowiedniej chwili. W przyszłości, kiedy zapragnie powiększyć swój budżet, może przedstawi ten fragment mitologii delfinów Urzędowi Kosmicznemu, wtedy popłyną pieniądze na badania.

Głos Johnny’ego przerwał jego marzenia.

–A co będzie z orkami, panie profesorze?

–To jest kwestia przyszłości. W tej chwili nie ma co do niej pełnej jasności. Elektroniczne „uwarunkowanie” jest tylko jednym ze sposobów, które znajdą się w naszej dyspozycji, kiedy już zdecydujemy, jak powinniśmy postępować w tej sprawie. Chociaż wydaje mi się, że wiem co będzie.

Wskazał na niski stolik stojący pod przeciwległą ścianą.

–Przynieś mi globus.

Johnny podał profesorowi wysoki na trzydzieści centymetrów globus ziemski. Profesor obrócił go wokół osi.

–Popatrz – powiedział. – Mam taki pomysł. Rezerwaty „Tylko dla delfinów. Wstęp orkom zakazany”. Na początek urządzimy je na Morzu Śródziemnym i Czerwonym. Wystarczy kilkaset mil ogrodzenia, żeby zapewnić delfinom bezpieczeństwo.

–Chce je pan odgrodzić siatką? – zapytał Johnny ze zdumieniem.

Profesor wydawał się zadowolony. Mimo ostrzeżeń pielęgniarki nie przestawał mówić.

–Nie chodzi mi o drucianą siatkę ani o żadną inną trwałą barierę. Ale kiedy poznamy język orka dostatecznie dobrze, żeby móc się z nimi porozumieć, użyjemy podwodnych generatorów dźwięków do kierowania ich ruchami i utrzymywania ich z dala od miejsc, w których ich nie chcemy. Kilka głośników w Cieśninie Gibraltarskiej, kilka w Zatoce Adeńskiej i oba morza staną się bezpieczne dla delfinów. Potem odgrodzimy Pacyfik od Atlantyku i przeznaczymy jeden ocean dla delfinów, a drugi dla orka. Popatrz, od Przylądka Horn jest blisko do Antarktydy, z Cieśniną Beringa też pójdzie łatwo, trudniej będzie tylko z zamknięciem obszaru na południe od Australii. Przemysł wielorybiczny już od lat myśli o czymś podobnym i wcześniej czy później tak się stanie.

Profesor uśmiechnął się widząc oszołomienie we wzroku Johnny’ego i wrócił ze świata marzeń do rzeczywistości.

–Jeżeli uważasz, że połowa moich pomysłów to pomysły szalone, na pewno masz rację. Ale nie wiadomo, która połowa i to właśnie musimy zbadać. Czy teraz rozumiesz, dlaczego chcę, żebyś poszedł na uniwersytet? Chodzi zarówno o moje egoistyczne cele, jak i twoje własne dobro.

Zanim Johnny zdążył zrobić coś więcej, niż skinąć głową, otworzyły się drzwi.

–Powiedziałam, pięć minut, a ty siedzisz tu już dziesięć – mruknęła pielęgniarka Tessie. – Jazda stąd. A to jest pańskie mleko, profesorze.

Profesor Kazan powiedział po rosyjsku coś, co najwyraźniej oznaczało, że nie lubi mleka, ale po chwili, kiedy zamyślony chłopiec opuszczał jego pokój, pił je już bez żadnego szemrania.

Johnny poszedł wąską ścieżką wzdłuż plaży i dalej w las. Większość zwalonych drzew została już usunięta, a huragan wydawał się teraz tylko złym snem, który nigdy nie spełnił się w rzeczywistości.

Nadchodzący przypływ przykrył już większą część rafy na jakieś pół metra i tylko gdzieś poziom wody dochodził do metra. Łagodny wietrzyk igrał po – jej powierzchni, formując piękne, przedziwne wzory. W niektórych miejscach woda była gładka, niczym powierzchnia lustra, gdzie indziej pokryta miliardami małych zmarszczek połyskujących i mieniących się jak klejnoty. Ich wciąż zmieniające się linie załamywały słoneczne światło.

Rafa była teraz piękna i spokojna. Przez ostatni rok stanowiła cały świat Johnny'ego. Obecnie wzywały go inne, znacznie większe obszary – musi unieść wzrok ku szerszym horyzontom.

Myśl o długich latach studiów nie przygnębiała go już. Czekala go ciężka praca, ale wiedział, że praca ta będzie również przyjemnością; tylu przecież różnych rzeczy pragnął dowiedzieć się o morzu.

I o Ludzie Morza, z którym łączyła go teraz przyjaźń.

OD AUTORA

Przypuszczam, że jeżeli doczytaliście tę książkę do końca, to chcecie wiedzieć, w jakim stopniu oparta jest na faktach, a w jakim stanowi wytwór wyobraźni autora.

Poduszkowiec, opisany w pierwszych rozdziałach, oczywiście jeszcze nie istnieje, ale pierwsze handlowe „Hoverkrafty” (VA-3 i SRN-2) kursują już po kanale La Manche. Za pięćdziesiąt lat te opierające się na powietrznej poduszce wehikuły osiągną być może rozmiary „Santa Anny”. Wodoloty – statki z szerokimi płozami, które pozwalają im ślizgać się po wodzie z szybkością osiemdziesięciu i więcej kilometrów na godzinę – są już w powszechnym użyciu w Europie Zachodniej i w Związku Radzieckim. Kursują tam jednostki mogące przewozić po kilkuset pasażerów.

Wszystkie opisy Wielkiej Rafy Koralowej są prawdziwe i oparte na moich własnych obserwacjach, Zebranych podczas wypraw, które opisałem w książce pt. „Koralowe Wybrzeże”. Historia Mary Watson, opowiedziana w trzynastym rozdziale, jest całkowicie autentyczna, nie zmieniłem ani nazwisk, ani dat. Tyle, że jej tragiczna przygoda miała miejsce nie na mojej wymyślonej Wyspie Delfinów, ale na Wyspie Jaszczurek, położonej znacznie bliżej kontynentu. Całą tę opowieść, włącznie z reprodukcją pamiętnika pani Watson, znaleźć można w „Koralowym Wybrzeżu”.

To, czy delfiny są istotnie tak bystre (jak np. ja założyłem w tej książce), stanowi jeden z najbardziej interesujących problemów, które usiłuje rozstrzygnąć dzisiejsza nauka. Pewne jest na razie to, że są rzeczywiście wybitnie inteligentne, że porozumiewają się ze sobą czymś w rodzaju języka i że rozporządzają wspaniałym systemem hydrolokacyjnym, który pozwala im omijać podwodne przeszkody i łapać ryby w ciemności. Jeżeli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej o tych uroczych zwierzętach, to polecam takie książki, jak „Księga delfinów” Antoniego Alpersa i „Człowiek i delfin” dr. Johna Lilly’ego, które dostarczyły mi wiele cennego materiału. Chciałbym również podziękować panu F.G. Woodowi, kuratorowi Instytutu Marynistycznego w St. Augustine na Florydzie, za cenne informacje o zachowaniu się delfinów.

„Uwarunkowanie” zwierząt za pomocą elektrycznych impulsów przesyłanych do ich mózgów – opisane w rozdziale szesnastym – stanowi fakt rzeczywisty – dokonano go po raz pierwszy jeszcze w latach trzydziestych. Jeżeli interesuje was ten fascynujący (i raczej przerażający) temat, przeczytajcie artykuł „Elektryczne sterowanie zachowaniem się” w piśmie *Scientific American* z marca 1962 roku.

Opis podwodnej ultrafioletowej fosforescencji w rozdziale osiemnastym opiera się na moich własnych obserwacjach, dokonanych na Oceanie Indyjskim za pomocą źródła światła ultrafioletowego, użyczonego mi przez dr. Richarda G. Woodbridge’a z Laboratorium Kosmicznego, który był pionierem w dziedzinie podwodnej iluminacji.

Powinienem chyba także wspomnieć, że nie polecam początkującym nurkowania nocą!

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-18

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/